WILKI STR. 4

TRUDNE DNI STR. 6

MUHAMMAD ALI KONTRA GEORG FOREMAN STR. 6, 7-12

Świński problem w Parzęczewie STR. 5

ŚMIERĆ POGROMCY STR. 9

MAGAZYN STR. 15, 16

ODGŁOSY

ROK XIX NR 5 (947) 29 STYCZNIA 1976 r. CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

REKOMENDACJE

W bieżącym numerze „Odgłosów" Lucjusz Włodkowski zastanawia się nad problemem rezerw. Czy są wieczne, niewyczerpane? Czy powstają samorzutnie? Czy wreszcie można je nieustannie ujawniać i wykorzystywać? Natomiast Ryszard Binkowski wybrał się do Parzęczewa, gdzie powstaje nowa spółdzielnia produkcyjna i dzieli się swoimi wrażeniami oraz kłopotami spółdzielców z interesującymi się rolnictwem Czytelnikami.

Bitwa pod Kurskiem nie była bynajmniej jedynym wydarzeniem militarnym połowy 1943 r. na frontach europejskich. 10 lipca na Sycylii i w południowych Włoszech rozpoczęła się inwazja wojsk anglo-amerykańskich. Tak więc to, czego najbardziej się obawiano w basenie Morza Śródziemnego, stało się faktem. — To fragment kolejnego odcinka z cyklu Centrum tajnego frontu pt. „Trudne dni", który znajdziecie w numerze.

Oczywiście jest także trzecia część „Latających talerzy: fikcja czy rzeczywistość?" i niespodzianka dla kibiców pięściarstwa w postaci fragmentów relacji amerykańskiego dziennikarza ze słynnego pojedynku bokserskiego, jaki rozegrał się w Zairze między Muhammadem Ali a Georgem Foremanem.

W bież. numerze „Odgłosów" po raz ostatni zamieszczamy kupon konkursowy i przypominamy, że ogłoszony w numerze 51/52 plebiscyt „Łodzianie-75" trwa. Dla zwycięzców przewidziane są wartościowe nagrody.

Jerzy Czech w artykule pt. „Tajny klub „Gabinetu cieni" uchyla rąbka tajemnicy z działalności stowarzyszenia, którego członków obowiązuje zachowanie milczenia i nie istnieją żadne oficjalne dokumenty świadczące o istnieniu i działalności tej instytucji, a której przewodniczącym jest holenderski książę Bernard.

Poza tym w bieżącym numerze „Odgłosów" drukujemy również wszystkie stałe pozycje: felietony, informacje książkowe, program telewizyjny, recenzje oraz Magazyn, w którym m.in. warto przeczytać: „Rozrywka, rytm i melodia".

REPORTAŻ ZAGRANICZNY

JÓZEF POTĘGA

JAPOŃSKI PARADOKS

„Zdecydowałem się wybudować pozłacany posąg Buddy z brązu, ze zbiórki wszystkiej miedzi z całego kraju, na intencję moich szczerych modłów, aby ludzie na tym świecie żyli w pokoju i aby wszystkie zwierzęta i wszystkie rośliny mogły wzrastać w zdrowiu. (...) Nie mam jednak zamiaru zmuszać ludzi do nadmiernej pracy, co uczyniłoby ich nieszczęśliwymi. Ale każdy, kto chciałby dołożyć chociażby gałązkę rośliny czy garść ziemi, tego wzywam do energicznej współpracy".

Taką wieść ogłosił cesarz Shomu panujący między 724 i 749 rokiem naszej ery. Był on wraz ze swą małżonką, cesarzową Komyo, gorliwym wyznawcą buddyzmu.

1.

Najpierw zbudowano wewnętrzną część formy, tak zwaną „nakago", mocno osadzoną na specjalnym drewnianym rusztowaniu. Pokryto ją mieszaniną gliny, piasku i sproszkowanej miki. Na tym umieszczono „sotogata" — formę zewnętrzną, nakładając na „nakago" warstwę gliny o grubości 50 cm, którą pocięto na części, a każdą z nich wzmocniono metalowymi prętami. Części te wypalono w ogniu i zalewano roztopionym metalem. Trwało to od września 747 do października 749 r. Odlano też z brązu 966 pukli włosów Buddy, każdy o długości 35 cm i średnicy 6 cm.

Razem z odlewaniem posągu Buddy trwała budowa świątyni. Ukończono ją w 750 r. Zachował się dokłady rejestr, z którego wynika, że drzewo na budynek ofiarowało 51.590 osób, a w jego obróbce uczestniczyło 1.665.071

Dalszy ciąg na str. 7

PLASTYKA

FOTOREPORTAŻ

LISTY

„RZECZ POETYCKA — 1975"

Jako redaktor tomu „Rzecz Poetycka", wydanego przez Wydawnictwo Łódzkie, którego jestem pracownikiem, z dużym zainteresowaniem przeczytałam artykuł, zamieszczony w czwartym numerze „Odgłosów". Nie wdając się w ocenę, słusznych zresztą, uwag krytycznych, chciałabym zaznaczyć, że autorami wyboru i opracowania tekstów są pp. A. Biskupski, J. Jarmołowski i M. Kucner, natomiast redagowaniem książki, a S. Świontek podkreśla, że jest ono „niezwykle staranne", jestem ja, przy czym wydaje się chyba rzeczą jasną, że pozycja tego typu wymagała bardzo dużego wkładu pracy ze strony redaktora.

Pominięcie w artykule mojego nazwiska jako redaktora książki jest wprawdzie drobnym przeoczeniem, niemniemj sprawiło mi przykrość.

IDA TARKOWSKA
(Łódź)

OD REDAKCJI: autor artykułu, Sławomir Świontek, nie zapomniał o redaktorze „Rzeczy Poetyckiej. Środowisko" i wymienił nazwisko Idy Tarkowskiej obok wszystkich biorących udział w opracowywaniu „Rzeczy Poetyckiej", co można sprawdzić w nocie o książce drukowanej pod wspomnianym artykułem.

„NONSZALANCJA"

W „Odgłosach" z dnia 22.I.br. Marcin Rodak w artykule pt. „Nonszalancja" m. in. wytknął mi niewłaściwy stosunek do faktów, dotyczących treści zamieszczonego w „Głosie Robotniczym" artykułu pt. „Łódź wolna".

„Nonszalancko" ustosunkowałem się tylko do jednego faktu, mianowicie nazwy gazety polskiej, która była kolportowana w dniu wyzwolenia w Łodzi. Była nią nie „Wolna Łódź" — jak podałem mylnie za prasą lubelską — ale „Polska Zbrojna", drukowana w Lublinie. „Wolna Łódź" ukazała się rzeczywiście dopiero 24.I.1945 r.

Do innych potknięć, dotyczących trzech dat: przybycia do Łodzi grupy operacyjnej Rządu Tymczasowego RP., ukazania się oficjalnego obwieszczenia o tym fakcie i odbycia się pierwszego wiecu ludności — nie przyznaję się po prostu dlatego, iż na te tematy wcale nie pisałem w moim artykule.

FR. LEWANDOWSKI

„FRASZKI"

W nr 3 „Odgłosów" zostały zamieszczone fraszki T. Giegiera, a m. in.:

NA PISARZA PANTOFLARZA
Co strona
to żona.

Jest takie ludowe porzekadło, bardzo już banalne, które pamięta zapewne jeszcze prababcia T. Giegiera, a brzmi ono następująco:
Gdzie strona
tam żona.

Bardzo mi przykro, ale nie jestem smakoszem dań odgrzewanych, dostaję czkawki.

Z poważaniem
GRZEGORZ TOMASZEWSKI
(Łódź)

OD REDAKCJI: Nam też bardzo przykro, ale Grzegorz Tomaszewski nie zrozumiał sensu fraszki Tadeusza Giegiera — „Na pisarza pantoflarza". Jest ona wprawdzie parafrazą cytowanego porzekadła: „Gdzie strona tam żona", ale sens tej parafrazy jest inny. A więc i zarzut o „odgrzewanych daniach" niesłuszny. Tym nie mniej za list dziękujemy.

ZA TYDZIEŃ W „ODGŁOSACH"

— **Jacek Indelak** w reportażu pt. **„Jak chcieliśmy się dostać na carskie komnaty"** opisuje swoją wędrówkę po radzieckich muzeach.

— **Zofia Lorentz** prezentuje opowiadanie pt. **„Wątpliwość"**,

— **Ryszard Binkowski** w reportażu pt. „Napad" odsłania „gry — plan" Długiego,

— Lektor pisze o masonach,

— **Mirosław Wojalski** w artykule pt. **„Czym jechać do Tuszyna?** opisuje historię podłódzkich tramwai.

— **Kazimierz A. Lewkowski** pisze o niedawno zmarłym aktorze Feliksie Żukowskim,

— a ponadto fragmenty relacji **Normana Mailera** z walki bokserskiej, listy Czytelników do redakcji, felietony.

Czwarta i ostatnia część „traktatu" **Bohdana Felta** o latających talerzach za dwa tygodnie.

DYSKUSJE

WIELKI SPÓR O KRYTERIA

Tygodnik „LITERATURA" w nr 2 z 8 stycznia 1976 roku opublikował redakcyjną dyskusję zatytułowaną: „LITERATURA POLSKA W 1975 ROKU". Dyskusja ta odbyła się — jak informuje „LITERATURA" — 1 grudnia 1975 roku i uczestniczyli w niej: Helena Zaworska, Stanisław Barańczak, Tomasz Burek, Jacek Łukasiewicz, Janusz Maciejewski, Ryszard Matuszewski i Michał Sprusiński.

Ryszard Matuszewski — otwierając redakcyjną dyskusję „LITERATURY" — powiedział między innymi: **„Cel naszej rozmowy jest chyba jasny: pierwsza próba krótkiego rocznego bilansu. Interesowałoby nas, które spośród wydanych w zeszłym roku książek zwróciły uwagę kolegów i dlaczego, jakie wniosły waszym zdaniem nowe wartości, jaką wysunęły godną uwagi problematykę."**

Janusz Maciejewski sprezentował dyskutantom bogaty zestaw książek, o których jego zdaniem warto byłoby dyskutować: **„Oficer na nieszporach"** Leopolda Buczkowskiego, **„Powódź"** Bohdana Czeszko, **„Manipulacja"** Ireneusza Iredyńskiego, **„Patrycja czyli o miłości i sztuce w środku nocy"** Eugeniusza Kabatca, **„Wielki układ"** Zbigniewa Kubikowskiego, **„Natura"** Marii Kuncewiczowej, **„Trzecie królestwo"** Andrzeja Kuśniewicza, **„Akropol"** Jerzego Putramenta, **„Mały człowieczek, nieme ptasze, klatka i świat"** Bogdana Wojdowskiego, **„Dolina Hortensji"** Zbigniewa Żakiewicza — zaliczając te książki do prozy traktującej o tematyce współczesnej. Wśród książek traktujących o tematyce historycznej J. Maciejewski uznał za warte rozmowy: **„Crimen"** Józefa Hena, **„Carskie wrota"** Andrzeja Stojowskiego, **„Odpocznij po biegu"** Władysława Terleckiego, **„Sen Azrila"** Juliana Stryjkowskiego. Natomiast do interesujących debiutów J. Maciejewski zaliczył: **„Kilka chwil"** Juliana Kornhausera, **„Ziółka dla idioty"** Pawła Krasnodębskiego, **„Dlaczego tak, dlaczego nie"** Henryka Lothammera, **„Opowiadania awanturnicze"** Janusza Węgiełka i **„Ciepło, zimno..."** Adama Zagajewskiego.

Dyskusja skoncentrowała się wokół kilku pozycji, niekoniecznie wymienionych przez J. Maciejewskiego: **książek J. Kornhausera, A. Zagajewskiego, „Manipulacji" I. Iredyńskiego, „Przed nieznanym trybunałem" Jana Józefa Szczepańskiego, „Snu Azrila" J. Stryjkowskiego, „Gry i doświadczeń" Adama Ważyka, „Trzeciego królestwa" A. Kuśniewicza i „Krwawych skrzydeł"** Lesława Bartelskiego.

„Wracając do głównego wątku naszych rozważań — powiedział w pewnym momencie dyskusji J. Maciejewski — **wydaje się, że zaczynamy dochodzić do zgody, iż najciekawszą grupą książek ostatniego roku jest ta, którą Barańczak nazwał nurtem poszukiwań moralnych".**

Dyskusja krytyków o literaturze polskiej 1975 roku, opublikowana na łamach „LITERATURY" znalazła żywy oddźwięk w prasie. Pierwszy na ten temat wypowiedział się na łamach **„ŻYCIA WARSZAWY"** (12 STYCZNIA 1976 r.) Włodzimierz Sokorski w felietonie pt. **„DYSKUSJA CZY FEROWANIE WYROKÓW"**. Włodzimierz Sokorski pisze m. in.:

„...dyskusja w „Literaturze" o literaturze polskiej 1975 roku zdumiała mnie i zaskoczyła... Po pierwsze nie lubię, gdy kilku krytyków, mając te same poglądy, udaje dyskusję. Po drugie otrzymaliśmy w wyniku tej rozmowy obraz klęsk i osiągnięć prozy i poezji polskiej tak jednostronny, niepełny i krótkowzroczny, że wręcz nieprawdziwy."

Włodzimierz Sokorski zarzuca krytykom, dyskutującym na łamach **„LITERATURY"**, że nie zrozumieli prozy Andrzeja Kuśniewicza, Eugeniusza Kabatca czy **Lesława Bartelskiego.**

„W ten sposób — pisze Wł. Sokorski — **na „polu bitwy" pozostaje wyłącznie niemal Iredyński, J.J. Szczepański, Stryjkowski i rzecz prosta w pełnej aureoli Zagajewski i Kornhauser oraz łaskawie wspomniany Czeszko i Putrament. Wprawdzie Zaworska usiłuje dorzucić „Ogrody" Iwaszkiwicza, „Babie lato" Auderskiej, powieści Terleckiego i „Dwunastu" Nowaka, a Ryszard Matuszewski łaskawie wziąć w obronę Kuśniewicza, ale głosy ich pozostały bez echa..."**

I kończąc swój felieton Włodzimierz Sokorski stwierdza:

„Żyjemy w określonej epoce, w procesie głębokich socjalistycznych przeobrażeń i ocena twórczych wydarzeń roku na gruncie jednorodnego literackiego tekstu w reprezentatywnym tygodniku polskiej literatury jest zbyt jaskrawym nieporozumieniem, żeby nad tym można było przejść do porządku dziennego".

W nr 4 **„LITERATURY"** z 22 stycznia 1976 roku merytorycznie odpowiedział Włodzimierzowi Sokorskiemu w artykule pt. **„KTO FERUJE WYROKI?"** Ryszard Matuszewski, przypominając jeszcze raz, że:

„Celem naszej dyskusji, co — otwierając ją — zaznaczyłem, **był pierwszy przegląd bieżącej produkcji literackiej, pierwsza próba konfrontacji indywidualnych ocen na jej temat."**

I Ryszard Matuszewski zapytuje:

„Czy... autor felietonu w „Życiu Warszawy" zastanowił się nad sensem naszej rozmowy redakcyjnej? Czy zdał sobie sprawę, że jest to pierwsza wymiana zdań na temat dorobku literackiego roku..."

(...) Bo dyskusja prawdziwa to nie tylko — pisze dalej R. Matuszewski — **konfrontacja raz na zawsze ustalonych poglądów, ale także żywy i zawsze pełen możliwych niespodzianek proces wspólnego myślenia. A Sokorski myli dyskusję z kłótnią."**

Poza tym R. Matuszewski odparowując jeden z zarzutów Wł. Sokorskiego przypomina:

„Przedmiotem rozmowy były książki wydane w roku 1975, i choć nie zabranialiśmy nikomu wzmiankować tych, które ukazały się wcześniej, nie ciąży na nas żaden obowiązek ich wymieniania. „Ogrody" Iwaszkiewicza wyszły na początku 1974 roku i zarzut Sokorskiego, że pisarza tego „pominęliśmy pełnym milczeniem" jest pierwszym (...) nieporozumieniem. Rozciąga się ono na książki Auderskiej i T. Nowaka, też z roku 1974..."

Włodzimierzowi Sokorskiemu odpowiedział również w tym samym numerze **„LITERATURY"** autor felietonowego cyklu: „W dwadzieścia lat później" — Jerzy Putrament w felietonie zatytułowanym: **„KUCIAPÓW"**. Kuciapów to coś jeszcze gorszego niż Grajdoł. **„Każdy kraj posiada swój Kuciapów, na swój obraz i podobieństwo zrobiony, z wybraniem i nasileniem wszystkiego, co w danym kraju jest takie jakieś, sam nie wiem jakie..."** I właśnie do takiego Kuciapowa **„zawitał Włodzio Sokorski".**

„Witajże nam tedy w Kuciapowie, drogi Włodziu — pisze Jerzy Putrament. — **Nie irytuj się, że nie tykam merytorycznie twego tekstu. Po pierwsze boję się go tknąć, bo się wszystko rozsypie, ja zaś sam nie wiem, czemu wciąż nie mogę się pozbyć do Ciebie pewnej słabości. Dziwne to, ale fakt."**

A w istocie Jerzy Putrament ma największe pretensje do Włodzimierza Sokorskiego o to, że **„zaproponowano Włodziowi, trudno, uległ"** i napisał polemikę zamiast do **„LITERATURY"** do **„ŻYCIA WARSZAWY"**.

Spór jednakże nie toczy się o to, czy krytycy wypowiadający się na łamach **„LITERATURY"** sprezentowali pierwszą próbę oceny literackiej produkcji minionego roku, a więc można domyślać się, że wstępną i niekompletną, spór toczy się o kryteria tej oceny, o to, czy krytycy podejmując się takiej próby zwrócili uwagę na najważniejsze zjawiska w życiu literackim kraju, na te, które stanowią składową część procesów politycznych, społecznych i kulturalnych zachodzących w Polsce w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych.

Na ten moment zwróciła uwagę **„TRYBUNA LUDU"** w stałej rubryce **„POGLĄDY I OPINIE"** w numerze z 22 stycznia 1976 r., w notatce pod tytułem: **„Wydawało się, a jednak...". „TRYBUNA LUDU"** pisze:

„Temat krytyki artystycznej staje się na nowo zagadnieniem dnia. Na nowo powracają pytania, o jej kryteria i charakter, jej miejsce i rolę w naszym życiu kulturalnym, o typ jej poczucia odpowiedzialności — jakiej, wobec kogo i wobec czego?"

I dalej:

„W rezultacie — lektura działów recenzyjnych niektórych pism stała się dziś wyzwaniem, rzuconym nie tyle gustom, co zdrowemu rozsądkowi, a już niedawna dyskusja na łamach „Literatury", poświęcona omówieniu bilansu literackiego roku minionego, nakazuje wyrażenie sprzeciwu w imię zwykłego poczucia przyzwoitości. Tymczasem jeszcze niedawno mogło się wydawać, że zarówno wielkopański gest, z jakim większość uczestników tej dyskusji narzuca czytającej publiczności swoje osobliwe oceny, jak też pogarda, z jaką minimalizują oni wysiłek wybitnych niekiedy artystów, są zjawiskami, dla których w naszej prasie nie ma miejsca. Okazało się, że niesłusznie..."

W tym samym numerze **„TRYBUNY LUDU"** Janusz Termer stara się ocenić miniony rok literacki w artykule pt. **„PRÓBA BILANSU"**. Przede wszystkim zwraca uwagę, że na ostatni rok „produkcji" literackiej trzeba spojrzeć z szerszej perspektywy, z perspektywy minionych pięciu lat. Następnie pisze:

„Dorobek literacki roku minionego potwierdza wcześniejszą obserwację, mówiącą, że literatura o tematyce współczesnych przemian społeczno-obyczajowych zdaje się pomału wychodzić z rzeczywistego impasu..."

Janusz Termer uważa, że:

„Wbrew malkontenckim i mylącym szeroką opinię sądom (znamienna jest tu np. dyskusja w tygodniku „Literatura" z nr 2 z br.) był to jeden z ciekawszych sezonów prozy ostatnich lat kilku."

Do pozycji, na które należałoby zwrócić szczególną uwagę, Janusz Termer zalicza: **„Trzecie królestwo"** Andrzeja Kuśniewicza, **„Babie lato"** Haliny Auderskiej, **„Dwunastu"** Tadeusza Nowaka, **„Patrycję czyli o miłości i sztuce w środku nocy"** Eugeniusza Kabatca, **„Czarne jagody"** Witolda Zalewskiego, **„Ogrody"** Jarosława Iwaszkiewicza, **„Akropol"** Jerzego Putramenta, **„Krwawe skrzydła"** Lesława Bartelskiego, **„Naturę"** Marii Kuncewiczowej, **„Powódź"** Bohdana Czeszki, **„Próbę ognia i wody"** Andrzeja Brauna, **„Dolinę Hortensji"** Zbigniewa Żakiewicza, **„Mikroklimat"** Zofii Posmysz, **„Eminencję i bałłabancję"** Edmunda Niziurskiego, **„Wielki układ"** Zbigniewa Kubikowskiego.

„Należy podkreślić — pisze na zakończenie swoich uwag Janusz Termer — **tendencję wyraźnie zarysowującą się w polskiej prozie współczesnej; wzrostu ambicji, śmielszego i pełniejszego sięgania po realne problemy i konkrety współczesności."**

I nie należy zapominać o debiutach — nadziei polskiej literatury. A do interesujących debiutów zalicza on m. in. trzytomową powieść inżyniera z Tarnobrzegu — **Jana Łysakowskiego**, nagrodzoną na konkursie KiW i ZLP z okazji XXX-lecia PRL, „Opowiadania awanturnicze" **J. Węgiełka**, „Dlaczego tak, dlaczego nie" **H. Lothammera**, „Ziółka dla idioty" **P. Krasnodębskiego** i „Pamiętnik małżeński" **G. Walczaka.**

TELEWIZJA

PROPOZYCJE PROGRAMOWE

Czwartek, 29. I. — program I:
18.25 „SPOTKANIA W DRODZE" stanowią plon wędrówek trzech ekip reporterskich po trasach województw: radomskiego i piotrkowskiego.
20.30 Telekino zaprasza na projekcję filmu kryminalnego pt. „DR CHIPPEN", w reżyserii Roberta Lyna.
21.55 W PEGAZIE obejrzymy m. in. reportaż z Filmoteki Polskiej.

Program II:
18.30 Inauguracja angielskiego serialu pt. „WIELKIE NADZIEJE" w reżyserii Alaina Bridgesa. 10-odc. film jest ekranizacją głośnej powieści Karola Dickensa. I odc. nosi tytuł „SKAZANIEC".

Piątek, 30. I. — program I:
20.25 „KONIEC BABIEGO LATA" — film telewizyjny Ewy Kruk, debiut fabularny znanej dokumentalistki, laureatki licznych nagród.
22.00 „O ROGU, CO NIE BODZIE" z cyklu „Żywoty instrumentów" Janusza Cegiełły.

Program II:
17.00, 20.55 Problemy psychiatrii i psychologii sądowej w aspekcie ich stosunku do pacjenta — stanowią główny nurt KONSYLIUM, dobrze znanego widzom programu Naczelnej Redakcji Oświatowej, z udziałem zaproszonych do studia znawców przedmiotu.

Sobota, 31. I. — program I:
16.15 RADZIECKI KAZACHSTAN I KIRGIZJA — interesująca monografia filmowa (kolor).
20.20 W Kinie Interesujących Filmów obejrzymy adaptację głośnej powieści Johna Steinbecka „NA WSCHÓD OD EDENU". W obsadzie filmu wiele głośnych nazwisk, m. in. James Dean, (tragicznie zmarł w katastrofie samochodowej), Raymond Massey i Jo van Fleet.
22.40 Muzyczny Teatr Telewizji zaprasza na „ŁOTRZYCE" — komedię muzyczną Agnieszki Osieckiej (kolor).

Program II:
17.20 „KARIERA" — program publicystyki kulturalnej.
18.00 Zwolennicy cyklu „NIE TYLKO PIOSENKA" obejrzą nowy program zatytułowany „ŻYCIE JEST TANGIEM".

Niedziela, 1. II. — program I:
10.40 KRZYSZTOF KOLUMB — 4 odc. serialu biograficznego Vittorio Cottafavi.
16.50 Zwracamy uwagę na „BANK 440" — nową wersję dobrze znanego BANKU MIAST. Rozpoczynają go OFERTY.
17.20 „KRAM Z PIOSENKAMI". Wykonawcy: Zdzisława Sośnicka z zespołem „Fanat", Anna Jantar, Halina Frąckowiak, Monika Forsberg (Szwecja) i Helena Kamburowa (ZSRR) (kolor).
20.30 W telekinie „ZAZDROŚĆ I MEDYCYNA" — film Janusza Majewskiego (kolor).

Program II:
22.05 W przeglądzie twórczości telewizyjnej Adama Hanuszkiewicza przypomniany zostanie dramat Augusta Strindberga (1849—1912) „PANNA JULIA". W roli tytułowej bohaterki — Zofia Kucówna.

Poniedziałek, 2. II. — program I:
20.25 Teatr Telewizji wystawi premierowy spektakl pt. „KUNDEL" oparty na scenariuszu Stanisława Stampfla Jest to sztuka współczesna, podejmująca problemy ludzi samotnych i starych.

Program II:
20.55 „PIEŚNI I TANCE Z KRAJU TYSIĄCA JEZIOR" — film folklorystyczny o Finlandii.

Wtorek, 3. II. — program I:
18.50 „PRZECHADZKA Z MASZYNĄ" to kolejny program cyklu „FAKTY — OPINIE — HIPOTEZY".
20.35 Projekcja II odc. serii telewizyjnej „TRZECIA GRANICA" pt. „BLISKO NIEBA".

Program II:
21.25 Klub Filmowy wyświetli słynny dramat rewolucyjny z 1936 r. „MY Z KRONSZTADTU".

Środa, 4. II. — program I:
14.20 Transmisja z uroczystego otwarcia Zimowych Igrzysk Olimpijskich w Innsbrucku (kolor).
18.10 „PADEREWSKI BEZ AUREOLI" — program Jana Grzybowskiego i Grzegorza Michalskiego.
18.40 „NAD AFRYKĄ" — interesujący film telewizyjny Andrzeja Ziemińskiego (kolor).
19.00 Drugi reportaż filmowy pt. „PRZED POTOPEM" rejestruje konsekwencje wielkiej inwestycji — budowy tamy na Dunajcu (rozpoczętej w czerwcu ub. roku — kolor).
20.15 STUDIO OLIMPIJSKIE (kolor).
20.45 Filmoteka Arcydzieł zaprasza na włoski dramat wojenny pt. „RZYM MIASTO OTWARTE".

Program II:
20.20 „GDZIE MIŁOŚĆ NIE SIĘGA" — widowisko muzyczno-poetyckie.

WEHIKUŁ OBRAZU

Uprawianie futurologii jest zajęciem bezpiecznym. Głównie z tej przyczyny, że sama zasada wyrokowania o tym co będzie zawiera w sobie brak odpowiedzialności. Futurologa nikt nie rozliczy z jego beztroskich lub katastroficznych mniemań, ponieważ po pierwsze: w czasach, o których wyrokuje nikt o jego wyrokach pamiętał nie będzie i po drugie; jeśli nawet by się taki znalazł, to sam futurolog najczęściej już nie żyje, a de mortuis... etc. Stąd zresztą sami futurolodzy najchętniej operują długimi dystansami. Z tego mogłoby wynikać, że futurologia jest zabawą, a tymczasem jest to dziedzina wiedzy, która wypracowała już odpowiednie metody opisu przyszłości w oparciu o stan cywilizacyjny teraźniejszości i stara się sprowadzić do minimum znacznie większe niż w innych naukach ryzyko błędu. Myślenie przyszłościowe zawsze było naturalną funkcją ludzkiego umysłu, ale od drugiej połowy XIX wieku, czyli od czasu rewolucji technicznej nieustannie przyspieszającej swój bieg stało się trwałym elementem społecznej świadomości. Sprzyjało temu jednoczesne powstanie bardzo popularnego gatunku powieściowego science-fiction, której rozwój od Julesa Verne'a do Stanisława Lema również obrazuje ewolucję futurologicznego myślenia.

Futurologia łączy się ściśle z myślą techniczną. Technika jest naturalnym obszarem jej hipotez i tutaj ryzyko błędu wydaje się najmniejsze, mimo iż nowych wynalazków przewidzieć nie sposób. Trudniej natomiast przewidzieć społeczną recepcję danego urządzenia, albowiem wtedy w grę zaczynają wchodzić czynniki, które nie poddają się łatwej kalkulacji, czyli psychiczne potrzeby człowieka. Ich dokładnego rozwoju wykreślić nie sposób, a one właśnie decydują o takim a nie innym rozwoju cywilizacji.

Ten splot konieczny ludzkich potrzeb z technicznymi możliwościami ich zaspokojenia trafnie ilustrują dzieje telewizji. Kiedy kilkadziesiąt lat temu powstawała przewidywano, że stanie się domeną informacji, publicystyki, wywiadów i rozrywki, że te programy będą najpopularniejsze. Słowem — TV wyobrażano sobie jako obrazowo-dźwiękową gazetę lub radio z ekranem, przyrównując nieznane do już znanego. Tymczasem już wkrótce okazało się to, czego nikt nie przewidywał, a mianowicie, że istota popularności telewizji oparła się na filmach fabularnych, sprowadzając nowy wynalazek do roli domowego kina. W ten sposób TV nieoczekiwanie zbliżyła się do embrionalnych form kina, bowiem tuż przed kinematografem braci Lumière karierę w Stanach Zjednoczonych robił projekt Tomasza Edisona zwany kinetoskopem, który był skrzynią z lupą do indywidualnego oglądania obrazów filmowych. O wynalazku Edisona mało kto pamięta, ponieważ wyparł go kinematograf, który fundował kinowy spektakl publiczny na dużym ekranie. Jednakże jeśli dokładnie przyjrzeć się temu co dzieje się w warsztatach techniki audiowizualnej, a co według optymistów podobno już stoi za drzwiami, to okaże się, iż koło historii domyka się z zadziwiającą precyzją.

Oto od kilku lat słychać coraz więcej o nadchodzącej rewolucji audiowizualnej, która radykalnie zmieni nasz sposób korzystania z telewizji. Mowa o systemie znanym pod kryptonimem „telewizja kasetowa". Zasada tego urządzenia jest powszechnie znana i, mówiąc w skrócie, jest czymś na kształt telewizyjnego magnetofonu lub adapteru. Magnetowid, a jeszcze doskonalszym wynalazkiem jest video-płyta (system MCA) umożliwi indywidualną projekcję filmów, które będą nie tylko do nabycia tak jak obecnie płyty, kasety czy książki, ale daje techniczną szansę przegrania na własny i trwały użytek wybranej audycji z bieżącego programu telewizyjnego, jak również przy pomocy telewizyjnej kamery zrealizowania samodzielnego filmu. Video-kaseta i video-płyta w istotny sposób podważą społeczne fundamenty kina, którymi dotychczasowa telewizja jedynie zachwiała. Wizja prywatnych filmotek kolekcjonujących klasykę filmową na wzór bibliotek literackich już dziś nie pozwala usnąć miłośnikowi sztuki kina. W przyszłej dobie, kiedy rozprzestrzenienie video będze powszechne, a zależy to w pierwszym rzędzie od czynników ekonomicznych, trudno przewidzieć zmiany, jakie nastąpią w recepcji kulturalnej i w samej twórczości filmowej. Kiedy to nastąpi nie wiem — nie jestem futurologiem. Przypomnę tylko optymistom, że w czasach Verne'a sądzono, że około 1969 roku każdy będzie miał aeroplan. Być może mój trzymiesięczny syn będzie szczęśliwym świadkiem tych czasów, a być może i my ich doczekamy.

Ta sterowana realnym marzeniem wycieczka w przyszłość, którą tutaj spisałem odbyła się pod nieobecność interesującego programu TV, który w minionym tygodniu straszył wyjątkową pustką, dostarczając dowodu nie tylko na potrzebę marzeń zwykle skutecznie przez telewizyjny strumień obrazów zabijanych, ale także na konieczność ich urzeczywistnienia.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI.
Stale współpracują: ANDRZEJ BLAJER, ANDRZEJ F. GRABSKI, ANDRZEJ GRUN, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI EWA NURCZYŃSKA KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWIŃSKI TADEUSZ SZCZEPAŃSKI.

POLSKA – 76

Spotkałem się kiedyś z takim poglądem:

— Stale mówimy o rezerwach, o tym, że trzeba je ujawniać, wyszukiwać, wykorzystywać. Ale czy rezerwy są wieczne, niewyczerpane? Czy powstają samorzutnie? Czy można więc nieustannie ujawniać i wykorzystywać rezerwy?

W poglądzie tym zawarta jest wątpliwość w nieustanną aktualność istnienia rezerw w naszej gospodarce. Ta wątpliwość rodzi się u tych, którzy nie rozumieją istoty rozwoju gospodarczego ostatnich lat, a do których dociera tylko powierzchowna propagandowa akcja na temat wykorzystania rezerw. Nie można się nawet dziwić, że akcja ta wywołuje tylko taki skutek.

Inni — głębiej zorientowani w problemach współczesnego życia gospodarczego — rozwijają tę wstępną wątpliwość i głoszą pogląd o wyczerpaniu się zasobów rezerw prostych, głosząc konieczność sięgania do rezerw złożonych. Ich zdaniem nie ma już większych możliwości w wykorzystaniu czasu pracy ludzi i maszyn, wykorzystaniu każdego metra wolnej powierzchni w halach produkcyjnych, w lepszym spożytkowaniu każdego kilograma surowców, materiałów, w lepszym gospodarowaniu energią. A więc nie ma możliwości w wykorzystaniu rezerw prostych, gdyż te zostały już — ich zdaniem — wykorzystane. Są natomiast możliwości wykorzystania rezerw produkcyjnych, jakie daje modernizacja, podnoszenie kwalifikacji, wprowadzanie postępu technologicznego i organizacyjnego. A więc możliwości, jakie znajdują się w sferze rezerw złożonych.

Czy tak jest istotnie?

Wydaje się, że sprawa jest dość złożona i bardziej skomplikowana niż można byłoby się spodziewać. Istotnie od dłuższego czasu partia czyni wiele inspiratorskich wysiłków na rzecz wykorzystywania rezerw, jakie tkwią w naszej gospodarce. Istotnie — propaganda prowadzi okresowe akcje wokół tego problemu. Istotnie — może to wywoływać powierzchowne wrażenie, że rezerwy w gospodarce są rzeczą skończoną i jeśli je raz się wykorzysta, to gdzie ich szukać ponownie. Do takiego wniosku można dojść tym łatwiej, jeśli gospodarkę traktuje się w sposób statyczny, nie dostrzegając tej prostej prawdy, że podlega ona nieustannym prawom rozwoju i że dziś — na początku roku 1976 — nie można traktować jej w sposób, w jaki traktowało się pod koniec lat sześćdziesiątych.

Niedawno Henryk Chądzyński na łamach „Życia Warszawy" przytoczył kilka charakterystycznych liczb, które pozwolę sobie tu powtórzyć. Przypomniał on, że w ciągu jednego dnia pracy w latach 1971—1975 inwestowano w Polsce **1,3 miliarda zł**, a obecnie — w ciągu jednego dnia pracy — będzie się inwestowało **1,8 miliarda zł**. I przypomniał również rzecz najbardziej charakterystyczną, że obecnie w ciągu roku będziemy inwestowali tyle, ileśmy inwestowali w ciągu całego planu 6-letniego. **Ta skala porównań** niech najlepiej świadczy o zmianach ilościowych i jakościowych, jakie zaszły w naszej gospodarce narodowej.

Kiedy przed kilku lub kilkunastu laty podnoszono problem rezerw, to w pierwszym rzędzie oznaczało to zwiększenie wysiłku mięśni. Kiedy dziś partia z całą mocą podkreśla konieczność wykorzystania rezerw, poświęcając temu zagadnieniu posiedzenie Komitetu Centralnego, to przede wszystkim oznacza to wysiłek mózgu.

Dlaczego?

Dlatego już choćby, że przez tych kilka lat dokonaliśmy w naszej gospodarce wielkiego postępu jakościowego, że wprowadziliśmy do wielu fabryk nowoczesną technikę, zastosowaliśmy nowoczesne technologie, wzrosły kwalifikacje ludzi tam pracujących. Wystarczy przecież uważnie rozejrzeć się tylko po Łodzi. Dziś przecież nie ma tu ani jednej fabryki, w której nie dokonałby się postęp, nie zmieniły się warunki pracy i produkcji. Są oczywiście fabryki, w których ten postęp był minimalny, gdzie produkuje się jeszcze w sposób przestarzały, ale są też fabryki, dysponujące najnowocześniejszą techniką, stosujące nowoczesne technologie i mające wszelkie warunki po temu, aby dawać na rynek krajowy i zagraniczny nowoczesne, poszukiwane wyroby. Takich fabryk będzie coraz więcej, gdyż zapoczątkowany w 1971 roku proces modernizacji i przebudowy przemysłu Łodzi trwa i będzie kontynuowany również po 1980 roku.

Dawniej „mądry" dyrektor zawsze mógł mieć w zanadrzu ukryte rezerwy, aby błysnąć nimi „z okazji", za co zbierał pochwały i nagrody. Dawniej łatwo było ukryć te rezerwy w „gąszczu" przestarzałej techniki, dziś — kiedy unowocześnieniu uległy warunki produkcji — rezerwy te widoczne są jak na dłoni. Zmieniła się też skala produkcji, problem rezerw stał się i ostrzej widoczny i niewspółmiernie ważniejszy.

W 1975 roku produkcja całego przemysłu krajowego osiągała w ciągu jednego dnia wartość **7 miliardów zł**, a w 1980 roku osiągnie **10,5 miliarda zł**. Przy takiej skali łatwo obliczyć, ile tracimy tylko przez niewykorzystanie dnia pracy zaledwie w pięciu czy 10 procentach, ile strat przynosi nieusprawiedliwiona absencja, postoje maszyn i ludzi, niedokładność kooperacji, zła organizacja pracy. Dziś jest to możliwe w stosunku do każdego zakładu pracy, który dysponuje nowoczesną technologią, techniką, posiada precyzyjnie opracowane założenia, wykazujące, ile można wyprodukować w ciągu dnia, a ile się rzeczywiście produkuje.

Gdyby gospodarka nasza nie rozwijała się intensywnie, moglibyśmy mówić o wyczerpaniu się rezerw. Ale przecież jest inaczej. Postęp niesie z sobą nie tylko wzrost produkcji, niesie z sobą również wzrost rezerw. Tym bardziej — i to jest niestety oczywiste i naturalne, ale też z tym się godzić nie wolno — że postęp w technice i technologii dokonuje się u nas szybciej niż zmiany w sposobie myślenia, zmiany w świadomości ludzi, którzy nowoczesność dostają do rąk i mają się nią posługiwać ze zwiększoną korzyścią.

Problem więc nie w tym, czy dysponujemy rezerwami. Problem natomiast w tym, **czy te rezerwy umiemy dostrzegać i spożytkować je dla utrzymania wysokiego tempa rozwoju kraju.** I czy umiemy dostrzec związki, jakie istnieją między rosnącym tempem rozwoju kraju, a warunkami naszego życia.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

POSTĘP POZORNY I RZECZYWISTY

„Jest rzeczą wielkiej wagi — mówił na II Plenum KC PZPR premier Piotr Jaroszewicz — **aby do wszystkich zakładów pracy, ich aktywu i załóg, a więc do każdego pracownika dotarła prawda, że środki zawarte w tegorocznym planie stanowią górną granicę naszych możliwości. Przekroczenie zadań trzeba więc osiągać bez oglądania się na dodatkowe środki. Trzeba je wygospodarować własnym wysiłkiem, przede wszystkim w drodze ujawniania i uruchamiania wewnętrznych rezerw."**

Oto dlaczego dziś **problem rezerw to przede wszystkim sprawa wysiłku mózgu.** Myśleć wprawdzie należało zawsze, ale dziś trzeba myśleć intensywniej, dokładniej, skuteczniej. I szybko zamysły realizować w praktyce. Postanowiliśmy bowiem działać w ramach **„otwartego planu"**, a **„otwarty plan"** należy rozumieć — jak to na II Plenum KC PZPR określił I sekretarz KC, Edward Gierek — **„jako możliwość uzyskania lepszych efektów w ramach posiadanych środków".**

Sprawa rezerw zawiera w sobie ogromne znaczenie wychowawcze. Jest to bowiem też sprawa postaw ludzi, naszego stosunku do otaczającej rzeczywistości. Dążeniem — naturalnym dążeniem — każdego człowieka jest żyć lepiej, dostatniej. Ale też nie każdy człowiek umie skutek wiązać z przyczyną, nie każdy rozumie powiązania przyczynowego między lepszą pracą i lepszym życiem. Dla wielu cel: lepsze życie — jest pojęciem oczywistym, dążeniem naturalnym, ale nauczeni oni są, że powinno to być im dane, a nie, że powinni to osiągać swoją lepszą pracą. Nie wszyscy jeszcze rozumieją, że wzrost płac musi być równoważony wyższą wydajnością, wyższymi dostawami na rynek wysoko jakościowych towarów. **„Otwarty plan"** — mówił na II Plenum KC PZPR Edward Gierek — służyć powinien **„poprawie równowagi ekonomicznej kraju."**

„Chodzi w pierwszym rzędzie — mówił dalej Edward Gierek — **o równowagę rynkową; przekroczenie zadań planowych zapewnić powinno dodatkowe dostawy tych towarów i usług, na które popyt jest nadal wysoki."**

A więc problem wykorzystania rezerw w gospodarce narodowej wiąże się nierozerwalnie z poprawą warunków życia, jest to jeden z elementów planowanej poprawy jakości życia. Jeśli ten warunek nie będzie spełniony, to równowagę na rynku można będzie zapewnić tylko poprzez wzrost cen. I tę ekonomiczną prawdę trzeba sobie uświadamiać z całą otwartością i ostrością.

W jaki sposób dostrzeżemy i wykorzystamy rezerwy w każdej dziedzinie naszego życia zadecydujemy sami. Zależy to od każdego z nas. Ale sprawa jest o tyle skomplikowana, że po części narusza ona stabilizację pozycji życiowej wielu ludzi pracy. Realizacja zadań bieżącej pięciolatki przebiegać będzie bowiem w warunkach zmniejszonego dopływu ludzi do pracy. W latach 1971—1975 przyszło do pracy 1,8 miliona nowych ludzi, a w samym przemyśle zatrudnienie zwiększyło się o 15 procent. W tym czasie produkcja przemysłowa wzrosła o około 70 procent. W latach 1976—1980 przewiduje się wzrost produkcji o przeszło 50 proc., a wzrost zatrudnienia tylko o 6 proc. Jednocześnie trwa intensywny proces inwestowania i trzeba będzie w tym pięcioleciu obsadzić wiele nowych fabryk, oddziałów nowoczesnych ciągów produkcyjnych, placówek handlowych i usługowych. Trzeba będzie skierować tam ludzi już pracujących, przygotować ich do pracy w nowoczesnych warunkach. A więc trzeba będzie zastanowić się, czy każdy z nas należycie wypełnia swoje obowiązki, czy jest właściwie wykorzystany, czy posiada odpowiednie kwalifikacje. Wielu ludzi będzie musiało podnieść swoje kwalifikacje, a niekiedy nauczyć się nowego zawodu. To też jest jeden z elementów programu poprawy warunków życia, uzależnionego przecież od lepszej i wydajniejszej pracy.

Czy takimi możliwościami nasza gospodarka dysponuje?

Dysponuje, gdyż w ubiegłym pięcioleciu wzrost zatrudnienia i wiążąca się z tym wyższa wydajność nie były współmierne do wzrostu technicznego uzbrojenia. Na przykład w **przemyśle metalowym** wzrost technicznego uzbrojenia wyniósł 41 procent, a wzrost wydajności — 37 proc., w **przemyśle skórzanym** przy 18 procentach wzrostu wydajności techniczne uzbrojenie pracy wzrosło o 33 procent, nie przynosząc jednocześnie spodziewanego na rynku wzrostu jakości obuwia i innych wyrobów ze skóry. Wzrosło również zatrudnienie w handlu i usługach, ale klient nie odczuł wyraźnej poprawy jakości pracy. Te dane wskazują, że w tych działach w skali całego kraju występują poważne rezerwy, ale problem sprowadza się do tego, aby taki sam rachunek przeprowadzić w każdej fabryce w każdym przedsiębiorstwie, a tu dokonanie tego będzie niepomiernie trudniejsze, gdyż trzeba będzie powiedzieć, że to Kowalski pracuje mało wydajnie, Nowak nie wykorzystuje w pełni swoich kwalifikacji, Malinowski musi się jeszcze pouczyć, a to, co robią Pękała z Karasiem, mógłby robić sam Grzelak, który jest od nich dwóch znacznie lepszym fachowcem. Utrzymanie wysokiego tempa rozwoju kraju oznacza bowiem zdynamizowanie życia każdego z nas, a ludzie — niestety — chcieliby więcej zarabiać jak najmniej pracując, nie rozumiejąc jeszcze, że w dzisiejszych czasach lepsza praca nie zawsze równa się większemu wysiłkowi mięśni, ale prawie zawsze oznacza większy wysiłek mózgu.

Prawda jest prosta, choć podejrzewam, że nie zawsze zdajemy sobie z tego sprawę: **największe rezerwy tkwią w każdym z nas, w naszym stosunku do rzeczywistości, w naszym sposobie myślenia i działania.** Jeśli dziś człowiek chce utrzymać się w nurcie współczesności musi nieustannie rewidować swój sposób myślenia, nie poprzestawać na tym, co osiągnął, stale szukać nowych i bardziej skutecznych metod postępowania. Jeśli zrozumiemy tę prawdę, to zadanie określone w uchwale II Plenum KC PZPR wyda się nam proste i łatwe. A zadanie to brzmi:

„Rezerwy występują w każdej dziedzinie życia gospodarczego i społecznego, podjęte więc kierunki pracy odnosić się powinny do całej sfery gospodarki — przemysłu, budownictwa, transportu, gospodarki komunalnej i mieszkaniowej, a ponadto do sfery handlu i usług, nauki i oświaty, służby zdrowia, do jednostek administracji centralnej i terenowej. W związku z tym we wszystkich dziedzinach należy dokonać gruntownej analizy stopnia wykorzystania czynników produkcyjnych i przeznaczonych środków, określić wielkość i charakter rezerw oraz podjąć konkretne działania, aby rezerwy te szybko i efektywnie wykorzystać, a tym samym produkować więcej i lepiej, uzyskiwać większe efekty gospodarowania."

Jest to jednakże nie jednorazowa akcja, ale tego typu myślenie powinno stać się sposobem stałego traktowania rzeczywistości, bowiem w miarę rozwoju naszej gospodarki nieustannie powstawać będą rezerwy i nieustannie rodzić się będzie potrzeba ich wykorzystywania. Inaczej postęp będzie pojęciem względnym, pozornym.

GOSPODARKA

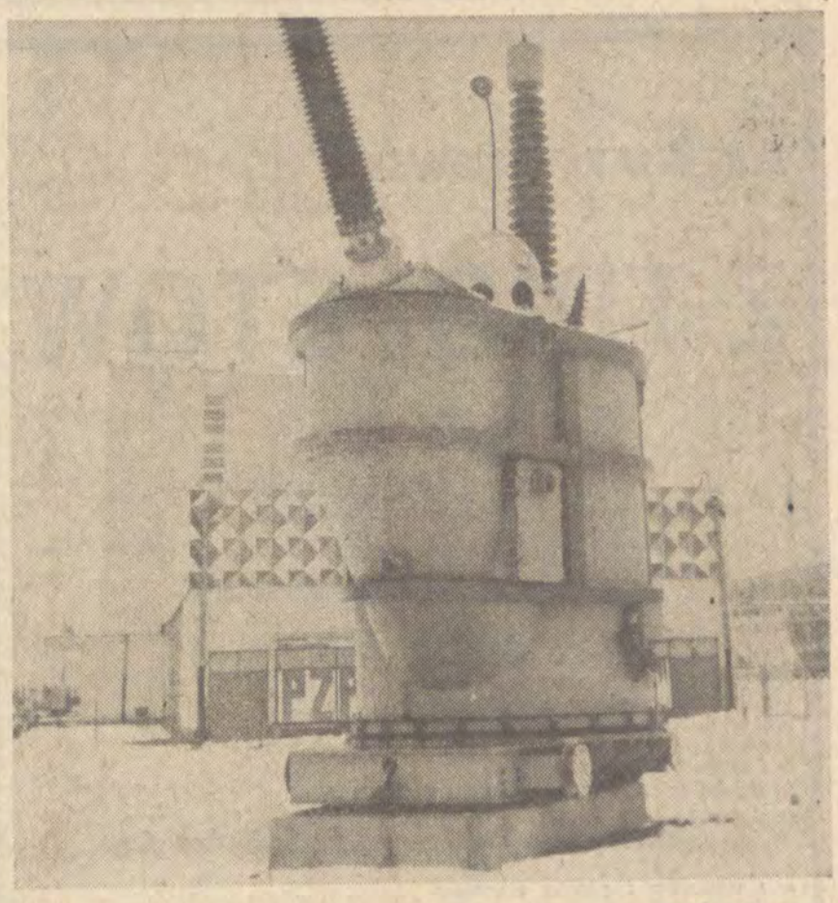

Foto: W. Parys

WSPÓŁPRACA

Minęło już pół wieku od czasu, gdy pierwszych sześć transformatorów opuściło łódzką fabrykę, noszącą wówczas nazwę „ELEKTROBUDOWA". Wykonano je na zamówienie Elektrowni Łódzkiej. Obecnie „Elta" produkuje transformatory i aparaturę trakcyjną. Fabryka jest wiodącym ośrodkiem produkcji transformatorów w Polsce. Decyzją Biura Politycznego KC PZPR z 22 stycznia 1974 roku, zatwierdzającą nowy program rozwoju polskiej energetyki, przewiduje się dalszy dynamiczny rozwój fabryki w najbliższych latach.

1.

Politechnika Łódzka — najstarsza w Łodzi uczelnia powołana wspólnie z UŁ dekretem z 24 maja 1945 roku) dysponuje obecnie ponad 3,5-tysięczną rzeszą pracowników i kształci ponad 13,5 tysiąca studentów. Od początku swego istnienia Politechnika Łódzka ściśle współpracuje z przemysłem.

2.

Dwie wielkie, ważne dla miasta i kraju instytucje współpracują ze sobą od 30 lat.

— **Bez stałej pomocy byłej Katedry Maszyn Elektrycznych PŁ, kierowanej przez prof. Eugeniusza Jezierskiego, nazwanej później Katedrą Maszyn Elektrycznych i Transformatorów, bez ścisłej współpracy z wybitnymi naukowcami Politechniki nie byłby możliwy rozwój fabryki, która zaraz po wojnie odczuwała dotkliwy brak kadry inżynierskiej i borykała się z wieloma trudnymi problemami naukowo-technicznymi** — mówi mgr inż. Zbigniew Kopczyński, długoletni pracownik „Elty".

Od pierwszych lat swego istnienia **Politechnika Łódzka** kształciła inżynierów dla potrzeb fabryki zarówno na studiach dziennych, jak i wieczorowych. Obecnie większość kadry inżynierskiej **„Elty"** stanowią absolwenci **PŁ**. Pierwszy z nich otrzymał dyplom inżynierski w roku 1949. Ostatni — mgr inż. **Waldemar Bartosik** — przed dwoma miesiącami. Pracuje w **„Elcie"** od piętnastu lat. Nie przerywając pracy ukończył studia z piątką na dyplomie.

Często stosowaną formą współpracy uczelni z fabryką była w początkowym okresie wymiana pracowników. W ramach półetatowych zajęć pracowali w **„Elcie"** m.in. profesorowie: **M. Jabłoński, Z. Pomykalski, M. Kozłowski.** Inżynier Kopczyński ponad 10 lat przekazywał swoje doświadczenia z przemysłu studentom **PŁ**. Przykłady można by mnożyć. Korzyść była, oczywiście, obopólna.

Dziesięć lat po wyzwoleniu zaczęto tworzyć pierwsze koncepcje dotyczące budowy wielkiej fabryki transformatorów. Każdej dużej inwestycji towarzyszy ogrom problemów naukowych i technicznych. W przypadku fabryki na Teofilowie wiele z nich rozwiązywali wspólnie pracownicy „Elty" i PŁ skupieni w specjalnie powołanym komitecie do spraw budowy nowego zakładu. W **Politechnice Łódzkiej** sporządzono m.in. projekt wstępny tzw. węzła probierczego, tzn. maszynowni, stacji prób i laboratoriów dla powstającej fabryki. W 1964 roku opuścił nowy zakład pierwszy w Polsce transformator o mocy przekraczającej 100 MVA.

— **Pracowaliśmy wtedy z ogromnym pośpiechem** — wspomina prof. dr hab. Michał Jabłoński. — **Jeszcze trwała budowa, a my już przystępowaliśmy do prób największego z produkowanych wówczas transformatorów. Chodziło o szybką amortyzację nakładów na budowę fabryki. Przypominam sobie dzień, w którym ten duży transformator o mocy 150 MVA i napięciu 110 kV miał być poddany w nowym laboratorium tzw. próbom udarowym. Należało go wówczas wprowadzić do laboratorium po szynach, używając do tego celu specjalnych wciągaczy. Niestety, okazało się, że szyny są wadliwe. Nie mogliśmy czekać na naprawę; zdecydowaliśmy się na krok bezprecedensowy: do wciągnięcia transformatora użyliśmy zwykłych ciągników rolniczych. Pierwsze próby też nie wypadły pomyślnie. Na szczęście usterka okazała się niegroźna, możliwa do usunięcia w ciągu kilku godzin, które wówczas wydawały się nam miesiącami. Wszystko skończyło się dobrze i transformator sprawnie pracuje do dnia dzisiejszego.**

3.

Po uruchomieniu nowego oddziału **„Elty"** na Teofilowie nadszedł czas na modernizację i zmianę profilu produkcji starego przy ulicy Kopernika. I w tym przypadku katedry Politechniki wykonały szereg potrzebnych prac. Szybko rozwijająca się **„Elta"** potrzebowała coraz silniejszego zaplecza naukowego. Zaistniała konieczność powołania placówki naukowej działającej wyłącznie dla potrzeb fabryki. Rozwiązanie tego problemu powierzono powołanemu przed 10 laty **Oddziałowi Łódzkiemu Instytutu Elektrotechniki.** Jego powstanie było dziełem wspólnych wysiłków **„Elty" i Politechniki Łódzkiej.** Wysokiej klasy specjaliści zatrudnieni obecnie w Instytucie — to w większości byli pracownicy **„Elty" i PŁ.**

W przyszłości będzie się nie tylko kontynuować, ale i rozszerzać wzajemną współpracę. W październiku ub. roku dyrektorzy: **„Elty"** — mgr inż. **Włodzimierz Niczyporuk** oraz Instytutu Transformatorów, Maszyn i Aparatów Elektrycznych PŁ — prof. dr hab. **Janusz Turowski** podpisali umowę, która przewiduje dalsze zacieśnienie więzów łączących obie instytucje.

4.

Zużycie energii elektrycznej w Polsce podwaja się co 10 lat. Zapotrzebowanie na transformatory, mierzone ich mocą, ulega w tym samym czasie również podwojeniu. Potrzeba zatem coraz większych, wydajniejszych, coraz szybciej i lepiej produkowanych transformatorów.

Nie ma obaw, aby działalność naukowa „łódzkiego ośrodka transformatorowego" uległa nasyceniu — twierdzi prof. M. Jabłoński.

Dotychczasowe osiągnięcia w tej działalności pozwalają zaryzykować twierdzenie, że nie ma również obaw, aby nie spełniła ona oczekiwań przemysłu.

PAWEŁ PATORA

JERZY JARMOŁOWSKI

Z TRIOLETÓW

Motto:
„Człowiek bawi się tylko wtedy, kiedy jest człowiekiem w pełnym tego słowa znaczeniu, i wtedy tylko jest pełnym człowiekiem, kiedy się bawi"

Fryderyk Schiller

triolet o miłosierdzie dla świni

azaliż świnia pierw niebo zobaczy
niźli ja wiersze swoje w druku spotkam
jest to dla świni powód do rozpaczy
czyli też ona pierw niebo zobaczy
jam wielkoduszny przeto niech nie płacze
niech się dziś miewa jak boża pieszczotka
ona biedulka dziś niebo zobaczy
ja dzisiaj wiersze moje w druku spotkam

triolet ku przestrodze przyjaciół-główkowców

sny filozofów i płocha rozmowa
im lekcej ważą tyle mniej pobłądzą
po cóż więc marmur i spiżowe słowa
sny filozofów to płocha rozmowa
bywa że kwitnie w niej róży połowa
że niebyt z bytem do winnicy zdąża
sny filozofów i płocha rozmowa
im lekcej ważą tyle mniej pobłądzą

triolet ku przestrodze niedowiarków

rzecz to niesmaczna i nieskromna wielce
być osobistym wrogiem Pana Boga
i transcendentnym go czynić wisielcem
rzecz to katowska i niecztecza wielce
z Bogiem się sączy wino po kropelce
Bóg niedowiarkom i wisząc da kopa
rzecz więc przydupna i bolesna wielce
być osobistym wrogiem Pana Boga

triolet pięknis dający się wywieść z motylich skrzydeł i nadmiaru czasu

piękno to ład jest motyli i człeczy
bezużyteczna pyszna doskonałość
co zda się często rozumowi przeczy
gdyż piękno ład jest motyli i człeczy
i trwa ów przepych pośród tysiącleci
choć zda się iż to kunsztowna nietrwałość
a piękno ład jest motyli i człeczy
bezużyteczna pyszna doskonałość

sprawdzony historycznie przepis na rozwiązanie antynomii natura – kultura

był czas palenia ksiąg o złotych grzbietach
i oprawiania ksiąg w dziewczęcą skórę
był to lubieżnik ale i esteta
ów czas palenia ksiąg o złotych grzbietach
był to oprawca ale i poeta
tak naturalnie oprawił kulturę
że biorąc księgę o złoconych grzbietach
wyczuwam żywą aksamitną skórę

triolet na radość z pomyślnego rozwiązania antynomii wolności za pomocą spójników

jestem człek wolny bo o wolność nie dbam
tylko niewolnik o wolność zabiega
powiecie pewnie iż w tym racji nie mam
bom jest człek wolny więc o wolność nie dbam
zgoda i na to a dodam żem nie sam
rzecz tę wymyślił ani z ksiąg wygrzebał
alem człek wolny gdy o wolność nie dbam
i nie niewolnik kiedy nie zabiegam

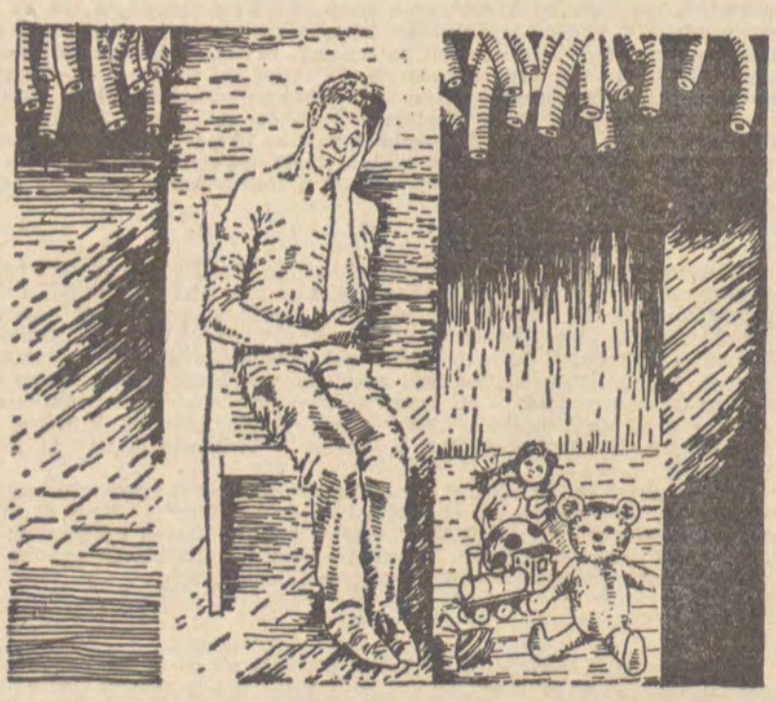

Rys. J. Szymański — Glanc

WASILIJ SZUKSZYN

WILKI

W niedzielę wczesnym rankiem do Iwana Diegtiarowa przyszedł teść Naum Kreczetow, niezbyt stary jeszcze sprytnawy chłop. Iwan nie lubił teścia; Naum jedynie ze względu na córkę znosił obecność Iwana.

— Śpisz? — powiedział Naum. — Ech — cha!... W taki sposób, Waniusza, całe królestwo niebieskie przespać można.

— Nie mam zamiaru tam się wybierać.

— Szkoda... A teraz wstawaj, pojedziemy po drzewo. U brygadzisty dwie fury wyprosiłem. Pewnie, że nie za samo dziękuję, ale czort z nim, drzewa potrzebujemy.

Iwan poleżał, pomyślał... I zaczął się ubierać.

— A wiesz dlaczego młodzież do miasta ucieka? Bo tam jak odrobiłeś swoją normę: baw się! Dają człowiekowi odpocząć. A tu harujesz jak przeklęty i w świątek i w piątek. Nawet dnia i nocy nie jesteś pewien.

— Jak to, bez drzewa zostaniem? — spytała Niura, żona Iwana. — O konia się postarali, a on jeszcze niezadowolony.

— Słyszałem, że w mieście też trzeba pracować — dodał teść.

— Tak, dlatego z przyjemnością poszedłbym linię wodociągową kopać: raz się zrobi, ale potem bez kłopotu — i woda i centralne...

— Z jednej strony, pewnie, wodociąg to dobra rzecz, ale z drugiej — nieszczęście: Iwanuszka, ty byś się zaspał na śmierć! No dobrze, wystarczy tego dobrego, idziemy.

— Będziesz jadł śniadanie? — spytała żona.

Nie chciało mu się jeść.

— Piłeś wczoraj? — zainteresował się teść.

— Tak jest, wasza wielmożność!!!

— Taaaak... No tak. A jeszcze mówi: wodoociąg... Dobra, jedziemy.

Dzień był słoneczny, jasny. Oślepiająco błyszczał śnieg. W lesie cisza i spokój niezwykły.

Jechać trzeba było daleko, dwadzieścia wiorst: bliżej nie pozwalano rąbać.

Naum jechał na przodzie i wciąż się oburzał:

— A niech cię choroba!... Z lasu do lasu po drzewo...

Iwan drzemał w saniach. Uśpiła go monotonna jazda.

Dojechali do przesieki, zjechali w dół, a potem wspinać się zaczęli powoli. Tam na górze znowu sinym murem wznosił się las.

Wtoczyli się na górę... I tu nie opodal drogi zobaczyli przed sobą — WILKI... Z lasu wyszły: stoją, czekają...

Naum niegłośno, śpiewnie zaklął i zatrzymał konia.

— Twoja w duszeńkę maaaać!... Gołąbeczki szare, ustawili się.

Koń Iwana, młody, lękliwy, cofnął się, przekroczył hołoblę. Iwan szarpnął lejcami. Koń chrapał, bił kopytami, nie mógł przestąpić hołobli.

WILKI RUSZYŁY Z GÓRY.

Naum już nabierał szybkości, krzyknął:

— No, co ty??!!

Iwan wyskoczył z sani, siłą wepchnął konia w hołoble... Wpadł do sań. Koń rwał do przodu ile sił.

Naum był już daleko.

— Grabiuuuuuum! — ryczał waląc batem konia.

Wilki szarymi kulami toczyły się z góry przecinając furom drogę.

— Grabiuuuum! — wył Naum.

„Cóż to on, zwariował, czy co? — mimo woli pomyślał Iwan. — Kto go tu grabi? Gdzie?" I przestraszył się, ale jakoś tak dziwnie: i strach był i kłująca ciekawość i śmiać mu się chciało z teścia. Jednakże wkrótce ciekawość mu przeszła. I śmiesznie też już nie było. Wilki były ze sto metrów od sani, biegły jeden za drugim, zbliżały się. Iwan mocno się wczepił w przodek sań i patrzył na wilki.

Z przodu biegł wielki mocno zbudowany z paloną mordą... Już tylko piętnaście — dwadzieścia metrów dzieliło go od zaprzęgu. Iwana zadziwiło niepodobieństwo wilka do owczarka. Przedtem nigdy nie miał okazji z tak niewielkiej odległości przyglądać się tym zwierzętom i wydawało mu się, że one są podobne do owczarków, tylko trochę większe. A teraz Iwan zrozumiał, że wilk to wilk, zwierzę. Najgroźniejszego psa może jeszcze coś w ostatnim momencie zatrzymać: strach, pieszczota, nagły krzyk człowieka. Tego z paloną mordą mogła zatrzymać tylko śmierć. On nie ryczał, nie straszył, tylko dopędzał ofiarę. I spojrzenie jego okrągłych żółtych oczu było zwykłe i proste.

Iwan obejrzał sanie. Nic, nawet małego kijaszka. Oba topory były w saniach teścia. Tylko trochę siana pod bokiem i bat w ręku.

— Grabiuuuuum! — krzyczał Naum.

Iwana przejął prawdziwy strach.

Prowadzący, prawdopodobnie przywódca zaczął obchodzić sanie kierując się w stronę konia. Był w odległości dwóch metrów... Iwan wstał i trzymając się lewą ręką sani trzasnął wilka batem. Ten nie spodziewał się takiego ataku, błysnął zębami, skoczył w bok. Wybił się z rytmu. Z tyłu już nadbiegały inne. Stado z rozpędu zakręciło się wokół przywódcy, który przysiadł na tylnych łapach, uderzył kłami jednego, drugiego... I znowu, łatwo dopędziwszy sanie, sunął do przodu. Iwan przygotował się, czekał na moment, by znowu go zdzielić, ale wilk mijał sanie bokiem, dalej od bata. Iwan zacisnął zęby, zmarszczył się... „Koniec. Śmierć". Spojrzał przed siebie.

— Stój! — wykrzyknął z całej siły. — Ojciec!... Daj topór!

Naum bił konia batem. Obejrzał się, zobaczył jak zięcia otaczają wilki i szybko się odwrócił.

— Stań!.. Daj topór! Ojciec, odbijemy się!

— Grabiuuum!

— Zwolnij, odbijemy się! Zwolnij, gadzie!

— Rzucaj im coś! — krzyknął Naum.

Przywódca stada już się zrównał z koniem i tylko wybierał moment by skoczyć do niego. Wilki biegnące z tyłu były zupełnie blisko: najmniejsze zatrzymanie, a z rozpędu wpadną do sań i — koniec. Iwan rzucił trochę siana. Wilki nie zwróciły na to uwagi.

— Ojciec, ścierwo, zwolnij, rzuć topór!

Naum odwrócił się...

— Wańka, patrz, rzucam!???

— Zwolnij!

— Patrz, rzucam! — Naum rzucił siekierę z boku drogi. Iwan przyszykował się. Skoczył z sani, przewrócił się, chwycił siekierę... Skacząc przestraszył trzy wilki. Odskoczyły w bok, zatrzymały się, by zaatakować człowieka. Ale w tym momencie przywódca, poczuwszy pod sobą twardy śreń — skoczył. Koń zwalił się na bok, w zaspę... Sanie się przewróciły, hołoble zsunęły chomąto, które przycisnęło koniowi gardło. Koń zaczął chrapieć, szamotał się w hołoblach. Wilk czatujący na ofiarę z drugiej strony skoczył pod konia.

Trzy zapóźnione wilki także już tu były. W następnej chwili wyrywały mięso z drgającego jeszcze żywego konia.

Przywódca stada dwukrotnie swoimi żółtymi oczyma popatrzył na człowieka...

Wszystko to stało się tak szybko, że raczej do snu było podobne. Iwan stał z siekierą w rękach, zdezorientowany patrzył na wilki. Przywódca jeszcze raz spojrzał na niego... A spojrzenie to, triumfujące, nachalne, rozwścieczyło Iwana. Uniósł siekierę do góry, zawył dziko ile sił i rzucił się na wilki. Niechętnie odbiegły parę kroków i zatrzymały się oblizując zakrwawione pyski. A robiły to tak starannie i z takim przejęciem, że wydawało się, że człowiek z siekierą zupełnie ich nie obchodzi. Tylko przywódca patrzył prosto na człowieka z wielką uwagą. Iwan sklął go najstraszniejszymi słowami jakie znał. Zamachnął się siekierą i ruszył na niego... Przywódca stał w miejscu. Iwan też się zatrzymał.

— Wygraliście — powiedział. — Żryjcie, ścierwa. — I poszedł do wsi.

Starał się nie patrzeć na rozszarpanego konia. Ale nie wytrzymał, spojrzał... I serce ścisnęło się z żalu i złość go wielka wzięła na teścia. Szedł drogą szybkim krokiem.

— Czekaj, ty! Ja ci dam, gadzie. Odbilibyśmy się, koń byłby cały... Drań!

Naum czekał na zięcia za zakrętem. Gdy zobaczył go żywego szczerze się ucieszył.

— Żywy?! Dzięki ci Boże! — Mimo wszystko nie miał czystego sumienia.

— Żywy! — odkrzyknął Iwan. — A ty też jesteś żywy?

Naum wyczuł groźbę w głosie zięcia. Na wszelki wypadek podszedł do sani.

— A co z nimi?...

— Przesyłają ci ukłony, gadzie!

— Co ty, przeklinasz?

— Bić cię będę, a nie wymyślać...

Iwan podchodził do sani: Naum uderzył konia.

— Stój! — krzyknął Iwan i pobiegł za saniami. — Stój! I tak cię kara nie minie, pasożycie!

Naum walił konia po grzbiecie. Rozpoczął się drugi wyścig: człowiek dopędzał człowieka.

— Mówię ci, stój! — krzyczał Iwan.

— Wariat! — odkrzykiwał się Naum. — Czego się wściekasz? Zgłupiałeś, czy co? Co ja ci zrobiłem?

— Co zrobiłeś? Byśmy się odbili, ale ty zaprzedałeś się!

— Jak byśmy się odbili? Jak?

— Zdradziłeś, gadzie! Ja cię nauczę, jak być porządnym człowiekiem! Nie uciekniesz ode mnie, stój. Wybiję cię bez świadków, mniej wstydu się najesz. A tak — przy ludziach dostaniesz. I jeszcze opowiem wszystko... Dobrze radzę, stój!

— Już staję, chciałbyś! — Naum chlastał konia. — Diabelskie nasienie... skądżeś się wziął na moją głowę!

— Posłuchaj dobrej rady, stary, zatrzymaj się! — Iwan poczuł zmęczenie. — Dla ciebie lepiej: dostaniesz i nikomu nie powiem.

— Ciebie, diabła gołego do rodziny przyjąłem, a ty jeszcze na mnie z toporem?! Wstydu nie masz!

— Zleję cię, a potem o wstydzie będziemy mówić. Stój! — Iwan biegł wolniutko, już bardzo zmęczony. Wreszcie zupełnie przestał biec. Szedł.

— Nie schowasz się przede mną! — wrzasnął w stronę oddalającego się teścia.

W domu Iwan nie zastał nikogo: na drzwiach wisiała kłódka. Otworzył ją, wszedł do mieszkania. Poszukał w szafie... Znalazł niedopitą wczoraj butelkę wódki, nalał szklankę, wypił i poszedł do teścia. U teścia za ogrodzeniem stał wyprzęgnięty koń.

— W domu — z zadowoleniem stwierdził Iwan.

Chwycił za drzwi — nie zamknięte. Myślał, że będą zamknięte. Wszedł do izby... Czekali na niego: w izbie siedział teść, żona Iwana i milicjant. Milicjant się uśmiechał.

— No co, Iwan?

— Taaaak... Już zdążyłeś? — spytał Iwan patrząc na teścia.

— Zdążyłem, zdążyłem. A ty też zdążyłeś zalać mózgownicę?

— Trochę, żeby łatwiej było mówić. — Iwan siadł na stołku.

— Co ty, Iwan? W głowie ci się pomieszało, czy co? — zaczęła Niura. — Co ty?

— Ojczulka twego chciałem trochę pouczyć, jak trzeba być człowiekiem...

— Przestań, Iwan, daj spokój — przemówił milicjant. — Stało się, nieszczęście takie, obaj żeście się przestraszyli... Kto się spodziewał, że tak będzie? Żywioł taki, zrozum...

— Byśmy się odbili... Potem sam z nimi byłem.

— Topór ci rzuciłem? Rzuciłem! Poprosiłeś — i rzuciłem. Co ci miałem jeszcze zrobić?

— Co zrobić? Niewiele: być człowiekiem. A ty — gadzina jesteś! Wszystko jedno, dam ci nauczkę.

— Patrzcie go, nauczyciel się znalazł. Smarkacz... Bieda, aż piszczy, taki był, na wszystko gotowe przyszedł, a teraz się odgraża. Z niczego nie jest zadowolony: kanalizacji, powiada, nie ma!

— Przecież nie o to chodzi, Naum — rzekł milicjant. — Co tu ma do rzeczy kanalizacja?

— Na wsi niedobrze!... W mieście lepiej — ciągnął dalej Naum. — To po coś tu przylazł? Niezadowolenie swoje pokazywać? Ludzi buntować?

— Ach, ścierwo! — zdziwił się Iwan i wstał.

Milicjant też wstał.

— Dość tego! Przestańcie, Iwan...

— Wiesz co z takimi buntownikami robią? — wykrzykiwał Naum.

— Wiem! — odparł Iwan. — Głową w przeręblę... — I zrobił krok w stronę teścia.

Milicjant wziął Iwana pod rękę i wyprowadził z izby. Na ulicy zatrzymali się, zapalili.

— No, czy to nie pasożyt? — wciąż się dziwił Iwan. — Ścierwo takie! I jeszcze na mnie skacze...

— Daj spokój, Iwan, zostaw go.

— Nie, musi dostać w skórę!

— Wtedy i ty dostaniesz. Pomyśl, za takiego drania...

— Dokąd ty mnie ciągniesz? — spytał Iwan.

— Chodź, u nas przenocujesz... Ostygniesz trochę z tego gniewu. A to jeszcze biedy sobie napytasz. Daj spokój. Starego zostaw...

— Nie... ale co to za człowiek, powiedz?

— Tak nie można, Iwan, nie można. Pięścią niczego nie udowodnisz.

Szli ulicą w stronę wiejskiej wartowni.

— A tam nie mogłeś? — spytał nagle milicjant.

— Nie dogoniłem! — ze smutkiem powiedział Iwan. — Nie miałem sił.

— No widzisz... A teraz już nie można.

— Konia szkoda.

— Tak...

Umilkli. I szli tak długo.

— Słuchaj, puść mnie. — Iwan zatrzymał się. — Co ja tam w niedzielę będę robił?... Nie ruszę go.

— Nie, chodźmy. A to ani się spostrzeżesz... Młody jesteś, po co ci to. Pójdziemy, w szachy zagramy... Grasz w szachy?

Iwan splunął na śnieg niedopałkiem i wsunął rękę do kieszeni po drugiego papierosa.

— Gram.

Tłumaczył:
ROMAN GORZELSKI

RYSZARD BINKOWSKI

ŚWIŃSKI PROBLEM W PARZĘCZEWIE

Powstanie czterech nowych spółdzielni produkcyjnych w województwie miejskim łódzkim nazwano ewenementem.

Dobra-Nowiny w gminie Stryków, odłączone od Gieczna **Kwilno, Piątkowisko** pod Pabianicami i **Parzęczew.**

Pojechałem do Parzęczewa.

Nie mam żadnych wspomnień z lat pięćdziesiątych, byłem jeszcze dzieckiem, ale tego, że po dwudziestu pięciu latach stanę się rzecznikiem kolektywizacji, nie spodziewałem się.

W Parzęczewie samorzutnie powstaje spółdzielnia produkcyjna, która zaraz po narodzeniu dostała zadyszki, bo przygniótł ją symptomatyczny dla całej gminy problem rolnictwa, a hodowli i gospodarki paszowej w szczególności.

1.

Dwunastego stycznia wiatr chlasta strugami deszczu, chlupie błoto, pod ponurym niebem wieżyczka starego kościoła, dachy, ściany ciasno zbitych chałup w brudnych zaciekach. W Urzędzie Gminy trzy niewielkie pomieszczenia, urzędnicy walą się łokciami po żebrach i przekrzykują się wzajemnie. Telefony na korbkę, Łódź łapie się po godzinie.

Naczelnik w terenie, sekretarz KG na chorobowym. Palto wkłada **Franciszek Kubicki,** inspektor do spraw rady narodowej, i jedziemy penetrować. Po drodze łapiemy sekretarza. **Jan Marlicki** ma owrzodzony żołądek, ale wbrew zaleceniom lekarza wyciągnięto go do roboty, bo jest niezbędny. Żeby nie było zdziwienia, otrzymuję zaraz wprowadzenie.

— Ciasno, bo nie ma typowych projektów dla budynków gminnych i siedzimy w chałupie. Fachowcy by przyszli, pensje od czterech do sześciu tysięcy, ale brakuje mieszkań. Sam dojeżdżam z Chociszewa, naczelnik z Łęczycy. Nie ma rolników z wyższym wykształceniem, nie można obsadzić stanowiska dyrektora do spraw kultury. W krótkim czasie przez SKR przeleciało trzech dyrektorów, z których jeden był dyrektorem PZU.

Na poboczu stała syrenka **Bolesława Ciężkowskiego,** prezesa nowo powstałej **ROLNICZEJ SPÓŁDZIELNI TUCZU ZWIERZĄT.** Jako negocjator do budynku wszedł Kubicki, który zaraz wrócił i powiedział stroskanym głosem, że prezes jest w nerwach, bo mu paszy zbrakło. Nie chce rozmawiać, kogoś z „Ziemi Łęczyckiej" zdążył już odstawić. Ano, nie trzeba się stawiać. Trzeba wśliznąć się z pokorą. Wchodzę. Po izbie krąży cały w nerwach zwalisty mężczyzna. W oczach zaciętość, lada chwila wybuchnie.

— Włażę, wpycham się jak intruz...

— Jasne! Pan tego nie załatwi!

— A co z tą paszą?

— Do jutra wystarczy. Jadę do Łęczycy. Szukam. Może ktoś pożyczy, a jak nie, to ukradnę. Dwieście warchlaków...

Przyszedł młody chłopak, **Grzegorz Nolbrzak,** z wykształcenia technik-rolnik. Kiedy rozwiązał się Zespół, z dziesięciu członków jeden ubył, ale na jego miejsce do Spółdzielni przyszedł Nolbrzak. Jest jeszcze jeden młody technik-rolnik, **Kazik Kalkowski.**

— Młodzi fachowcy! — wybucha prezes. — **Czy to ich nie zraża?**

Bolesław Ciężkowski rencista z dobrą rentą i mógłby na wszystko machnąć ręką, ale nie. Przejęli z Zespołu do Spółdzielni 55,64 ha z PFZ (posiadają oprócz tego własne gospodarstwa) i nowe budynki (w tym chlewnia) wraz z dokumentacją.

Władze z inicjatywy powołania Spółdzielni ucieszyły się, wyraziły poparcie, **Wojewódzki Związek Rolniczych Spółdzielni Produkcyjnych** zrobił co mógł. Ale dalszy żywot Spółdzielni nie tylko od tego zależy. Zależy też od wielu urzędników. I tu zaczął się taniec świętego Wita, czyli kręcenie głowami. W **Banku Gospodarki Żywnościowej.** Podpisać ze Spółdzielnią umowę kredytową czy nie podpisać? Wykupić całość od Zespołu czy nie wykupić? A może obciążyć kosztami amortyzacji członków? Ale to nowe budynki! Przepisać trzeba majątek wartości sześciu milionów. Ile weźmie rejent? Wybulą spółdzielcy, tak?

— Kto się tak długo zastanawiał?

— BGŻ! Wal pan ostro: pani Fronczak i pan Kawecki.

O czym tu jeszcze mówić? Dzisiaj po raz pierwszy weszli do lokalu. Po raz pierwszy przyszła do pracy księgowa. Etap organizacji, prowizorka. Ale teraz spokojniej: w sobotę dzwonili z BGŻ, że uruchomili kredyt. Dobra, ale kiedy on dotrze do Spółdzielni?

W grudniu spółdzielcy złożyli zamówienie na paszę. Paszy nie ma w całej gminie. Rolnicy zwlekają. Kontraktacyjne dostawy zbóż mają według umowy zrealizować do kwietnia. A świnie głodne. Prezes Ciężkowski nie kupi żyta na rynku, bo leci po pięćset za metr.

2.

Kiedy w **Parzęczewie** założono Zespół Rolników Indywidualnych, przyjeżdżały nawet wycieczki zagraniczne, żeby pooglądać. Specjalnie tę nowoczesną chlewnię.

Nowoczesność pokazała rogi. Zrobiło się duszno, zimno, wysiadła mechanizacja. Ludzie szarpali się z widłami i nie wyszli na zero. Było trochę mniej, czyli lżej w kieszeni. Jak tak, to zwinąć!

Władze i prezes Ciężkowski osobiście przystąpili do akcji ratowniczej. Powstała Spółdzielnia. Kiedy w Spółdzielni coś nie wyjdzie, w kieszeni pozostaną statutowe pensje. Ewenement traci nieco z blasku, ale ewenementem pozostaje.

Foto: W. Parys

Wyrósł problem pasz.

Rolnicy indywidualni też nie mają pasz.

W 1975 roku skupiono w gminie 1500 ton zbóż. Pasz treściwych sprzedano 2 tys. ton. Rolnicy indywidualni rzadko korzystają z pasz zielonych i kiszonek, nawet tych z zielonego żyta. SKR nie nadąża z tego typu usługami. A wiadomo, że przy korzystaniu wyłącznie z pasz suchych leży się.

W ubiegłym roku **Spółdzielnia Kółek Rolniczych w Parzęczewie** 49 ton własnych zbóż przeznaczyła na paszę. Oddała 149 sztuk warchlaków, obecnie na stanie jest 91 sztuk. Dwadzieścia pięć ton provitu i mieszanki zamówiono w grudniu. Otrzymali tylko provit. Żaden GS nie sprzeda mieszanki, bo obowiązuje rozdzielnik.

Zamówienie na mieszankę ulokowano koło Świebodzina. Dodzwonić się nie można, więc wysłano telegram. Nie licząc się z kosztami należałoby pojechać tam osobiście ciężarówką lub ciągnikiem. Bo koleją to ta mieszanka przyjedzie w lutym. Póki co, SKR zwraca się o pomoc do cukrowni. Jak otrzyma pięć ton suszonych wysłodków, to przetrwa do lutego. Ale świnie na wadze nie zyskają.

Mniej kłopotów z paszami ma **PGR Leśmierz — Gospodarstwo Rolne w Pieskowicach.** Ale PGR przestawił się na produkcję bukatów.

W SKR są wolne stanowiska, rolnicy związani umową kooperacyjną chcą wstawić do chlewni prosięta, których nie można przyjąć. Rolnicy mają prawo zaskarżyć SKR o niewywiązywanie się z umów. Są rozgoryczeni. Patrzą z boku na **Marianpol.** To jest spadek po PZKR w Łęczycy, w szybkim tempie i na wyrost budowana nowoczesna chlewnia. Budynek przedłużony, żeby weszło dwa tysiące prosiąt. W takim przedłużonym budynku będą się rwać taśmociągi.

SKR w Parzęczewie ma przejąć chlewnię w Marianpolu. SKR ma obiekcje. Nie trzeba być zootechnikiem, żeby wiedzieć, iż w betonowych murach świnie chowają się źle. Posadzka jeszcze pogarsza sprawę. Tucznik musi mieć 20°C, maciory do 30°C. Maciory po wyproszeniu dostają reumatyzmu i wykręcają nogi, wpadając między szczeble. Musi być nagrzewnica na ropę i nie rdzewiejąca wentylacja. Z braku wody (podobno zrobi się drugi odwiert studni) paszę trzeba robić przez cały dzień. A kiedy ją zadawać? Te same problemy dotyczą chlewni należącej do **Rolniczej Spółdzielni Tuczu Zwierząt.**

W SKR nie ma zootechnika. Odpowiedzialny za gospodarkę rolną, **Hieronim Marcinkowski** mówi:

— Nie jestem samobójcą i chyba się zwolnię. Ale mój następca nie znajdzie tych trzydziestu kilku kawałków ziemi, rozrzuconych w promieniu szesnastu kilometrów. Najłatwiej zwalać winę na miejscowych: „Gdzie pan był przy odbiorze?" Ale przy okrągłym stole jest fajnie, pisze się protokół odbioru, a prywatnie mówi się: „Będzie miał pan kłopoty". Świnie protokołów nie czytają. Zostaje kanalik ściekowy o małym spadzie, zapycha się, łyżka do wyciągania odchodów nie działa, smród. Ludzie ciężko tyrają. Skąd wziąć ludzi, kiedy nie ma mieszkań? Wszystko robię sam: sieję, orzę, kupuję, sprzątam, piszę sprawozdania. Pracowałem dzień i noc w żniwa, w niedzielę i wolne soboty. Minister zarządził, że wolno odebrać wolne dni w innym terminie. Nie dano mi, bo jestem na kierowniczym stanowisku i mam nienormowany dzień pracy. Uważam, że inwestycje trzeba robić z myślą o człowieku. W SKR powinien być dobry chlewmistrz.

No tak, myślę, a tu dodatkowo lansuje się hasło: „W każdej SKR pasieka!" Trzeba skombinować drzewo na dwieście pni. Kto będzie w Parzęczewie hodował pszczółki?

3.

Na 130 ha areału SKR posiada 120 ha gruntów ornych, w tym 5 ha III klasy, 9,7 ha IV klasy, 42 ha V klasy, reszta klasy VI. W tych samych mniej więcej proporcjach rozkłada się wartość gleb w gminie. Przeważają kompleksy żytnio-łubinowe. Kiedy przyjdzie susza, gwałtownie spada wydajność. Ostatnio słońce całkowicie przypaliło seradelę, a jęczmienia uzyskano 6 kq z ha. Z okopowych najlepiej wychodzą ziemniaki, ale na tucz świń są paszą za drogą. Burak pastewny udałby się w niektórych miejscach, lecz trzeba przygotować pod niego glebę, a to wymaga czasu.

W takich warunkach koszt produkcji jednego kilograma żywca w SKR wyniósł czterdzieści złotych.

Łąki zalewa zatruta przez **„Borutę"** Bzura. Ale można obsiać trawą duże obszary gleb niskowartościowych. Na tych glebach urośnie też kukurydza. Miejscowi zastanawiają się, czy wobec powyższego nie należałoby przestawić się na hodowlę bukatów. Kojce z chlewni w Marianpolu jeszcze nie ruszone, można je sprzedać. Ale nie wypada odwracać kota ogonem. No, bo skoro przyjęło się chlewnię. Tylko kto będzie odpowiadał za wyniki hodowli świń? Mówi się nieśmiało, że najlepszym wyjściem byłoby wprowadzenie do chlewni owiec. Koszt adaptacji niewielki, ale znów plany, czekania dwa lata na produkcję itp.

Dyrektor **PGR** twierdzi, że w **Marianpolu** typ chlewni jest nie najlepszy. Poza tym brakuje zaplecza paszowego. Na dwa tysiące świń trzeba zatrudnić przynajmniej ośmiu ludzi. Owszem, mogłaby być owczarnia, ale jeszcze lepiej, gdyby SKR kooperowała z PGR w bukatach. Ale to nie jest prosta sprawa. W gminie należy szczególnie zainteresować się inwestycjami produkcyjnymi i towarzyszącymi im obiektami socjalnymi. To może przyciągnąć ludzi do rolnictwa. Nie mniej ważna jest właściwa organizacja pracy, zarówno w SKR jak i **Rolniczej Spółdzielni Tuczu Zwierząt.** Jeśli te warunki zostaną spełnione, można kończyć chlewnię w **Marianpolu** i wprowadzać tucz.

Wszystko to ładnie brzmi, ale nie wolno zapominać o sprawie zasadniczej, tzn. o zapleczu paszowym. Żeby rozwiązać świński problem w **Parzęczewie,** należy przeprowadzić rewolucję w gospodarce paszowej. Gospodarstwa zespołowe i rolnicy indywidualni muszą znaleźć pomoc, instruktaż i usługi maszynowe w produkcji pasz zielonych, kiszonek i buraka pastewnego. Wymaga to dużego wysiłku, bo gmina **Parzęczew** — 22 sołectwa, 47 wsi, 1055 gospodarstw indywidualnych — tylko pozornie jest gminą typowo rolniczą.

Słaba mechanizacja i około trzystu tzw. dwuzawodowych, których wywozi i przywodzi autokarem m. in. zgierski **„Boruta".** Jeśli w SKR lub spółdzielni produkcyjnej coś nie wyjdzie i płace polecą w dół, ludzie mówią „do widzenia" i idą do fabryki.

Powiedziano mi, żebym przyjechał w kwietniu, jak się wszystko zazieleni, zakwitnie i ruszy produkcja w nowej spółdzielni. Wierzą, że tak się stanie, bo ludzie, choć entuzjazm nieco przygasł, nadal zaangażowani są w sprawę spółdzielni. Ale sami wszystkiego nie zrobią. Pańskie oko konia tuczy w przysłowiu. W życiu nie wystarczy samo patrzenie.

★ ☆ ★

Niemal co drugi dorosły Polak uważa się za „ekonomistę" i myśli, że jest „specjalistą" od problemów handlu, przemysłu, budownictwa i transportu, odsuwając w swoich „ekonomicznych" rozważaniach sprawy rolnictwa na plan dalszy, sądząc, że stanowią one margines naszej gospodarki. Większość bowiem ludzi mieszkających i pracujących w miastach uważa — i tu ma niewątpliwą rację — że na rolnictwie nie zna się i nie musi, że są to sprawy, które powinny obchodzić tylko rolników. Tego rodzaju „poglądy" są na tyle powszechne, że warto przypomnieć, iż rolnictwo zostało podniesione do ważnego działu gospodarki narodowej.

W dokumentach XV Plenum KC PZPR z października 1974 r. można znaleźć następujące stwierdzenia:

„Rozpatrujemy problemy wyżywienia narodu w powiązaniu z całokształtem zadań perspektywicznych rozwoju naszego kraju. Dążymy do tego, aby Polska lat dziewięćdziesiątych była wysoko rozwiniętym zamożnym krajem, zapewniającym obywatelom warunki życiowe na wysokim poziomie, w tym odpowiednie zaspokojenie potrzeb życiowych".

I dalej:

„Złożoność i wielostronność problemów gospodarki żywnościowej, jej wielkie znaczenie dla całego społeczeństwa i dla harmonijnego wzrostu gospodarki narodowej powodują, że jej dalszy rozwój wymaga udziału całego narodu. Dlatego też nasza partia program rozwoju gospodarki żywnościowej stawia w centrum uwagi społeczeństwa i wszystkich gałęzi gospodarki narodowej".

Jeśli zainteresowanie sprawami gospodarczymi choć nie zawsze poparte odpowiednią wiedzą, można uznać za objaw pozytywny, gdyż jest to zainteresowanie sprawami najistotniejszymi dla naszego kraju, to lekceważenie problemów rolnictwa w powszednim odczuciu społecznym należy uważać za rzecz niepokojącą. Wprawdzie nie każdy dorosły Polak musi umieć gospodarować na roli, bo to istotnie sprawa rolników, ale powinien rozumieć i doceniać miejsce gospodarki rolnej w ogólnej gospodarce kraju. Jest to tym istotniejsze, że gospodarka nasza stanowi swoisty „system naczyń połączonych" i niedorozwój którejkolwiek z jej gałęzi wywołuje komplikacje w całym życiu społecznym.

„Podstawowym założeniem polityki rolnej — czytamy w uchwale VII Zjazdu PZPR — **realizowanej wspólnie ze Zjednoczonym Stronnictwem Ludowym — jest rozwijanie produkcji rolniczej i stwarzanie warunków sprzyjających stopniowym przeobrażeniom społecznym na wsi. Polityka partii będzie wychodzić naprzeciw dążeniom wsi do uspołecznienia pracy w rolnictwie. Stawia sobie ona za cel rozwijanie materialnej bazy rolnictwa i udzielania poparcia wszystkim formom zespołowej produkcji rolnej".**

Takiego poparcia dokonującym się przeobrażeniom wsi udzielają nie tylko instytucje i przedsiębiorstwa działające bezpośrednio na rzecz rolnictwa, obsługujące tę dziedzinę gospodarki narodowej. Takiego poparcia udzielamy wszyscy, realizując z powodzeniem swoje zadania społeczne i gospodarcze.

Rolnictwo — jak każda dziedzina naszej gospodarki — posiada szeroko pojęte rezerwy. Zadaniem rolników jest wykorzystać te rezerwy dla dalszego zwiększania produkcji rolnej i hodowli. Ale wykorzystanie tej możliwości przedstawia się nieco inaczej niż w innych dziedzinach gospodarki. Tu częstokroć powodzenie inicjatyw rolników zależy w dużym stopniu od innych, od tych, którzy pracują na rzecz rolnictwa, którzy też pracują dla rolnictwa. Zależy między innymi i od tego, jak szybko w urzędzie załatwi się interesanta rolnika, jak pracuje handel, jak zaopatrzone są sklepy na wsi, jak ze swoich zobowiązań wywiązują się fabryki pracujące również na potrzeby wsi, jak wreszcie na wsi rozwija się usługi, a przecież wiadomo, że z tym jest znacznie gorzej niż w mieście.

Kiedyś lekceważyło się ludzi mieszkających i pracujących na wsi i resztki tego lekceważenia pokutują do dziś w społecznej świadomości. Aby to się zmieniło, nie wystarczy przyjąć do wiadomości, że rolnictwo stało się dziś równoprawną częścią gospodarki narodowej, ale trzeba też starać się zrozumieć problemy współczesnego rolnictwa i jego skomplikowane powiązania z całą gospodarką. Trzeba starać się zrozumieć przemiany, jakie zachodzą we współczesnej wiejskiej społeczności. Wieś z 1976 roku, to już nie dawna, cicha i spokojna polska wieś. Wbrew pozorom problemy rolnictwa są trudne i wielce skomplikowane, ale mimo to — a właściwie nawet i dlatego — powinny one znaleźć prawo obywatelstwa w naszym społecznym rozumieniu współczesności. Inaczej rozumienie to będzie niepełne.

BOKS

NORMAN MAILER

MUHAMMAD ALI KONTRA GEORG FOREMAN

Publikujemy fragmenty relacji amerykańskiego pisarza Normana Mailera ze słynnego pojedynku bokserskiego, jaki rozegrał się w Zairze między Muhammadem Ali a Georgem Foremanem.

Ali pociągnął spory łyk soku pomarańczowego z butelki i spojrzał z rozbawieniem na Broadusa. — Powiedz mu, żeby bił mniej w brzuch — poradził.

George tak miał zrobić. George bez wątpienia zamierzał bić go w brzuch. Cóż to będzie za walka. Ostatnie pięć minut przygotowań minęły w mgnieniu oka. Menażer Aliego, Herbert Muhammad syn Elijaha, mężczyzna o okrągłej, dobrotliwej twarzy (sądząc po wyglądzie można byłoby bez wysiłku owinąć go wokół małego palca) wszedł wraz z Alim do dużej łazienki przylegającej do szatni. Herbert odziany był w długą, białą szatę — ubiór duchownego Islamu, bo w takiej roli miał teraz wystąpić i wkrótce spoza drzwi dobiegł zebranych jego głos recytujący wersety Koranu.

Ferdie Pacheco wrócił z szatni Foremana — Wszystko w porządku — oświadczył. — Możemy zaczynać.

Po minucie w drzwiach łazienki ukazał się Ali i syn Elijaha Muhammada. Ali natychmiast rzucił się do walki z cieniem, a jego menażer zamknął oczy w modlitwie.

— Co słychać u Foremana? — spytał ktoś i Pacheco wzruszył ramionami. — Foreman milczy. Nakryli go stosem ręczników.

Ze stadionu przyszło wezwanie: — Ali na ring. Ali na ring. Bundini uroczyście wręczył bokserowi białą szatę — tę którą wybrał Ali. Potem wszyscy opuścili szatnię — dwudziestu pięciu mężczyzn jeden za drugim przepchnęło się przez pluton żołnierzy stojący zaraz za drzwiami, a potem pod ochroną całej kompani wojska ruszyło biegiem przez kręty, betonowy korytarz, którego ściany nie odbijały już echa salw i śmiertelnych jęków. Betonowy korytarz skończył się i oto przed nimi ukazał się stadion, nierzeczywiście radosny, nierzeczywiście zielony, oświetlony blaskiem potężnych reflektorów i wypełniony po brzegi ludzką masą. Sześćdziesięciotysięczny tłum od północy już cierpliwie czekający na walkę przywitał Aliego dosyć chłodno. Nic dziwnego — ci ludzie siedzieli tu od czterech godzin oglądając pusty ring (półfinał został przełożony) i kolejne występy czarnych tancerzy. Wszyscy byli zmęczeni i trochę rozczarowani.

Nad ringiem stojącym pośrodku boiska wznosił się dach z falistej blachy, pod którym zmieściło się jeszcze dwa i pół tysiąca najbliższych siedzeń. Ostrożność była konieczna — rozpoczynała się już bowiem pora deszczowa i niebo zasnuwały czarne jak dym, groźne, fantastycznie skłębione chmury. Była dopiero czwarta nad ranem, ale temperatura sięgała trzydziestu pięciu stopni Celsjusza.

Norman siedział obok Plimptona w drugim rzędzie od ringu — miejsce warte długiej podróży dwunastu tysięcy mil w jedną stronę. Przed nimi siedzieli sprawozdawcy radiowi, u samego podnóża ringu kręcili się fotoreporterzy, a za linami stał Ali smarując żywicą podeszwy bokserskich pantofli, przyciągając uwagę tłumu szybkimi przebieżkami w miejscu i co jakiś czas odwracając się, żeby wystrzelić serią błyskawicznych uderzeń w ciągu dwóch sekund, nie więcej — sto dwadzieścia jeden, sto dwadzieścia dwa i dwanaście ciosów pruje powietrze. Wrzask tłumu na widok zamazanych szybkością ruchów rękawic. Był w ringu sam.

Foreman ciągle jeszcze nie opuszczał szatni. Znacznie później Plimpton dowiedział się szczegółów od starego przyjaciela Archie Moore'a.

„Przed wyjściem na ring Foreman i jego bokserski sztab — Dick Sadler, Sandy Sadler i Archie — złączyli ręce. Było to coś w rodzaju rytualnej modlitwy, którą powtarzali przed każdą walką po tym, jak Foreman zdobył na Jamajce tytuł Mistrza Świata".

Foreman stanął wreszcie w ringu. Miał na sobie czerwone, aksamitne spodenki z białym lampasem i niebieską przepaską. Jego talię otaczały kolory amerykańskiej flagi, nogi zaś ściskały białe bokserskie buty.

Czarny sędzia Zack Clayton szanowany przez wszystkich za świetną znajomość swojej profesji, już na nich czekał. George zdążył tylko dojść do swojego narożnika, podskoczyć kilka razy, przetrzeć podeszwy butów żywicą, jego ludzie klepnęli go przyjaźnie po szerokich plecach i w chwilę potem bokserzy spotkali się na środ-

Dalszy ciąg na str. 7

CENTRUM TAJNEGO FRONTU XV

ANDRZEJ BLAJER

TRUDNE DNI

Druga połowa 1943 roku rozpoczęła się wydarzeniem, które w konsekwencji swego przebiegu wywarło decydujący wpływ na losy wojny na Wschodzie. Oto 5 lipca 1943 roku rozpoczęła się bitwa na łuku kurskim, będąca największą bitwą pancerną w zmaganiach wojennych nie tylko na froncie radziecko-niemieckim, ale również na wszystkich frontach II wojny światowej. Bitwa ta była zarazem trzecią wielką operacją strategiczną (po Moskwie i Stalingradzie), która rozpocząwszy się dla strony radzieckiej od walk obronnych, przekształcała się w czasie działań w przeciwnatarcie, aby następnie przejść w orłowską i biełgorodzko-charkowską operację zaczepną z zadaniem rozgromienia głównego zgrupowania uderzeniowych sił armii niemieckiej.

W rezultacie osiągnięcia tego ostatniego celu stało się następnie możliwe przeprowadzenie dalszych operacji zaczepnych, które umożliwiły Armii Czerwonej osiągnięcie linii Dniepru i rozbicie zajmujących ją sił hitlerowskich. Dlatego właśnie bitwa ta jest zgodnie uważana za operację strategiczną, która dokonała zasadniczego przełomu w wojnie na Wschodzie.

O jej ogromie świadczą olbrzymie siły i środki, jakie zostały użyte po obu stronach — 4 miliony ludzi, około 70 tysięcy dział i moździerzy, 13 tysięcy czołgów i dział pancernych oraz 12 tysięcy samolotów. W wyniku trwających 50 dni krwawych i zaciekłych zmagań została przełamana obrona niemiecka nad Dnieprem, a jednocześnie załamała się strategia ofensywna naczelnego dowództwa armii hitlerowskiej. W toku działań bitewnych zostało rozbitych 30 dywizji wroga (w tym 7 pancernych), zaś straty Niemców w zabitych i rannych wyniosły ponad 500 tys. żołnierzy. Nie mniej dotkliwe były również straty w sprzęcie, zniszczonych bowiem zostało około 1.500 czołgów, 3 tysięcy dział i ponad 3.700 samolotów. Od tego momentu aż do końca wojny inicjatywa strategiczna znajdowała się nieprzerwanie w rękach dowództwa Armii Czerwonej.

Bitwa pod Kurskiem nie była bynajmniej jedynym wydarzeniem militarnym połowy roku 1943 na frontach europejskich. 10 lipca na Sycylii i w południowych Włoszech rozpoczęła się inwazja wojsk anglo-amerykańskich. Tak więc to, czego najbardziej się obawiano w basenie Morza Śródziemnego, stało się faktem. Sytuacja w tym rejonie była tym niekorzystniejsza dla Niemców, iż mając świadomość konsekwencji, jakie pociągnie za sobą zajęcie przez aliantów Włoch, zwłaszcza, że stanowią one niejako przedpole Bałkanów — nie byli w stanie skutecznie temu przeciwdziałać, bowiem trzon ich armii był od kilku dni zaangażowany w działania operacji kurskiej.

Jak by tego jeszcze było mało, niebawem kwatera główna Hitlera otrzymała całkowicie niespodziewaną wiadomość z Włoch. **25 lipca 1943 r.** w wyniku dokonanego zamachu stanu Mussolini został pozbawiony władzy i uwięziony. Utworzenie nowego król Wiktor Emanuel III zlecił marszałkowi Pietro Badoglio, który w kilka dni później za pośrednictwem swoich przedstawicieli rozpoczął w Lizbonie pertraktacje z zachodnimi aliantami, dotyczące wycofania się Włoch z wojny. Nic więc dziwnego, iż wściekłość Hitlera, gdy się o tym dowiedział, nie miała granic. Włosi nigdy nie byli dlań równorzędnymi partnerami, zaś teraz posunęli się jeszcze do zdrady. Jednak chwilowo führer nie mógł rzucić swoich armii na południe, aktualnie były mu one potrzebne na froncie wschodnim.

W okresie tych gorących, decydujących o losach wojny dni na znajdującą się w dość trudnej sytuacji grupę wywiadowczą **„Dory"** spadło wiele nowych zadań. Podobnie jak w okresie poprzedzającym operację „Cytadela", tak i teraz, w czasie jej trwania meldunki otrzymywane z Berlina od „Werthera", „Teddy", „Olgi", „Anny" i innych (jak wiadomo pod tymi kryptonimami kryły się źródła informacji w OKW, OKH, OKL, Ministerstwie Spraw Zagranicznych itd). miały ogromną wartość dla radzieckiego naczelnego dowództwa. Aby więc sprostać zwiększonym zadaniom wynikającym z aktualnej sytuacji na frontach, należało zapomnieć o niebezpieczeństwie, które od pewnego czasu zaczęło poważnie zagrażać sprawnemu funkcjonowaniu grupy wywiadowczej, a nawet jej dalszemu istnieniu.

„Dora" doskonale zdawał sobie z tego sprawę, tym bardziej, że krąg podejrzeń wokół jego organizacji stale się zacieśniał i w każdej chwili należało spodziewać się jakiejś akcji ze strony policji, władz federalnych, bądź agentów niemieckich znajdujących się w Szwajcarii. Bezpieczeństwo grupy wymagało natychmiastowego ograniczenia, bądź nawet na pewien czas przerwania jej działalności, jednak świadomość, że w tych decydujących dniach Centrala zostałaby pozbawiona dopływu cennych informacji nakazywała kontynuować pracę bez względu na wszystko. Pracowano więc prawie bez wytchnienia, bo i materiału przeznaczonego do wysłania w eter było ogromnie dużo.

Szala zwycięstwa w krwawych walkach na łuku kurskim coraz zdecydowaniej przechylała się na korzyść Armii Czerwonej, zaś na południu Włoch wojska alianckie, choć bardzo powoli, to jednak stale posuwały się w górę Półwyspu Apenińskiego.

3 września 1943 roku, w wyniku prowadzonych od sierpnia tajnych pertraktacji przedstawicieli włoskich kół rządzących z dowództwem wojsk anglo-amerykańskich podpisano porozumienie o zawieszeniu broni, które przewidywało bezwarunkową kapitulację Włoch. Wiadomość o tym fakcie wywołała w Berlinie natychmiastową reakcję. Hitler bezzwłocznie wydał rozkaz o wkroczeniu dywizji Wehrmachtu i Waffen SS do północnych prowincji Włoch celem powstrzymania naporu wojsk alianckich. 10 września 1943 r. wojska hitlerowskie zajęły Rzym rozbrajając po drodze oddziały armii włoskiej, zaś 12 września spadochroniarze dowodzeni przez podwładnego Schellenberga, SS-Hauptsturmführera Otto Skorzennego, uwolniły w Gran Sasso Mussoliniego. W dziesięć dni później duce proklamował w Saló, na terytorium zajętym przez armię niemiecką, Włoską Republikę Socjalną.

Tymczasem w Szwajcarii władze Konfederacji z rosnącym niepokojem obserwowały rozwój sytuacji na Półwyspie Apenińskim. Neutralność i niezawisłość ich kraju mogła zostać w każdej chwili naruszona przez potężnego sąsiada z północy. Na pomoc ze strony aliantów zachodnich nie było na razie co liczyć. Z kolei nawet całkowita uległość wobec żądań Rzeszy też nie gwarantowała bezpieczeństwa Szwajcarii. Czołowe osobistości Konfederacji nie były poza tym jednomyślne co do kroków, jakie należałoby podjąć w tej niezwykle skomplikowanej sytuacji. Brygadier Masson, który nadal utrzymywał ścisłe kontakty z Schellenbergiem, twierdził, że Szwajcarii nie grozi aktualnie atak ze strony Niemiec. Generał Guisan nie podzielał jednak tej opinii uważając, że sytuacja istniejąca w północnych i środkowych Włoszech jest niezwykle groźna z punktu widzenia bezpieczeństwa kraju. Niemcy bowiem, rozgoryczeni porażkami na frontach, mogli w każdej chwili dokonać agresji. Toteż jego zdaniem należało natychmiast zarządzić powszechną mobilizację. Temu projektowi sprzeciwiał się jednak stanowczo Pilet-Golaz, szef Departamentu Politycznego Konfederacji (Ministerstwa Spraw Zagranicznych) powołując się na względy polityczne i ekonomiczne wynikające z takiej decyzji. Poza tym za żadną cenę nie należało drażnić Hitlera. Toteż policja federalna tzw. BUPO (Bundespolizei) i kontrwywiad, które dotychczas patrzyły przez palce na działalność obcych agentów na terenie swego kraju, obecnie przystąpiły do zdecydowanych akcji, zwłaszcza przeciw tym spośród nich, którzy uprawiali szpiegostwo na szkodę III Rzeszy. Była to oczywiście woda na młyn Niemców, a zwłaszcza szefa kontrwywiadu SS, Waltera Schellenberga. SS-Brigadeführer miał znów powód do zadowolenia. Teraz bowiem Roger Masson będzie musiał, chcąc nie chcąc, dotrzymać obietnicy danej w marcu 1943 roku.

Z początkiem września 1943 r. Szwajcarzy rozpoczęli intensywne poszukiwania organizacji **„Dory"** celem jej zlikwidowania. Przede wszystkim przeprowadzili dokładną lokalizację radiostacji grupy. Pierwsze informacje w tym względzie już posiadano — od Niemców. Kontrwywiad wiedział zatem, iż dwie radiostacje znajdują się w Genewie, zaś jedna w Lozannie. Zadanie ich wykrycia powierzono specjalnej jednostce pelengacyjnej Fk Kp 7 („Gropue du Lac"), kierowanej przez podporucznika Maurice'a Treyera. Grupa ta lokalizowała stacje nadawcze pracujące na falach długości 40—52 metry, zazwyczaj bowiem właśnie na tych falach przesyłano po północy zaszyfrowane meldunki. Do przeprowadzenia poszukiwań radiostacji **„Dory"** jednostka Treyera otrzymała trzy aparaty pelengacyjne bliskiego zasięgu zainstalowane na samochodach, które rozlokowano w różnych miejscach na przedmieściach Genewy. Następnie prowadząc nieprzerwany nasłuch wozy pelengacyjne powoli zbliżały się z trzech kierunków do punktu, w którym znajdowała się namierzana radiostacja. Zlokalizowanie pierwszej z nich nastąpiło 20 września 1943 r. Wykryty nadajnik („Edwarda" i „Maud"), który oznaczono symbolem LA, według oceny radiooperatorów porucznika Treyera znajdował się w rejonie ulicy Florissant. W pięć dni później ustalono położenie drugiej tajnej radiostacji, tym razem w gęsto zamieszkałej części miasta, w okolicach ulicy Henri Mussarda. Ta druga radiostacja („Róży") otrzymała symbol LB. Teraz pozostawało tylko dokładnie ustalić domy, w których znajdowały się owe nadajniki i policja mogła przystąpić do działania.

Obsługujący radiostację „Edward", „Maud" i „Róża", niczego nie podejrzewając, nadal intensywnie pracowali. Jednak po pewnym czasie, na początku października, Rado otrzymał od tej ostatniej niepokojącą wiadomość. Margrit Bolli powiedziała mu bowiem, iż w pobliżu bramy jej domu kręcą się jacyś dziwni ludzie, którzy robią wrażenie jakby kogoś obserwowali. Był u niej również człowiek, który podając się za elektromontera, sprawdzał w jej mieszkaniu instalację oświetleniową, choć wcale go nie wzywała. Sytuacja była dość groźna. Rado postanowił więc poinformować Centralę o okresowym zaprzestaniu pracy przez radiostację „Róży", której zlecił opuszczenie mieszkania i udanie się do swych rodziców w Bazylei. Aparat nadawczo-odbiorczy zdemontował „Edward", który wyniósł go w walizce, tuż pod samym nosem agentów tajnej policji i ukrył w sklepie swego domu przy ulicy Carouge.

„Róża" jednak nie wyjechała do Bazylei. Od tego planu odwiódł ją jej przyjaciel, Hans Peters, ów młody fryzjer, w którym się zakochała. Był on, jak już wcześniej wspomniano, agentem Abwehry (pseudonim „Romeo"). Gdy niemiecka służba nasłuchu radiowego przechwyciła tekst depeszy wysłanej 10 października przez „Dorę" do Centrali, Peters musiał otrzymać instrukcję, aby za wszelką cenę nie pozwolił „Róży" opuścić Genewy. Tak też się stało, Margrit Bolli nie wyjechała do Bazylei, ale przeniosła się potajemnie do Hansa Petersa, który najwidoczniej przekonał ją, że jest to najlepsza kryjówska przed policją.

Peters, któremu Abwehra zleciła jesienią 1942 roku zadanie wytropienia radzieckich radiostacji w Genewie, pozostawał w ścisłym kontakcie z urzędnikiem niemieckiego konsulatu w tym mieście, Hermannem Henselerem. Henseler (ps. „Rhenanus"), podobnie jak Peters pracował dla Abwehry przekazując informacje uzyskane od „Romea" swoim przełożonym w Berlinie. Udało im się m.in. zdobyć swego czasu książkę kodową „Róży", która zawierała klucz do szyfru Sandora Rado. Dzięki temu kontrwywiad hitlerowski był w stanie przeczytać znaczną część depesz przesyłanych przez „Dorę" do Centrali.

Ale nie tylko Peters czy Henseler wykazywali szczególne zainteresowanie siatką wywiadowczą Rado. Jeszcze w lecie 1943 roku **„Dorę"** odwiedził w jego mieszkaniu „znajomy" z okresu działalności w „Inpressie". Był to wspominany już Yves Rameau czyli Ewald Zweig (pseudonim „Aspirant"), podający się za członka francuskiej sekcji „Czerwonej Orkiestry". Według jego opowiadania, po rozbiciu siatki na terenie Francji udało mu się zbiec z obozu koncentracyjnego i przedostać się do Szwajcarii. Teraz znów zdobył aparat nadawczy i chciałby nawiązać kontakt z Moskwą, gdyż ma do przekazania niezwykle ważne informacje. Dla Rado nie ulegało wątpliwości, iż wizyta ta stanowi poważny sygnał ostrzegawczy i jasno wskazuje, iż Niemcy znajdują się na jego tropie. Yves Rameau był bowiem agentem gestapo, wywiadu Vichy oraz tajnej policji szwajcarskiej. Podobne obawy wywołało również pojawienie się dwóch osobników, Rosjan z pochodzenia, podających się

za agentów radzieckich. Także w tym przypadku nie było wątpliwości, że kontakty z rzekomymi wysłannikami Centrali mogą naprowadzić na ślad grupy Abwehrę lub SD.

We wrześniu 1943 r. Schellenberg postanowił wykorzystać pomyślną dlań atmosferę niepewności i obaw przed atakiem ze strony Rzeszy, w jakiej żyła wówczas Szwajcaria. Teraz można było zlikwidować, bądź wyłączyć z gry, wszystkie osoby działające na szkodę Niemiec, a przede wszystkim przerwać kanał dostarczający informacje z Berlina do Moskwy. Toteż agenci szefa kontrwywiadu SS, których genewska baza mieściła się w pobliżu dworca Cornavin, w hotelu szwajcarskiego nazisty, otrzymali polecenie sporządzenia dokładnej listy osób podejrzanych o przekonania i działalność lewicową wraz z ich adresami. Jednocześnie Schellenberg postanowił wykorzystać w swej grze podwójnych agentów, „Lorenza" i „Laurę". Było to małżeństwo, które prawdopodobnie od 1942 roku współpracowało z siatką „Dory" za pośrednictwem „Jima". Alexander Foote utrzymywał z nimi kontakt w porozumieniu z Centralą, uzyskując od Wilmerów (Rado w swej książce, której polskie tłumaczenie pt. „Dora" nadaje" ukazało się ostatnio na półkach księgarskich, nazywa ich Martinami) szereg interesujących Centralę informacji. „Lorenz" wcale zresztą nie ukrywał, że pozostaje w kontakcie z kontrwywiadem Vichy.

Georg i Johanna Wilmerowie mieszkali w luksusowej willi w okolicach Lozanny i widać było, że powodzi im się dobrze. Jak się później okazało, byli subwencjonowani przez Departament VI RSHA (kontrwywiad Schellenberga), na którego służbie pozostawali już od szeregu lat. Teraz polecono im wyśledzić mieszkanie „Jima" i, o ile to będzie możliwe, przeszukać je. Było to tym łatwiejsze, iż Foote po historii z „pomarańczową kopertą" na polecenie Centrali wyjechał do Ticino. Kiedy znów powrócił do Lozanny, w początkach października, zawiadomił „Dyrektora", że chyba wszystko jest w porządku, bowiem nie dostrzegł żadnych śladów rewizji, ani też nie zauważył, aby go ktoś śledził. Wprawdzie dozorczyni powiedziała mu, że jacyć ludzie: mężczyzna i kobieta dopytywali się o niego, „Jim" jednak, choć domyślił się, że może tu chodzić o „Lorenza" i „Laurę", nie widział powodów do alarmu. Może znów chcieli nawiązać z nim kontakt, który od pewnego czasu uległ zerwaniu. Niebawem miał się przekonać, że tym razem bynajmniej nie chodziło o kontakt.

Tymczasem w Genewie policja i specjaliści ze służby pelengacyjnej uzyskali w pierwszej połowie października 1943 roku dokładne informacje odnośnie lokali, w których pracowały tajne radiostacje grupy **„Dory"**. Postanowiono jednak działać ostrożnie, aby obsługa nadajników nie zorientowała się, że jest śledzona. Najpierw zamierzano zlikwidować radiostację „Maud" i „Edwarda", która funkcjonowała za miastem, opodal granicy francuskiej. Gdy uzyskano pewność co do miejsca, gdzie się znajdowała, policja przystąpiła do działania.

Wieczorem, 13 października 1943 r., BUPO i jednostka porucznika Treyera otoczyły willę Hamelów przy Florissant 192. Tuż obok domu rozpościerał się stary park, w którym łatwo było umknąć przed pościgiem. Tam też ukryto policjantów z psami. Gdy „Edward" i „Maud" przybyli do willi, przepuszczono ich, było ciemno i Hamelowie niczego podejrzanego nie zauważyli. Kolejny seans łączności miał nastąpić, jak zwykle, po północy. Agenci policji, kontrwywiadu i żandarmerii otoczyli willę zwartym pierścieniem. Wóz pelengacyjny Treyera, ukryty w parku, czekał na pierwszy wysłany w eter meldunek, który miał być sygnałem do rozpoczęcia akcji.

REPORTAŻ ZAGRANICZNY

JAPONSKI PARADOKS

Dokończenie ze str. 1

robotników; 372.075 osób ofiarowało metal, przy którego obróbce pracowało potem 514.902 robotników.

Całością robót kierował ekspert w dziedzinie sporządzania posągów Buddy, niejaki Kuni-no-Kimimaro.

Po 7 latach od rozpoczęcia budowy, 9 kwietnia 752 r. odbyło się uroczyste poświęcenie. Nie ukończono wprawdzie jeszcze złocenia posągu, ale ceremonię przyśpieszono, bo Shomu, posiadający teraz tytuł Dajo-Tenno przyznawany byłym cesarzom, jako że abdykował na rzecz cesarzowej Koken — zachorował.

10 tys. urzędników cywilnych i wojskowych, mnisi i wierni uczestniczyli w święcie, które nie miało ponoć równych w Japonii od czasu przyjęcia buddyzmu, co nastąpiło za pośrednictwem Korei w VI wieku. Złocenia zakończono w 757 roku, a Shomu przeżył jeszcze tylko rok.

Przypuszcza się, informacje o tym nie są pewne, że cesarz ten dążył do upowszechnienia budowy „kokubunji" — prowincjonalnych świątyń wznoszonych przez państwo, a Daibustu-den, świątynia Buddy w Nara będącego wówczas stolicą, miała być centralnym ośrodkiem kultu.

Inna wersja podaje, że w tym czasie dwór pławił się w zbytku i uciechach, zaś rolnicy żyli w nędzy, a całe społeczeństwo buntowało się przeciwko niesprawiedliwości. Trwała też walka o władzę. Shomu więc miał jakoby wybudować Daibutsu dla wytchnienia i dla udowodnienia, jakim jest silnym władcą.

2.

W folderze zachęca się turystów do zwiedzenia rozległego i przepięknego parku, okalającego świątynię w Nara, którego urocze zakątki urządzono w starym japońskim stylu. W parku cicho szemrzą strumyki, sadzawki pełne są pięknej zielonej wody, kępy krzewów misternie ulokowano zgodnie z tradycją. Wszystko to ma skłaniać do zadumy, kontemplacji.

Ale nic z tego. Tuż za progiem bramy wejściowej witaja przybysza nawoływania przekupniów, którzy rozłożyli tu swój „pamiątkarski" towar, wprost na asfalcie szerokiej alei wiodącej w głąb parku. Są to najczęściej prymitywne stoły, obwieszone dookoła pomarańczowego koloru woreczkami, które po naciśnięciu zaczynają zanosić się spazmatycznym, nieopanowanym śmiechem. Są tam też miniaturki wielkiego dzwonu z Nara odlane w złoconym aluminium, lub ordynarnie odciśnięte w glinie. Tandeta...

3.

Świątynia Todajidżi jest ogromna. Stojąc przed jej sczerniałym przez wieki masywem, człowiek czuje się zagubiony i przytłoczony.

Wewnątrz panuje półmrok. Najpierw więc zapaliłem trociczkę, kupioną w kiosku czynnym wewnątrz świątyni i wetknąłem ją w piasek, tuż za wrotami. Sterczało tam już kilkadziesiąt podobnych cieniutkich patyczków, z których sączył się wąziutkimi, niebieskimi strużkami wonny, kadzidlany dym.

Poddałem się panującemu tu nastrojowi. Zapomniałem o przewalającym się tłumie starych i młodych Japończyków. Nie słyszałem bezustannego trzaskania migawek aparatów fotograficznych i grzechotania kamer filmowych. Starałem się skupić.

Majestatyczna, potężna postać Buddy, czarniawa teraz, bo złocenie zeszło w ciągu wieków, przytłaczała swoim ogromem. Budda był daleki, wielki, dostojny, niedostępny. Był wyniosły, zamknięty w sobie, wyizolowany. Lewą dłoń uniósł ku górze gestem nakazującym uwagę. Palec serdeczny (120 cm długości!) wychylony był nieco do przodu.

Przed posągiem, na podniesieniu, które można śmiało porównać z ołtarzem, w misternych stosach leżały jabłka ofiarowane Buddzie, migotały świece ofiarne, pyszniły się wspaniałe bukiety kwiatów. Snuły się wonne dymy trociczek. A Budda — otoczony uwielbieniem i czcią, obsypany darami i adorowany, strzeżony przez wyrzeźbionych w drzewie straszliwych wojowników, zdawał się nie zwracać na to uwagi, żyjąc własnym życiem, oderwany od tego świata pełnego fałszywych przyjaciół, tanich pochlebców, intrygantów i oszustów.

Potrącany przez tłoczących się turystów, stałem długo patrząc mu w wielką, pyzatą twarz, urzeczony tym niewzruszonym spokojem i obojętnością, promieniującym z całej jego postaci. Chciałem zapamiętać, zabrać ze sobą do mojego dalekiego kraju, jakąś część tej tajemnicy, która sprawiła, że nauka Buddy tak wielu — nie tylko wśród ludów Dalekiego Wschodu — zyskała wyznawców.

Lecz i on się nie ustrzegł marności tego świata. W 1180 roku, w czasie zamieszek i wojny domowej wojsko pod dowództwem Taira-no-Shigehira, gdy walczyły ze sobą rody Minamoto i Taira, podpaliło miasto Nara. Spłonęła wtedy świątynia Daibutsu-den i inne świątynie zespołu Todajidżi. Głowa Daibutsu została zwalona na ziemię i zniszczona, podobnie jak i prawa ręka. Dopiero w 6 lat później odrestaurowano posąg i odbudowano świątynię, znowu została kompletnie zburzona, a posąg poważnie uszkodzony. Tak to trwało 125 lat i dopiero potem posąg i budynek przywrócono do dawnej świetności. Wszakże Budda jest obecnie nieco niższy (mierzy 14,85 m — dawniej 16,2). Mniejsza też nieco jest sama świątynia.

3.

Prasa japońska oburza się i rzeczywiście wygląda to paskudnie: zaczęto bowiem niedawno realizować projekt dość osobliwy, na miarę co prawda gigantycznych przedsięwzięć tego kraju. Na betonowym fundamencie okalającym Daibutsu-den, która bądź co bądź liczy dziś 57 m szerokości (o 29 m mniej niż pierwotnie), 50 m długości i 47 m wysokości ma być wzniesiony rodzaj gigantycznej oszklonej gabloty. Chodzi o to, aby drewnianą świątynię uchronić przed zgubnym działaniem smogu: mieszaniny spalin i pary wodnej, który nad wyspami japońskimi pełni rolę atmosfery. Cel to szlachetny, przyczyny oczywiste, ale coś się jednak w człowieku buntuje...

Spacerowałem po parku przez kilka godzin, opędzając się od niezliczonej ilości oswojonych, nachalnych jeleni, wtykających pyski do kieszeni w poszukiwaniu łakoci. I znowu wracałem przed oblicze Daibutsu, zwanego oficjalnie Virushana Budda, czyli „ten, który opromienia cały świat..." I chwytałem się na tym, że mimo woli daję się ponosić niezwyczajnemu nastrojowi.

Po spotkaniu z wielkim Buddą w Nara, Daibutsu z Kamakury nie robi już tak dużego wrażenia. Nie jest przecież aż tak ogromny, mierzy „zaledwie" 11 metrów wysokości, odlano go z ok. 250 ton brązu w 1252 roku. Ten Budda siedzi na kwiecie lotosu, w luźnej, opływającej ciało szacie, ręce zwrócone ma ku górze i oparte o nogi. Z całej postaci emanuje spokój bliski znużeniu. Budda ma oczy zamknięte — podobno dlatego, że nie chce patrzeć na ludzkie nieprawości. Ale nie robi takiego wrażenia jak jego „większy i starszy brat" z Nara.

Tu można dokładnie zobaczyć „jak oni to robili". Przez niewielkie drzwiczki można wejść do... środka posągu i obejrzeć „szwy" pozostawione po łączonych kawałkach odlewu. Wchodzi się po małych kamiennych schodkach, a potem wyżej, aż do poziomu piersi posągu, po stalowej drabince. Posąg ma okratowane okno z otwartymi okiennicami. Okno to umieszczono w plecach posągu. A posąg widziany od środka robi dziwne wrażenie. Jest po prostu ogromną budowlą, w której można by z powodzeniem urządzić przyjęcia na 24 osoby posadzone przy wspólnym stole.

4.

Wychodzę na zewnątrz i jeszcze raz patrzę na ogromny posąg, dominujący nad drzewami okalającego go ogrodu. Jakaś wycieczka dzieci szkolnych, ubranych w jednakowe białe garniturki i pomarańczowe czapeczki, ustawia się karnie na schodach przed posągiem. Za chwilę fotograf wykona zdjęcie. Taki jest niezmienny rytuał japońskich i nie tylko japońskich turystów: zobaczyć, sfotografować i jechać dalej.

Buddyzm twierdzi, że życie jest cierpieniem. Wyzwolić się od życia można przez odsunięcie się od niego, przez wyrzeczenie się wszystkiego, co istnieje, przez pogrążenie w błogim spokoju — nirwanie. Tylko w ten sposób można bowiem przerwać łańcuch wcieleń następujących po każdej śmierci. A każde nowe wcielenie to nowe cierpienie... Tylko przerywając łańcuch wcieleń można narodzić się powtórnie w „brylantowym raju Buddy..."

Wyznawanie zasad buddyzmu jest dziś jeszcze powszechne w Japonii. Ale nie przeszkadza to jej obywatelom utrzymywać ścisłych związków z życiem, doskonalić gospodarkę. Japonia wszak należy do czołówki gospodarczych potęg świata. Jest to niewątpliwie jeden z większych paradoksów współczesności: wierność zasadom buddyzmu i oszałamiający postęp cywilizacji.

JÓZEF POTĘGA

Foto: Autor

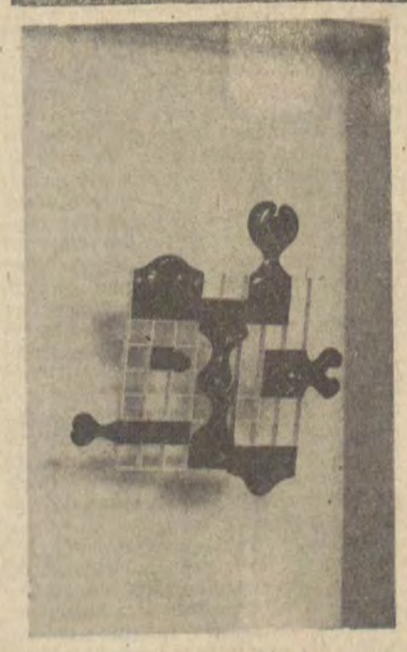

STEFAN KRYGIER — kompozycja

ŁODZIANIE – 75

RYSZARD BINKOWSKI . . . . . .
ZENON HODOR . . . . . .
LESZEK JEZIERSKI . . . . . .
KAZIMIERZ KARPIŃSKI . . . . . .
ZBIGNIEW KUCHOWICZ . . . . . .
EWA MIROWSKA . . . . . .
OLGA OLGINA . . . . . .
ANTONI SZRAM . . . . . .
JANINA SZYDLECKA . . . . . .
EWA WYCICHOWSKA . . . . . .

Imię i nazwisko: . . . . . .

Adres: . . . . . .

Zawód: . . . . . .

Po raz ostatni już drukujemy kupon konkursowy i przypominamy, że ogłoszony w numerze 51/52 „Odgłosów" plebiscyt „Łodzianie — 75" trwa.

Zwycięzcy w plebiscycie otrzymają od nas pamiątkowe talerze metalowe z herbem miasta. Natomiast uczestnicy głosowania otrzymają wartościowe nagrody, które rozlosujemy wśród wszystkich nadawców kuponów.

Będą to:
nagroda I — radioodbiornik tranzystorowy
nagroda II — aparat fotograficzny
nagroda III — zegarek na rękę
oraz pięć wyróżnień książkowych.

Wypełnione kupony plebiscytowe prosimy nadsyłać na adres naszej redakcji do 1 lutego 1976 roku na kopertach z napisem „ŁODZIANIE 1975".

O wynikach plebiscytu i nagrodach za udział w konkursie poinformujemy naszych Czytelników w jednym z numerów marcowych.

BOKS

MUHAMMAD ALI KONTRA GEORG FOREMAN

Dalszy ciąg ze str. 6

ku ringu słuchając pouczeń arbitra. Nadszedł czas pierwszego zmierzenia się z przeciwnikiem.

Ali, (jak się później dowiedziano) powiedział Foremanowi:

— Słyszałeś o mnie już wtedy, kiedy byłeś młody. Szedłeś moimi śladami już jako młody chłopiec. Teraz spotykasz się ze mną — twoim nauczycielem.

Dziennikarze nie słyszeli wtedy tych słów, widzieli tylko jak poruszają się wargi Aliego i jak jego oczy z odległości mniejszej niż trzydzieści centymetrów wpijają się w twarz Foremana. Foreman opuścił oczy. Foreman wyglądał na zaskoczonego, tak jakby to pierwsze zetknięcie się z Alim zrobiło na nim wrażenie trochę większe niż się tego spodziewał.

Bokserzy wrócili do swoich narożników. Ali przycisnął łokcie do boków, zamknął oczy i zmówił krótką modlitwę. Foreman odwrócił się plecami do ringu. Na trzydzieści sekund przed walką wsparł się o liny, pochylił nisko od pasa w dół i pozostał w tej pozycji tak długo, że stała się ona drwiną — jego wielkie, potężne pośladki wypięte w stronę Aliego zdawały się mówić szyderczo: „Sram na ciebie, kolego". Gong zastał go w tym dziwacznym ukłonie.

Zderzyli się na środku ringu, ale było to zderzenie pozorne — ich potężne ciała zatrzymały się w odległości półtora metra od siebie i odchyliły do tyłu, jak dwa wielkie, odpychające się wzajemnie bieguny magnetyczne o podobnych ładunkach. Ali znów ruszył naprzód, Foreman także zrobił krok do przodu, zatoczyli koło, zamarkowali uderzenia, zrobili jeszcze pół obrotu i Ali zaatakował ostrożną lewą. Cios był za krótki, ale został natychmiast poprawiony zupełnie nieoczekiwanym prawym prostym, który na podobieństwo maczugi uderzył w środek oszołomionej głowy Foremana — pach! Ten głuchy dźwięk można usłyszeć tylko przy bardzo silnych i czystych uderzeniach. Stadion zawrzał. Było jasne, że Foreman został zupełnie zaskoczony. Od wielu lat żaden przeciwnik nie uderzył George'a tak silnie i nie odważył się na to żaden sparringpartner. Foreman zaatakował z furią i Ali znów potraktował go bez szacunku. Chwycił Mistrza za szyję i ściągnął mu głowę w dół brutalnie i bez skrupułów pokazując mu, że jest znacznie twardszy i niebezpieczniejszy niż by to wynikało z prasowych doniesień.

Znowu zrobili koło. Znowu zamarkowali uderzenia. Zbliżyli się do siebie i cofnęli ostrożnie tak, jakby każdy z nich trzymał w ręku nabity rewolwer. Jeżeli jeden z nich strzeli i chybi, to strzał drugiego z pewnością będzie celny. Ali nie tańczył. Przechylał się raczej to na prawo, to na lewo czekając na sposobność do ataku. Foreman też się czaił. Upłynęło tak piętnaście sekund. I nagle Ali uderzył. I znów prawym prostym. I znów cios miał w sobie siłę eksplodującego dynamitu. Odgłos uderzenia kijem w arbuz jeszcze raz zabrzmiał w ringu i jeszcze raz Foreman ruszył do ataku i jeszcze raz Ali złapał go w klincz przerwany po chwili przez sędziego.

Ali znów celnie uderzył — lewą i prawą prostą. Foreman runął naprzód jak rozjuszony, niebezpieczny byk. Rękawice sterczały przed nim jak dwa potężne rogi. Ali nie miał miejsca na zejście z linii ataku, Ali cofnął się, Ali zamarkował cios, znów się cofnął i był już na linach. Foreman odciął mu drogę ucieczki. Walka trwała zaledwie trzydzieści sekund i Foreman przycisnął go do lin! Ali nie próbował nawet wyminąć uskokiem tych wyciągniętych rękawic gotowych zmiażdżyć go, zdusić i odebrać mu lekkość ruchów — nie, Ali cofając się zebrał swoją daninę. Uderzył Foremana potężnym lewym i prawym prostym. Tłum przeżył jednak moment paniki. Ali był przecież na linach. Przecież nie mówiono o niczym innym jak o tym, jak długo zdoła utrzymać Foremana na dystans. Ali był w pułapce i to po niepełnej minucie spotkania. Jednak Foreman nie wykorzystał okazji. Te dwa krótkie, potężne ciosy powstrzymały go, stracił inicjatywę, jego uderzenia nie były przygotowane i Ali sparował je łokciami, zablokował rękawicami, wszedł w zwarcie, potem w klincz i z łatwością oderwał się od lin. Jakby celebrując to małe zwycięstwo jeszcze raz zaskoczył Foremana błyskawicznym uderzeniem w głowę. W rzędach zajętych przez prasę dał się słyszeć ten sam zwielokrotniony okrzyk: — Bije go prawymi prostymi!

Od siedmiu lat Ali nie uderzał z ta-

Dalszy ciąg na str. 12

GUSTAW ROMANOWSKI

Wielki sezon

Ubiegłoroczny sezon plastyczny w Łodzi przejdzie do historii, jako szczególnie udany, zaznaczyło się w nim bowiem wyraźne i definitywne pożegnanie z ciasnym regionalizmem, ciążącym przez długie lata w ogóle na życiu kulturalnym miasta, a co nie omijało, niestety, również spraw plastyki. Proces przechodzenia od problematyki o wymiarze terenowym, do problemów szerszych, ogólnopolskich — dotykających zjawisk artystycznych o zasięgu ponadlokalnym — zaczął się zresztą wcześniej, bo trzeba pamiętać i o **Ogólnopolskiej Wystawie Tkaniny Unikatowej i Przemysłowej** w 1969 r. i o **Triennale Tkaniny** z 1972 r., o kilku próbach organizowania konkursów ogólnopolskich, wreszcie o Triennale **„Nasz Czas, Metafora, Tendencje"** w 1973 r.

Koncepcja wydłużenia niejako tej ostatniej imprezy o cykl wystaw indywidualnych różnych artystów z całej Polski, których sztuka w jakiś tam sposób koresponduje z metaforą, zasłużyła zaś przede wszystkim na uwagę, jako nowa próba uaktywnienia sporów o rolę i szansę na przyszłość sztuki niejednoznacznej i interpretującej świat subiektywnie i wysoce relatywnie. Stający za tą koncepcją **Zarząd Okręgu ZPAP** i łódzkie **Biuro Wystaw Artystycznych**, wskazali problem nie zrodzony w sporach teoretycznych, ale rzeczywisty, bogaty w pewną już tradycję i posiadający swoje praktyczne odniesienia w obecnym kształcie polskiej sztuki. Bez względu więc nawet na efekt końcowy, tzn. rozmiar przewidywanych pożytków w sferze porządkowania zjawisk sztuki współczesnej, cykl metaforyczny trzeba zaliczyć na dobro kultury polskiej w szerokim, a więc nie tylko regionalnym znaczeniu.

Cykl wystaw sztuki zwącej się metaforyczną (choć nie wszystko, co w nim pokazano było metaforą), miał głównie tę zaletę, że stanął jakby w pozycji dialogowej wobec linii artystycznej proponowanej przez łódzkie Muzeum Sztuki, że zawiązał się jakby dyskurs pomiędzy nurtem sztuki koncepcyjnej, intelektualnej, laboratoryjnej, upowszechnianej przez Muzeum, a nurtem sztuki rodem z intuicji, indywidualistycznego przeczucia artysty, z jego spontaniczności. To prawda, że linia prezentowana przez Muzeum — nie wdając się, oczywiście, w merytoryczną ocenę prezentowanych tam twórczości i dalszej perspektywy wskazanych tam zjawisk — jest bardziej konsekwentna programowo, oparta na mocniejszych w sensie systematyki sztuki podstawach.

Trzymanie się bowiem linii nakreślonej przez kierunki sztuki intelektualnej, które od przeszło półwiecza są w głównej mierze nosicielami myśli awangardowej w sztuce, ułatwia znakomicie widzenie programowe i pomaga w trzymaniu się w miarę czystej koncepcji ideowej proponowanych wystaw. Ale z drugiej strony program prezentacyjny sztuki metaforycznej i to wedle kryterium bardzo szerokiego, więc w gruncie rzeczy trudnego do sprecyzowania, był przedsięwzięciem niełatwym, a przede wszystkim wysoce ryzykownym. Mimo to program ten sprawdził się chyba wstępnie, bo wśród kilkudziesięciu prezentowanych indywidualności twórczych, zarysowały się wyraźne grupy dojrzałych artystów, których wizje sztuki mogą stanowić wspólnie pewną ideową zupełnie nową jakość we współczesnym malarstwie polskim.

Myślę tu głównie o twórczości malarskiej Garbolińskiego, Liberskiego, Szajdzińskiej (z Łodzi), Bereźnickiego i Markowskiego (z Gdańska) Mikulskiego i Güntner (z Krakowa), Przybylskiego (z Warszawy) oraz graficznej Rózgi i Płóciennika (z Łodzi), Pietscha i Gaja (z Krakowa). Otóż grupę tę charakteryzuje z jednej strony pewien weryzm przedstawianych figuralnych form a z drugiej strony znaczny nieraz dystans poetyckiej wieloznaczności. Takich grup o zbliżonych do siebie postawach twórczych, można by na podstawie cyklu zarysować kilka. Zastanowienie się zaś, czego nauczył nas w ogóle ten cykl, co nowego wskazał — wymagać będzie jeszcze niejednego syntetycznego spojrzenia, już po jego zakończeniu.

Być może najlepiej będzie pokusić się o taką próbę po tegorocznym II Triennale **„Nasz Czas, Metafora, Tendencje"**, kiedy wykrystalizuje się może jaśniej niż przed trzema laty istota sztuki metaforycznej w nowoczesnym, dynamicznym rozumieniu. Ten problem jako zjawisko współczesnej polskiej kultury plastycznej, potrzebuje na pewno głębokiej analizy krytycznej.

Sytuacja uległa jednak pewnemu zagmatwaniu, pojawiły się mimo woli problemy nowe, nieprzewidziane. Zdecydowanie się równolegle i przemiennie na drugi cykl prezentujący **„Tendencje wizualne i konstruktywistyczne w polskiej sztuce współczesnej"**, spowodowane niewątpliwym ciężarem gatunkowym tej orientacji artystycznej, a już na pewno bogatą tradycją tego typu sztuki w Łodzi, stworzyło na pewno szerszą panoramę obrazu polskiej sztuki. Ale wystawiło to jednocześnie na niebezpieczeństwo przewidywaną z pewnością przez organizatorów, określoną w mniejszych czy większym stopniu ale na pewno afirmatywną ocenę cyklu metaforycznego przez odbiorców. Nie zakładam oczywiście, że jeden cykl powinien być gorszy a drugi lepszy, bo są w znacznej mierze nieporównywalne, ale myślę, że korzystniej byłoby dla cyklu metaforycznego, gdyby wyłonił on w swoim programie jakieś nowe i o wielkiej sile wyrazu zjawisko, mogące świadczyć o rzeczywistym renesansie tego rodzaju twórczości. Tego zaś prawdopodobnie zabrakło, skoro w dwucyklicznej akcji najbardziej wybiła się — a nie jest to tylko moja opinia — zaskakująca twórczość Gieragi — przedstawiciela kierunku racjonalnej abstrakcji twórczo przekształcającego myśl konstruktywistyczną. W perspektywie minionych dwóch lat kiedy wystawy i prezentacje zacierają się w pamięci, wystawa Gieragi z czerwca ubiegłego roku, wydaje się być prawdziwą nadzieją kostniejącego już i popadającego nierzadko w ortodoksję nurtu konstruktywistycznego.

Ale nastąpiła też — chyba dla zachowania idealnej równowagi — sytuacja odwrotna. Nikt bowiem nie jest w stanie zaprzeczyć, że niedawną wystawę rzeźby **Aliny Szapocznikow**, można porównać z jakąkolwiek indywidualną prezentacją w Muzeum na przestrzeni ostatnich lat. Ta wystawa o potężnym, zjawiskowym znaczeniu dla polskiej kultury, zorganizowana z wielkim pietyzmem przez łódzkie Muzeum Sztuki, stanowi niewątpliwie jedno z największych wydarzeń w historii kultury plastycznej w Łodzi. A przecież sztuka Szapocznikow, to nie geometryczny ład, logika i beznamiętność założeń, ale głównie subiektywizm i nastrojowość, patos i elegia, to bardzo osobisty świat, wyrażany formą złożoną z elementów widzenia emocjonalnego, tak bardzo odległego konstruktywistycznej statyce.

Wydarzenia i zjawiska tworzą jednak nie tylko wielkie osobowości twórcze, ale również określone akcje, kompleksowe i programowe propozycje, a więc takie działania, które widzą problemy sztuki szerzej a nie doraźnie i wycinkowo. Takim działaniem było niewątpliwie ogłoszenie ubiegłorocznej Wiosny Artystycznej **„Tygodniem Plastyki"**. Zmasowane wyjście plastyki do społeczeństwa w postaci mnogości wystaw, pokazów, imprez, pomysłowej propagandy wizualnej — spowodowało wzrost zainteresowania problematyką sztuki i w ogóle plastyki, a jednocześnie zmobilizowało instytucje i organizacje upowszechniające sztukę, do sięgania po pomysły nowe i nietypowe, jak choćby słynna już **„Niedziela w Muzeum"**, pozwalająca w ciągu jednego dnia „skonsumować" szeroki i różnorodny program wystaw, pokazów, towarzyszących udogodnień handlowych, popisów rozrywkowych itp.

W podobnym choć niewątpliwie jeszcze szerszym znaczeniu, wydarzeniem ogromnej organizacyjnej, prestiżowej i artystycznej wagi stało się **I Międzynarodowe Triennale Tkaniny Unikatowej** w Łodzi — logiczna konsekwencja poprzednich ogólnopolskich przeglądów tej dziedziny twórczości w 1969 i w 1972 r. Powstanie w Łodzi po raz pierwszy w całej historii miasta, imprezy artystycznej o zakresie i znaczeniu międzynarodowym, wieńczy w poważnym stopniu wybijanie się łódzkiego ośrodka plastycznego do rangi międzynarodowej. Ubiegłoroczne Triennale — owoc trudu i dalekowzrocznej wizji działaczy związanych lub wywodzących się z szeregów miejscowego środowiska plastycznego, usytuowało Łódź prawie natychmiast na liście miast znaczących w światowej kulturze plastycznej. Do nazw Wenecji, Sao Paulo, Lozanna, Skopie, Paryż, Madryt, Kraków — siedzib cyklicznych międzynarodowych imprez różnych dziedzin twórczości plastycznej, doszła nazwa Łodzi. To, że jest na końcu listy, nie oznacza wcale, iż jest jeszcze nieśmiałym kopciuszkiem wychylającym się dopiero nieśmiało ku światu. Przyjeżdżają bowiem od lat do Łodzi liczni cudzoziemcy, których przyciągają unikalne zbiory sztuki nowoczesnej w Muzeum Sztuki i tkaniny w Muzeum Włókiennictwa. Pracujący zaś w Łodzi artyści, otrzymują główne nagrody na renomowanych konkursach międzynarodowych, żeby wymienić chociażby pierwsze nagrody na międzynarodowym konkursie rzeźby sportowej w Madrycie dla Kazimierza Karpińskiego, a ostatnio dla Michała Gałkiewicza.

W przeglądzie ubiegłorocznych wydarzeń o szerokim kulturotwórczym znaczeniu, nie może zabraknąć również miejsca dla wystawy wprawdzie lokalnej, ale znakomicie porządkującej historię awansu Łodzi, jako rosnącego w bogatą tradycję ośrodka kultury plastycznej. Myślę tu o wystawie **„Laureaci"** prezentującej dzieje nagród artystycznych miasta Łodzi i województwa łódzkiego, którymi uhonorowani zostali artyści plastycy. Tą wystawą, obchodzące w tym roku dwudziestolecie swego istnienia łódzkie Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych, wniosło swój znaczący wkład w miniony sezon.

Podsumowanie, nawet to najbardziej pobieżne, nie jest łatwe, jeśli weźmie się pod uwagę rozmaitość i szeroką rozpiętość zjawisk, z jakich składał się miniony rok w plastyce. Jest to tym bardziej trudne, że wiodącym wydarzeniom artystycznym nie towarzyszyło równolegle odpowiednie zainteresowanie w publikacjach prasowych, które — oprócz może codziennej prasy lokalnej — nie pospieszyły często z reakcją w słowie pisanym. Stąd też upowszechnienie niewątpliwych i liczących się osiągnięć łódzkiego ośrodka plastycznego, jest, niestety, jeszcze zbyt małe.

Aby wydarzenie jakieś było pełne, aby zaczęło funkcjonować społecznie, musi być zapewniony w nim udział publicystyki, krytyki, informacji. Musi być podjęty spór o cele, środki, idee, zasady, sens i potrzebę podejmowanych poczynań artystycznych i organizacyjnych. Dialektyka rozwoju i przemian tkwi w konfrontacji i ścieraniu się postaw. Powinniśmy spełnić więc te wymagania wobec tak ostatnio ekspansywnej w Łodzi plastyki.

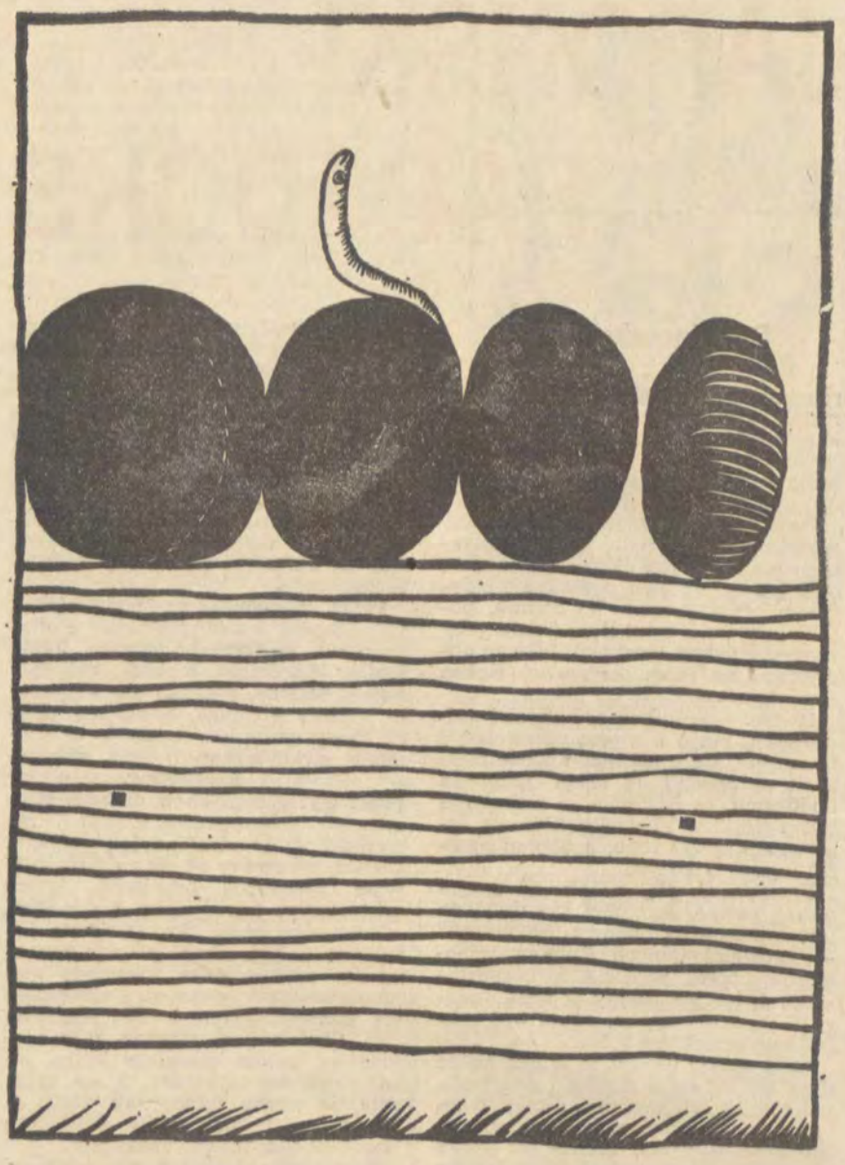

STANISŁAW FIJAŁKOWSKI — 1967, linoryt

JANUSZ ZAGRODZKI

JAKA MA BYĆ?

Sztuka współczesna poszukuje nowej logiki, odrzuca powierzchowne wpływy literatury. Malarstwo nie chce już być tylko malarstwem. Stylem epoki staje się synteza wszystkich sztuk. Konkurencję lotom Pegaza, nosiciela muz artystycznych, zrobiły loty w Kosmos. Poeta przestał patrzeć z pobłażaniem na inżyniera — maszyny liczące, mózgi elektronowe są narzędziami artysty na równi z dłutem i pędzlem.

Rozwijające się perspektywy nowych zjawisk sztuki stały się punktem wyjścia dla nowej krytyki świadomej swych celów. Dotychczasowy podział na trzy zasadnicze rodzaje badań nad sztuką: historię sztuki, filozofię sztuki i krytykę sztuki współczesnej, w którym zadaniem historii sztuki jest badanie praw rządzących zjawiskami artystycznymi w przeszłości, filozofii — formułowanie istoty przemian estetycznych a krytyki — tworzenie sądów o sztuce swojej epoki, stracił już dawny sens. Metodą poznania f e n o m e n u s z t u k i stała się integracja wszystkich badań.

KLUB KRYTYKI PLASTYCZNEJ

Sztuka, będąc w swojej istocie źródłem informacji i to informacji szczególnie ważnych, o wielkiej wartości społecznej, posiada możliwość przekazywania zjawisk przekraczających zwykłe granice myśli i wyobraźni człowieka, może więc wnosić zupełnie nowe wartości do od lat ustalonych konwencji — praw życia codziennego. Funkcje ogniwa pośredniczącego, oscylującego pomiędzy postawą twórcy a odbiorcą, spełnia krytyka. Nawet nie rozumiejąc konstrukcji aparatu fotograficznego można wykorzystać go do swoich celów, ale trudno pojąć wartość artystyczną dzieła sztuki nie znając języka jakim ono przemawia. W systemie pośrednictwa, dzieło sztuki — odbiorca, główny akcent musi być położony na informację, a nawet dydaktykę, każde inne stanowisko może wprowadzić krytykę w ślepy zaułek. Jeżeli na przykład, będziemy traktować krytykę jako samodzielną gałąź twórczości, to z konieczności musi być ona rozpatrywana miarą dzieła literackiego, posługującego się określoną poetyką. Ten specyficzny rodzaj „poezji krytycznej" doprowadza do swoistego współzawodnictwa między krytyką a literaturą piękną. Starając się oddać nastrój określanych dzieł sztuki, krytyk tego rodzaju zapomina o bezpośrednim źródle powstania swego nastroju, dzieło zostaje odsunięte na plan dalszy, stanowi jedynie pretekst dla swobodnej interpretacji pozostającej w bardzo luźnym związku z jego formą czy treścią.

Dzięki takiemu systemowi krytyki społeczeństwo traci kontakt ze sztuką swojej epoki, nie może go również nawiązać korzystając z przestarzałych konwencji, z zużytych wzorców intelektualnych. Historia uczy nas jak dalece osądy krytyków epok minionych nie umiały dostrzec najwartościowszych przejawów nowej rodzącej się sztuki. Skoro impresjoniści w oczach współczesnych im krytyków to pseudomalarze maskujący swój nieudolny, odrażający koloryt tzw. wrażeniowością, Gauguin to przede wszystkim prymityw a najprawdopodobniej zboczeniec seksualny, Van Gogh — psychicznie chory amator, Cezanne — uparty szaleniec z wadą wzroku, Picasso — oszust, śmiejący się w nos idiotom, którzy kupują jego obrazy; to w jaki sposób można uwierzyć w jakikolwiek osąd krytyczny. Nawet Władysław Strzemiński również określany był mianem szalbierza, demagoga, fanatyka czy pseudoapostoła nowej sztuki, a krytyka zachłystywała się opisywaniem bezsensu zachwytów nad tego rodzaju sztuką nowoczesną. Właśnie niekompetentna krytyka ukształtowała w dużej mierze sądy ogółu społeczeństwa o sztuce współczesnej.

Tak jak niemożliwością byłoby oddanie do oceny poważnych dzieł literatury początkującym literatom, tak samo wydaje się niemożliwe pisanie recenzji przez sprawozdawców-amatorów, rekrutujących się najczęściej spośród upadłych aniołów sztuki. Jeśli powodem aktu krytycznego może być tylko reakcja na dzieło sztuki, to sens, wartość i waga wypowiedzi zależy od stopnia wrażliwości i wiedzy, od zdolności przekazania swych doznań innym. Krótko mówiąc krytyka nowoczesna powinna być fachowym źródłem informacji o sztuce. Powinna torować drogę, pomagać w zrozumieniu kultury nowoczesnej, budować perspektywy. Wchodzi tu w grę zarówno uprzystępnienie społeczeństwu nowych zjawisk artystycznych, wyjaśnianie nowych tendencji jak i ujawnianie ważkich aspektów sztuki dawnej powszechnie jeszcze nie znanych.

MICHAŁ GAŁKIEWICZ — „Ona", drewno

Do żywej pulsującej sztuki nowoczesnej nie można stosować sprawdzianów typowych dla badań historyczno-literackich. Odwaga sądzenia teraźniejszości miarą tradycji dowodzi raczej skostnienia niż naukowości. Krytyka nie może być pozbawiona indywidualizmu. Uznawanie obiektywne wszystkich racji równa się w praktyce nie uznawaniu żadnej, a więc intelektualnej niemocy. Z punktu widzenia postępu, ewolucji, czy aktualności, obiektywizm jest bezwartościowy, pozbawiony dynamiki intelektualnej. Tylko subiektywny stosunek do rzeczywistości jest naprawdę twórczy.

O dobrej krytyce stanowi nie suma zdobytych doświadczeń lecz oryginalne ujęcie właściwości wniesionych przez twórcę, odszukanie jego nowych walorów w szeregu znanych już zjawisk artystycznych. Właśnie ze względu na maksymalny subiektywizm wypowiedzi krytycznej konieczne są kompetencje i odpowiedzialność krytyka, fałszywy sąd krytyczny trafiający do żywego organizmu społeczeństwa raz wygłoszony może wywołać nieobliczalne skutki. Tak więc krytykę współczesną obok wrażliwości powinna cechować ogromna dojrzałość i odpowiedzialność.

Granicą sztuki współczesnej jest granica wiedzy, granica pojemności umysłu człowieka, granica, która zmienia się z każdym dniem z każdą godziną. Podstawowe zadanie krytyki polega na pozytywnej niezwykle ważnej funkcji społecznej — na wprowadzaniu sztuki w krąg życia zbiorowego.

PLASTYKA

SŁOWNIK SZTUKI NOWOCZESNEJ

METAFORA I METAFORYCZNOŚĆ

Tradycyjnie metafora jest nazwą jednego z zasadniczych tropów języka poetyckiego. Polega ona na zastąpieniu jakiegoś pojęcia innym ze względu na cechy wspólne, które dostrzega w nich autor. Kiedy poeta zamiast słowa „młodość" używa określenia „poranek życia"", czyni to ze względu na podobieństwo stosunku, jakie zachodzi między porankiem a resztą dnia z jednej strony oraz młodością i całym życiem człowieka z drugiej. Zauważenie podobieństwa pozwala utożsamić te dwa fakty i użyć wymiennie ich nazw. W dwudziestowiecznej teorii sztuki znaczenie terminu metafora zostało rozszerzone. Zwrócono bowiem uwagę na fakt, że również w innych dziedzinach sztuki (np. w filmie, teatrze, sztukach plastycznych) używa się właściwego dla metafory chwytu artystycznego opartego na zasadzie podobieństwa.

W malarstwie uwidoczniło się to szczególnie wyraźnie w obrazach surrealistów. Często w pracach swych zastępowali oni jakieś części lub całe przedmioty innymi obiektami, co wywoływało na ogół zaskakujące wrażenie. Wymiana ta miała jednak najczęściej swe uzasadnienie w zasadzie metaforyczności. Po prostu artysta zauważywszy w malowanym przedmiocie pewien zespół cech, który wydaje mu się szczególnie istotny, dąży do ich podkreślenia. Jedną z dróg prowadzących do tego celu może być zastąpienie w całości lub częściowo owego przedmiotu innym, który owe cechy istotne posiada w stopniu wybitnym, lub który w świadomości odbiorców kojarzy się symbolicznie z owymi cechami.

Wyraźnym przykładem tego typu operacji może być obraz belgijskiego surrealisty Rene Magritte'a „Terapeuta". Przedstawia on siedzącą na piaszczystej wydmie postać trzymającą tobołek i kij wędrowny, której korpus zastąpiony jest przez klatkę przykrytą słomkowym kapeluszem i otuloną opończą. W miejscu serca, w klatce tej umieszczony jest gołąb. Mamy więc w tym obrazie do czynienia z wyraźną metaforą. Terapeuta to człowiek dobry, łagodny, wyrozumiały. Symbolem tych cech jest gołąb. A więc chcąc je podkreślić w oparciu o zasadę podobieństwa zastąpiono korpus i serce — klatką i gołębiem.

W podobny sposób można zinterpretować także inne prace surrealistów. Jednak nie wszyscy przedstawiciele tego kierunku przypisywali tak ważną rolę metaforze w swej działalności, a poza tym przyjmowano założenia dodatkowe. Nie można więc sztuki metaforycznej utożsamiać z surrealizmem. Zwłaszcza, że kierunek ten należy już do przeszłości. Natomiast tendencja metaforyczna jest wciąż żywa. Świadczy o tym chociażby cykl wystaw organizowanych przez łódzkie BWA, prezentujących głównych przedstawicieli tej tendencji działających aktualnie w Polsce.

Marian Kępiński „Itaka IV", (olej.)

Współcześnie metafory w sztukach plastycznych występują w dwóch głównych odmianach. W pierwszej z nich dominuje łączenie kilku przedmiotów charakterystycznych ze względu na posiadanie pewnych właściwości w jeden obiekt (osobę lub rzecz), który jest przez to szczególnie nasycony znaczeniowo. Wiele przykładów tego typu metafor znaleźć można w malarstwie Stanisława Fijałkowskiego, Jerzego Krawczyka, Kazimierza Mikulskiego, Mariana Kępińskiego i innych współczesnych artystów polskich. S. Fijałkowski, jak sam podkreśla, tak długo opracowuje jakiś przedmiot w obrazie aż utraci on swą jednoznaczność, aż pozostając sobą będzie jednocześnie wielu innymi obiektami. Zaś w tragicznej pracy J. Krawczyka „Gruby Jurek" głowa na zasadzie ironicznego „podobieństwa" zastąpiona została przez popękaną skorupę, przeciętą na pół i ukazującą pustkę jaka jest wewnątrz niej. Natomiast M. Kępiński w obrazie „Itaka IV" pokazał zarys lądu (efekt ten wzmacniają linie przypominające siatkę kartograficzną), który jest jednocześnie sylwetowo ujętą głową człowieka, co przywołuje reminiscencje z „Odysei" Homera. Metafory tego typu występują zresztą nie tylko w malarstwie. Często stosują je autorzy plakatów. Na przykład Franciszek Starowieyski w plakacie do filmu „Dyskretny urok burżuazji" przedstawił postać kobiety z głową drapieżnego ptaka, co znakomicie charakteryzuje zasadniczą myśl dzieła Bunuela.

Drugi typ metafor plastycznych polega na zestawieniu we wspólnej przestrzeni kilku obiektów o odmiennym charakterze, odległych znaczeniowo w taki sposób, że w wyniku tego powstaje dodatkowy sens, nie sprowadzający się do sumy znaczeń poszczególnych przedmiotów. Przykłady stanowić mogą tu prace Wiesława Garbolińskiego, Barbary Szajdzińskiej-Krawczyk, Leszka Rózgi, Andrzeja Kabały i in. Pierwszy z tych artystów gromadzi w zamkniętej przestrzeni ludzi, rzeźby antyczne (często z charakterystycznymi uszkodzeniami powstałymi w czasie ich bogatej historii), naczynia kojarzące się z martwymi naturami dawnych epok oraz sprzęty współczesne. To zestawienie i przemieszanie obiektów tak różnych, każe myśleć o upływie czasu, zmienności sztuki, życiu i śmierci. Innym klarownym przykładem tego typu metafory są też „Dwa jabłka" Leszka Rózgi, gdzie naga, młoda dziewczyna trzyma w ręce jabłko równie świeże jak jej ciało. Obok leży jednak inne jabłko, zwiędłe i pomarszczone przywodzące na myśl nieuchronność procesu starzenia się, utraty świeżości i piękna.

Przytoczone tu przykłady metafor plastycznych można by mnożyć. Wciąż bowiem powstają w tym zakresie nowe propozycje. Tendencja metaforyczna w sztuce współczesnej jest żywa, rozwija się, znajdując wciąż nowych zwolenników, którzy korzystając z jej założeń przekazują nam ważne treści ideologiczne, filozoficzne lub poetyckie.

GRZEGORZ SZTABIŃSKI

WSPOMNIENIA

FELIKS BĄBOL

ŚMIERĆ POGROMCY

Alek dzwonił i mówił co się dzieje. A więc włamanie, „mokra robota", większa rozróba nożowników, wyrafinowane zabójstwo, sensacyjna defraudacja. Współpraca z Alkiem, który od paru lat działał w brygadzie pościgowej, była prawdziwym dobrodziejstwem dla wszystkich prowadzących kroniki miejskich wydarzeń, była nieoceniona. Za szybkie i bezbłędne informacje dostawał dobre słowo, czasem passepartout do teatru. Dla naszej redakcji miał zawsze największe szlagiery, o co zresztą raz po raz awanturowali się koledzy z gazet konkurencyjnych, bo to były czasy, kiedy wywiadowcy, „gliny", decydowali o tym, co której redakcji dać.

W czasie wojny u Alka był azyl dla wielu ludzi ściganych przez władze okupacyjne. Tu ukrywał się przed gestapo Mirek, któremu deptano po piętach, węsząc w nim żywe kontakty z podziemiem, tutaj, gdy było trzeba, można było zasięgnąć języka na temat aktualnych wydarzeń w mieście czy na froncie. Dziwiliśmy się tylko, jak to się stało, że Alka nie przesiedlono, że zostawiono go z żoną w jego starym, przedwojennym i jednocześnie dobrze urządzonym mieszkaniu w śródmieściu.

— Nic nie mów — próbował raz wyjaśniać — **muszę jakiś czas z nimi pracować. — Wiesz, że całą przedwojenną brygadę zmusili do roboty.**

Dziwiliśmy się temu, ale i nie dziwiliśmy. Bo przecież gdyby naprawdę chciał zerwać podtrzymane przez Kriminalpolizei nici, cóż by mu przeszkadzało zwiać do Guberni, albo i zaszyć się pod zmienionym nazwiskiem gdzieś na peryferiach, czy nawet na wsi. Nie wiadomo jednak, co kieruje człowiekiem, gdy mu mówią, że wcale nie zdradza swej ojczyzny, bo tylko pomaga w likwidacji bandziorów, rzezimieszków i podziemia kryminalnego. Wiemy, że to kryminalne podziemie prawie wcale nie istniało w czasie okupacji, ale zdawaliśmy sobie sprawę, że na takie argumenty Alek mógł pójść. Znał wszystkich przedwojennych bohaterów noża i kastetu, wszystkich „inżynierów" czyli specjalistów od kas pancernych, miał rozeznanie w świecie wendety i w topografii przestępstw kryminalnych. Ta sława „pogromcy" groźnych jednostek skłóconych z prawem, dotarła i do Kripo.

Ale raptem te kontakty urwały się. Do dziś właściwie nie wiadomo, co się stało, bo po wielomiesięcznej przerwie dopiero dowiedzieliśmy się, że Alka już dawno nie ma ani w Łodzi, ani wśród współpracowników Kripo, że nie ma go również wśród lokatorów tego pięknego przedwojennego domu w śródmieściu. Myśleliśmy po swojemu. Albo rozstano się z Alkiem, gdy już „Murzyn zrobił swoje i Murzyn mógł odejść", albo zaistniały jakieś inne przyczyny. Ta hipoteza o „Murzynie" szybko odpadła, gdy nadeszły wieści, że Alek znalazł się w obozie oświęcimskim. Musiał więc chyba sam zerwać kontakty, które nie przynosiły mu ani honoru, ani sławy w opinii polskiej. Zerwał je i szybko podzielił los tysięcy więźniów. Może sam nawet, świadomie, wybrał ten los, odkąd zagrało w nim sumienie, że ostatecznię kasiarz nie kasiarz, włamywacz nie włamywacz, zawsze to Polacy.

SPOTKANIE Z „DZIKIM"

Poznał go w obozie jeden z kapo. Wiadomo, skąd się rekrutowali kapusie — z mętów i szumowin, dołów moralnych, kryminalistów, sadystów, a więc z tego kręgu ludzi nie ludzi, którzy dawali komendanturze obozowej niemal pewność, że jak się do którego więźnia przyczepią, to już nie puszczą, to już o jeden numer obozowy będzie mniej. To było już drugiego czy trzeciego dnia pobytu w obozie, gdy nagle w szeregu odkrył go dyżurujący kapo.

— Jak się masz, Alek?

Ten uśmiech, pod którym wyczuwało się lód, te słowa, jak żyletki, nie tam jakieś: — Jak się pan ma, panie Alku, jak to się stało, że pan, z brygady pościgowej przeszedł na chleb obozowy? Czy kto pana wsypał? Nie, żadnych słów nawiązujących do przeszłości przedobozowej, ani słowa o policji kryminalnej. Bo jakże? Zaraz wypadało by powiedzieć, dlaczego postrach całej dzielnicy, „Dziki" został kapusiem. To wszystko było niepotrzebne. „Dziki" żył dniem dzisiejszym, myślał o przyszłości takich oddanych Niemcom dozorców, jak on, o tym, że wreszcie — po tylu latach odsiadek, borykania się z biedą, walk z policją — osiądzie gdzieś na dobrej policyjnej czy szpiclowskiej posadzie. To wszystko było niepotrzebne, bo „Dziki" wiedział, że i Alek „wie".

Wyrwał go z szeregu i postawił przed sobą pod daszkiem najbliższego baraku. I tak stali jakiś czas — odpowiednio długi, aby starczył na opanowanie wzruszeń, na obmyślenie taktyki, na zaplanowanie jeszcze jednej zbrodni. Spojrzenia „Dzikiego" raniły Alka jak sztylety. Deszcz siąpił jesienny i uporczywy, pod barakiem tworzyło się już duże bajoro, z placu dochodziły szybkie i wściekłe: „Ein — zwei! Ein — zwei", przerywane okrzykami: „Donnerwetter", „Schwein", „Verfluchter", przerywane uderzeniami pałek po mokrych plecach i barkach, chlupotem nóg biegnących poprzez kałuże. I w tej chwili właśnie „Dziki" sobie coś przypomniał, przypomniał sobie swoją kolosalną, niebotyczną, nigdy nawet nie wyśnioną, a przecież straszliwą przewagę nad Alkiem, nad zwykłym numerem, który jest, albo go już nie ma na obozowej liście. Gdy sobie to uświadomił, wrzasnął:

— Padnij, psiakrew!

I potem już tak było. „Dziki" chodził wokół leżącego twarzą do ziemi, chodził i mówił:

— Po tym skoku na bank właściwie miałem alibi. Było alibi, ale nie chciałem z niego skorzystać. Wziąłem wszystko na siebie, żeby nie wplątywać „Cwaniaka". Bo to „Cwaniak" zrobił skok, a nie ja. Wziąłem jednak za niego cały ten kram, to zmartwienie, na siebie, bo — o czym nie wiesz, cholero, „Cwaniak" to mój szwagier. Siostre chciałem ratować przez to, nie tylko samego szwagra. Ale wy, bandyci, nie daliście mi dojść do słowa, uczepiliście się poszlak i buch — zafasowałem „szóstkę". Ty bandyto, przysłużyłeś mi się najbardziej. Powstań, jak do ciebie mówię... Tak, dobra, a teraz — padnij!

Jakiś czas „Dziki" zastanawiał się nad czymś, pozwalał Alkowi moknąć w bajorze, kopnął go tylko w pewnym momencie, gdy spostrzegł, że Alek zwolna przesuwa się ze środka bajora na jego brzeg, gdzie mniej padało, bo było bliżej ściany baraku. Jakaś myśl rodziła się w mózgu „Dzikiego", uśmiechał się do niej, wykrzywiając grymasem usta. W pewnej chwili ryknął:

ALINA SZAPOCZNIKOW — rzeźba

— Powstań! Do baraku marsz!

Ale zanim Alek zdążył zerwać się na nogi i pobiec, przytrzymał go za ramię i zbliżając pryszczatą, woniejącą wódką gębę do twarzy więźnia, zasyczał:

— Na dziś dosyć. Będę cię „badał" jutro.

I kopnął go ponownie.

SZPADEL

To było jeszcze jedno popołudnie obozowe. Właściwie — pora między kolacyjną lurą a apelem. Dobra pora na „badanie". Właśnie o takiej porze „Dziki" znalazł się w baraku Alka. Więźniowie zajęci byli zeskrobywaniem błota z ubrań, ktoś jęczał na pryczy, trzymając się za brzuch, kilku szorowało podłogę. Alek był wśród nich. „Dziki" podszedł do tej grupy i wezwał Alka:

— To dla ciebie za ciężka robota — rzekł, mrużąc przekrwione oczy. — **Zbliż się tu, jazda!**

Alek zerwał się z klęczek.

— Przynieś no ten szpadel — powiedział „Dziki" i wskazał na kąt baraku, w którym oparte o ścianę stały szufle, szpadle, jakieś wiadra, miotły. W umyśle Alka błysnęła myśl, że może kapo chce go skierować do innej, cięższej roboty na terenie obozowym, nie dobrze to — pomyślał — bo instynkt mu podpowiadał, że najlepiej byłoby unikać samotności z „Dzikim". Czułby się o wiele spokojniej, gdyby na to, co będzie z nim wyprawiał kapo, jeszcze ktoś patrzył, gdyby miał świadków. Za mały miał jeszcze staż w obozie, by wiedzieć, że nikomu jeszcze świadkowie nie pomogli,. że okrucieństwo i sadyzm wyjęte są tu z jakichkolwiek reguł, że triumfują o każdej porze dnia i nocy. Pobiegł po szpadel i za chwilę znów stał przed „Dzikim".

— Chłopaki, chodźcie tu — kiwnął na grupę najbliżej stojących więźniów. Podeszło dwóch. — **A ty** — rzekł, zwracając się do Alka — **połóż się. Tylko nie na brzuchu, o nie! połóż się na plecach, żebyś wszystko widział. A wy połóżcie mu szpadel na grdyce, styliskiem, tylko żeby było równo po obu stronach. Połóżcie i usiądźcie sobie na końcach. No** — znów się zwrócił do swej ofiary — **teraz będziesz wszystko widział.**

Ale, o czym to ja chciałem z tobą mówić na tym badaniu? Aha, już wiem — o tych pierwszych trzech latach więzienia, o które mi się postarałeś w trzydziestym trzecim. Tamtą „szóstkę", co ci wczoraj mówiłem, dzisiaj ci już daruję. — A więc w trzydziestym trzecim było tak: sprzedawczyni w sklepie na Piotrkowskiej nie chciała wypuścić z rąk torby z pieniędzmi, to jej się trochę oberwało („bandyci — przypominał sobie Alek — przetrącili dziewczynie ramię, tak, że została kaleką na całe życie"), zresztą krzyczała za głośno, więc trzeba było ją na jakiś czas uciszyć. A czy ty wiesz, na co mi były potrzebne pieniądze z tego sklepu? Na posag dla siostry, musiała dostać trochę więcej, bo zezowała na jedno oko, kto by ją wziął z takim okiem. Ale ty, bandyto, nie chciałeś o niczym wiedzieć. Rozpracowałeś i mnie i kumpli, badałeś wszystkich, ale tylko mnie przypisałeś to potrącenie sprzedawczyni, więc ja wypadłem w sądzie najgorzej. Nie chciałeś „roboty" rozłożyć sprawiedliwie na wszystkich...

Nie wiadomo, jak długo ciągnął swe wspomnienia „Dziki", w każdym razie Alek nasłuchiwał z trudem, tylko z przerwami. Gdy siedzący na końcach styliska ludzie mocniej naciskali, gdy się poprawiali, bo im było niewygodnie, tracił oddech i świadomość. Wracała mu ona potem raz po raz, ale wątek opowiadania tracił.

— A teraz — warknął kapo — **przećwiczymy skoki.** — I kazał tym dwóm siedzącym powstać, nabrać rozpędu i skakać na stylisko szpadla. Po drugim, czy trzecim skoku coś chrupnęło w Alku i oczy wyszły z orbit, jakieś szklane i niewidzące. „Dziki" splunął w bok, gdzieś pod najbliższą pryczę i mruknął:

— Psiakrew, nie zdążyłeś wszystkiego posłuchać, a jeszcze ci chciałem opowiedzieć, jak żeśmy się włamali do kantoru fabrycznego, o czym nikt z was nie wiedział, a to właśnie ja byłem i moi kumple, nie zdążyłem ci powiedzieć o tym zalanym kamieniczniku, cośmy go uwalniali od portfela, zanurzając co chwilę głowę w wannie. O tym też nie wiedziałeś, że to nasza „robota"... Właściwie — za co ci płacili w tej brygadzie?

FILM

Sześć postaci w poszukiwaniu obiadu

Urodził się w 1900 roku, w 1928 pokazywał zaszokowanej publiczności swój pierwszy, wespół z Salvadorem Dali, zrealizowany film — „Psa andaluzyjskiego", rok później „Złoty wiek" — wielkie artystyczne manifesty surrealizmu. Cała późniejsza twórczość wielkiego Hiszpana bez ojczyzny, którą opuścił po zwycięstwie dyktatury Franco, wypełniła jeden z najznakomitszych rozdziałów historii sztuki filmowej. Luis Bunuel, 76-letni dziś artysta kina, pozostaje wśród tych największych i każda kolejna premiera jego filmu staje się wydarzeniem artystycznym, utwierdzającym wielkość dzieł poprzednich. Niezmordowany, ciągle intelektualnie i artystycznie żywy, zdumiewa Mistrz swą aktywnością i żarliwością twórczą. Jest przy tym nieomal obsesyjnie wierny głównym motywom tematycznym swej twórczości. W jego wypadku obsesyjność znaczy coraz bogatsze dopełnienie obrazu świata, który uczynił przedmiotem swej analizy i ocen. Bohaterowie większości jego filmów, to przedstawiciele świata burżuazji i Kościoła, przedmiotem głównym wspomnianych analiz i ocen — ich model życia i ich moralność oraz miejsce i funkcje w życiu społeczeństw Zachodu.

Zdawało się, że w totalnej krytyce mieszczańskiego porządku świata, którą zawarł przykładowo w „Aniele zagłady", w „Viridianie", „Tristanie", czy „Piękności dnia" wyraził już wszystko, co o świecie tym miał do powiedzenia, w formie przy tym tak doskonałej, że nic jej już nie dorówna. I zaraz potem przystąpił do realizacji „Dyskretnego uroku burżuazji" i „Widma wolności", zachwycając i bulwersując od nowa.

Sam o sobie, w 1972 roku, powiedział:

„Nie należę do żadnego stronnictwa, nie mam żadnej teorii. Jestem tylko szczery. Jeśli brzmi to prowokująco, zdaję sobie z tego sprawę dopiero po fakcie. Nie robię tego świadomie. Dawniej — tak. „Złoty wiek" i „Pies andaluzyjski" miały prowokować i obrażać. Ale dziś nie jestem świadomy tego, czy występuję jako bluźnierca, profanator, prowokator. Robię i mówię to — co wydaje mi się oczywiste".

Bunuel użył tu wobec siebie określeń, które zwykły się pojawiać, gdy mowa o jego osobowości twórczej i o cechach wyróżniających jego dzieła z powodzi utworów, które, w porównaniu, określić by można letniością temperatury wyrazu artystycznego i samego ideowego przesłania.

Luis Bunuel w dziejach sztuki w ogóle, jako autor „Psa andaluzyjskiego" i „Złotego wieku" pozostanie jako jeden z najwybitniejszych twórców spod znaku surrealizmu. Surrealizm dochodził zresztą do głosu w nieomal każdym, nawet w realistycznej konwencji realizowanym, jego filmie, wzbogacając znaczenia i metaforyzując sytuację. To dla surrealistów tytuł dzieła jest już kreacją, pełnym dziełem. Pamiętał o tym Bunuel nazywając swój kolejny film. W samym tytule — „Dyskretny urok burżuazji" zamknięte jest już przesłanie tego filmu, ukryty a zapowiedziany jest jego styl.

W „Dyskretnym uroku burżuazji" Bunuel odstąpił od typowego dla siebie stylu szokującego siłą i dramatyzmem obrazów, drapieżnością wizerunków bohaterów, brutalnością rozwiązań sytuacyjnych. Realizując swą „czarną komedię" wybrał broń inną niż dotychczasowa, jej celność i efektywność niczym nie ustępuje poprzedniej. Ironia, sarkazm, wdzięk i lekkość okazały się strategią doskonałą, jej celem jest atak na te same okopy. Ukryci w nich burżuje pędzą swe życie, którego uroki są faktycznie niepodważalnie oczywiste. W tym filmie pełnym wspaniałości bogatego życia odnajdujemy spojrzenie człowieka, który zna je na wskroś, widzi je jasno i nie ma złudzeń, iż jego bohaterowie długo jeszcze szparko kroczyć będą drogą, na której się znaleźli. Ten dosłownie potraktowany leitmotiv filmu dzieli go na kilka obrazów — sekwencji, w których zawarte są prawdy o ludziach z „bogatego świata". Owe sekwencje możliwe i wyśnione, będące jawą bądź snem, a nawet snem o śnie, bez widocznej logiki wynikania, a przeraźliwie czysto przy tym logiczne, układają się w przejrzystą konstrukcję obrazu życia wspaniałych mieszczan, jego stylu i jego moralności. W filmie Bunuela absurd sytuacji sąsiaduje i współznaczy z prawie wulgarną dosłownością. Bunuel zupełnie wprost, nie bojąc się tego wulgaryzmu, ilustruje główną, wywoławczą niejako cechę społeczeństwa mieszczańskiego, ową powielaną w dziesiątkach form konstatacji — konsumpcyjność życiowych postaw.

Szóstka jego bohaterów w toku całego filmu peregrynuje ku jednemu celowi — pragnie zjeść, na przemian, obiad lub kolację, oczywiście wytworną z całym przynależnym jej entouragem. Przerywnikami nie mogącej dojść do skutku konsumpcji gastronomicznej są nie zawsze też realizowane konsumpcje seksualne. I tak toczą się dni wytwornego towarzystwa, w którym panowie i panie odznaczają się urodą, elegancją, nienagannymi manierami, wspaniałymi koneksjami urzędowo-towarzyskimi, niemożnością uczuć i możnością przestępstw, które ten tryb życia czynią możliwym.

Obok tego wątku konsumpcyjnego jest jeszcze miejsce na różne inne, dopełniające ów obraz scenki, których tematem są różne mody i problemy świata, w którym żyją ci ludzie. A więc: moda na psychoanalizę, nowe tendencje wśród duszpasterstwa, bunty młodych francuskich kontestatorów, problemy krajów Ameryki Łacińskiej, narkotyki, współzależność czynników rządowych i przestępczego świata, krytyka armii itd. itd. Wszystko to tworzy mozaikę absurdalnych sytuacji, rządzonych wewnętrznym prawem ładu, który określa idea przewodnia filmu. Surrealistyczna niemożliwość tłumaczy się realistyczną społecznie możliwością. Luis Bunuel jeszcze raz pokazał swój pazur, jest w „Dyskretnym uroku burżuazji" drapieżny, kto wie czy nie bardziej niż wówczas, gdy walczył inną bronią. Sądzę też, że w filmie tym nastąpił atak podwójny: na ukazany świat i na tych, którzy z niego szydzą, może więc i na samego siebie. Bunuel zdaje się mówić: nienawidzę tego świata, a ciągnie mnie do niego tak jak i was wszystkich. Luis Bunuel zna naturę ludzką i zna biegi historii, dlatego jego bohaterowie krocząc w filmie symboliczną drogą, wcale tą peregrynacją nie czują się zmęczeni.

EWA NURCZYŃSKA

REPORTAŻ

Na Rynku w Kazimierzu jest zabytkowa studnia. Jak się stoi przy tej studni twarzą do ulicy Browarnej, widać najpiękniejszą kamieniczkę w miasteczku. Inne kamieniczki też są piękne i stare, ale ta jest naprawdę wyjątkowej urody i urzędują w niej rajcowie. Oczy turystów, a także gały ich obiektywów ślizgają się po tym budynku jak dzień długi. Ktoś wzdycha. Dziewczyna w baranicy mówi z romantycznym rozmarzeniem do gościa:

— Mogłabym tu mieszkać całe życie.

A on na to, przyjaciel narodu:

— Ja, ja!

Przyjezdni mają jednak powierzchowne postrzeganie. Nie wejdzie przecież taki do środka, a jak wejdzie, to się zdziwi, bo w Kazimierzu, jak w sędziwym Krakowie: na zewnątrz złoto, w środku liszaj.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Z DOŁU I Z GÓRY

Pnę się na pięterko po zrujnowanych schodach. Jakiś siedzący na dachu jegomość zwala przez dziurę w tym dachu bryły błota zmieszanego ze śniegiem. Leci także gruz, kawałki tynku, rozpryskując się pod moimi nogami, i już wiem, jaki jest ten Kazimierz: skoro w Urzędzie Miasta taki mętlik, gdzie indziej musi być podobnie...

Na pięterku obok zamkniętych drzwi coś w rodzaju kroniki towarzyskiej: przyszpilone pineskami do tablicy obwieszczenia Kolegium...

Ten temu nawymyślał — dwa tysiące.

Tamten owemu nakładł po mordzie — dwa lata.

Komunikaty:

„Skupujemy tytoń."

„Skupujemy rzeźne i robocze konie."

Przestrogi:

„Termin szczepień ochronnych upływa..."

Czas natomiast wlecze się ospale. Jak za czasów króla Kazimierza. W podcieniach na tym przesławnym i przecudownym rynku grupki miejscowych przywodzą na myśl epidemię bezrobocia, choć — jak najbardziej — dzień powszedni przed nami, finisz zaczyna się na starcie. W całym kraju ludzie przekraczają plany, wyrabiają normy, w Kazimierzu za to błogosławiony spokój.

Kelnereczka z Kawiarni poszła sobie po zakupy do Spółdzielni. Ekspedientka z Owocarni przyszła sobie na herbatkę do Barku. „Baryłeczkę", co jest naprzeciw tego Barku i specjalizuje się, a jakże, w miodach pitnych z korzeniami na gorąco, mieli otworzyć o dziesiątej, a zamknięta jeszcze o dwunastej. W restauracji „Esterka", którą polecili mi Wojciechowscy ze względu na kołduny w rosole, zmieniły się w międzyczasie rządy z prywatnych na państwowe i nawet jak ją nieraz odryglują, nie ma już tego litewskiego specjału, są natomiast nie opodal flaki w ajencyjnej knajpce. Sklepy „rabotają" od przypadku do przypadku i to bez żadnych tłumaczeń. We Frytkarni nic oprócz piwa. Kasa na Dworcu Autobusowym od tygodnia nieczynna i konduktorzy czynią pasażerom wyrzuty za pchanie się bez biletów. Śniegu napadało po kolana, ale wyciąg na górce — gdzie tam! Kino „Wisła" zatrzasnęło się nagle wbrew drukowanemu rozkładowi jazdy. W kościołach jeno wszystko wedle porządku: pogrzeby, chrzciny, śluby, nabożeństwa. Młody ksiądz bardzo mi się spodobał, bo wzniósł modły (bez ironii) za milicję i wojsko, bo to oni strzegą spokoju i pilnują granic. Nie śpi ktoś, żeby spać mógł ktoś.

Ale często jest odwrotnie. Ktoś zasnął (kobieta), ktoś inny (mężczyzna) wymknął się do miasta na zaloty. Czymże jest sen, jak nie przerwą w życiu? Przecknęła się zatem ta niewiasta i nakryła męża w lokaliku na uściskach z młodą panienką. Przegnała go oczywiście na ulicę i sejmikujące w podcieniach grupki miały chwilę przyjemnego urozmaicenia.

Artysta, który na stałe przeniósł się do Kazimierza z Warszawy, zwięźle i przekonująco wyłożył mi swoje poglądy:

— Jeśli w całym kraju trwa morderczy wyścig z czasem, jeśli wszyscy tylko pracują, radzą, zbijają pieniądze, gonią z wywieszonymi ozorami od sprawy do sprawy tracąc zdrowie i nerwy, jeśli nigdzie nie ma już miejsca na normalne, spokojne życie, bo: produkcja, kariera, sukces, rosnące potrzeby, wyższa stopa bytowa, lepszy samochód, większe mieszkanie, jeśli nawet w prowincjonalnych osiedlach ciśnienie skoczyło do dwustu w hałasie, szumie i smrodzie spalin — dobrze, że jeszcze zostało coś takiego jak Kazimierz.

Ano, zostało. Ludzki krok jest powolny, spojrzenie leniwe. Nikt się nie dziwi, że sklep akurat zamknięty, że nieczynna akurat winiarnia. Nikt z miejscowych, bo przywykły do ostrego rytmu dziennikarz z wielkiej aglomeracji zaczyna nagle bluzgać pod nosem i — urlop urlopem — chwyta za pióro.

Przeczytałem w lokalnej gazecie, że: Robi się w tym Kazimierzu straszne porządki: renowacje, rekonstrukcje, wodociągi, kanalizację. W ubiegłym roku wydano na same tylko prace konserwatoryjne siedem milionów złotych. W bieżącym roku wyda się dziewięć, a w najbliższej pięciolatce— sześćdziesiąt cztery, jeśli zaś chodzi o nowe inwestycje — dwieście pięćdziesiąt (aha! milionów), za co powstaną: szkoły, bloki, obiekty sportowe, pawilony usługowe, parkingi, obwodnica, szpital, nowa poczta, nowy Urząd Miasta, drugie Muzeum — no pewnie! — co zaś się tyczy tego pierwszego, nieczynnego chwilowo — to jasne! — wre tam, wedle zapewnień autora, wytężona praca, wymagająca tak wielkiej uwagi i starunku, że jeszcze przez kilka najbliższych lat noga ludzka tam nie postanie. Chyba, że moja noga: wdarłem się do środka w dzień powszedni i... normalnie! celejowskie mury dzwoniły grobową ciszą.

Bogumił Łukaszewski — „Wpadnij na chwilę... (olej.)

To samo można powiedzieć o Zamku. O Baszcie. O pozostałych zabytkach, które — remontowane w tym niesłychanym tempie (zgiełk w gazetach, żywej duszy wewnątrz) spokojnie niszczeją, podczas gdy z boku toczą się jakieś histeryczne dyskusje. Co zburzyć? Co zostawić? Co wybudować? Sztuka Mrożka mi się przypomina: **„A może byśmy, chłopy, coś zaorali? Coś z brzega?"**

Działa ponoć w Kazimierzu Koło Przyjaciół tego miasta. Miasteczko jest istotnie niezwykłe, ale Koło Przyjaciół, choć nazywa się ich „niestrudzonymi", „zaprzysięgłymi", „ofiarnymi", nie stanowi raczej precedensu. Towarzystwa Przyjaciół ma Łódź, Warszawa, Wieluń oraz kilkaset innych, dużych i małych miast. Bardzo przepraszam, ale gdyby przyszłość każdego z nich zależała tylko od Przyjaciół, to by Polska leżała w gruzach. Może oprócz Przyjaciół przydałby się także Wróg?

— Urodził się pan w Kazimierzu?

— Tak.

— Ile ma pan lat?

— Trzydzieści.

Facet jest dobrze ubrany i z lekka nagrany, a nastrój między nami — jak to w knajpie — intymny. Więc go pytam:

— Wyniósłby się pan do jakiegoś większego, a brzydszego miasta?

A on mówi:

— Gdyby były możliwości — tak!

Czy ten człowiek jest zdrajcą?

Przyglądam się bacznie innym młodym ludziom z miasteczka. Do SARP do DOMU PRASY, do kwater prywatnych przyjeżdża z różnych stron kraju wytworne towarzystwo. Nie wiem, czy istnieje coś takiego jak handel wymienny, ale można zarazić się od gości modą, dobrym smakiem, obyczajem. Toteż młodzież Kazimierza jest szykowna: wdzianka, dżinsy, kozaki, kożuchy, tombak na palcach, w kieszeni Pall Malle. Tylko gdzie się z tym pokazać?

— Gdzie? — pyta mnie ten zdrajca.

I tu brzmią fałszywe tony. Kazimierz liczy dwa tysiące ludzi. W przeliczeniu na głowy mieszkańców posiada dużo więcej lokali niż jakiekolwiek miasteczko:

3 restauracje — nigdy tłoku.

2 kawiarnie — miejsce zawsze się znajdzie.

Dom Kultury — mały, ale pusty.

Barku w Prasie i u Architektów nie wspominam, bo trudno tam wejść z ulicy.

Świetlice.

Piwiarenki.

Pewnie żem nie wszystko wyliczył...

Kiedy zatem zdrajca pyta:

— Gdzie?

Odpowiadam:

— Najlepiej, jak tatuś przykazał, siedzieć w domu.

Bo Kazimierz, to jest przecież konflikt między ojcem a synem, matką a córką, czyli wytwornie mówiąc: konflikt pokoleń. Starym dobrze, młodym nudno. Jedni zasiedzieli się na swoim, drugich pędzi w świat. Żeby zatrzymać tych drugich, trzeba by im oprócz kawiarni stworzyć jeszcze tak zwane warunki: dać szanse awansu, pobudować mieszkania, przemysł, co z kolei przeraża tych pierwszych, zakochanych w starym Kazimierzu i ja ich rozumiem.

Wiele już zabytkowych miast spartaczono poprzez tę dynamiczną rozbudowę. Weźmy dla przykładu Zakopane: było sobie kiedyś senną, cichą mieściną, dzisiaj jest hotelowo-gastronomicznym kombinatem, gdzie zamiast świeżego powietrza wciągasz w płuca sadze i dym.

Nie mnie, na szczęście, rozstrzygać, kto w tym konflikcie ma rację.

Nie mnie decydować o przyszłości Kazimierza.

Nie dziwię się artyście z Warszawy, który osiedlił się tutaj na stałe z uwagi na klimat, spokój i sielskie widoki.

Ale nie dziwię się również trzydziestoletniemu facetowi, który chciałby stąd prysnąć, bo dosyć ma już mieszkania w tej cudownej na zewnątrz, a zimnej, wilgotnej, odciętej od gazu i wody wewnątrz, kamienicy.

Najnowsze plany przewidują, że pod koniec bieżącej pięciolatki ludność Kazimierza, licząca obecnie dwa tysiące obywateli, skoczy do pięciu tysięcy. Plany uspokajają, że ta potężna nadwyżka pomieszczona będzie w głównej mierze na obrzeżach, i że nowe, powstające w związku z tym obiekty, nie zdominują ani stylem architektonicznym ani wielkością tego wszystkiego, co w Kazimierzu piękne, sędziwe, stanowiące o jego wdzięku.

Może i tak.

Nie jestem pesymistą i mam prawo wierzyć w te plany. Mam tym bardziej, że przecież tworzą je specjaliści, i że mimo toczących się sporów wszyscy chcą dla tego miasta dobrze. Fakt jednakże pozostaje faktem, że zmianom w strukturze urbanistycznej muszą towarzyszyć przeobrażenia w sferze społecznej, w sposobie myślenia ludności, w stosunku do pracy.

Chwalę sobie urlop w Kazimierzu.

Wyjeżdżając z Kazimierza, byłem pod jego niezaprzeczalnym urokiem. Długo jeszcze będę pamiętał Rynek, kamieniczki, podcienia i ościenne targowisko, na którym w piątki kłębi się zamiast straganów kilkadziesiąt wozów konnych, a buchający parą chłopi oferują ci pod nóż kwiczące prosięta. Długo jeszcze będę pamiętał kościoły, cmentarze, klasztor, Zamek i górującą nad miasteczkiem Basztę, z której, jak przed wiekami, można sobie popatrzeć na wezbrane wody Wisły.

Będę jednak także pamiętał zamknięte bez żadnego ostrzeżenia lokale, otwarte od przypadku do przypadku sklepy, zaryglowaną kasę na dworcu, nieczynny wyciąg narciarski, frytkarnię, w której nie ma nic prócz piwa, kino zatrzaśnięte wbrew wywieszonemu rozkładowi jazdy, ciszę dzwoniącą tam, gdzie powinny dzwonić młoty i zgiełk ludzkich głosów pod murami i osobników wspartych o nie plecami, co ranną porą w dzień powszedni przywodzą na myśl epidemię bezrobocia.

DIALOG PRZYJACIÓŁ

Ukazujący się od roku 1957 miesięcznik „Woprosy Litieratury" (Problemy Literatury) jest organem Związku Pisarzy ZSRR oraz Instytutu Światowej Literatury im. A. Gorkiego Akademii Nauk ZSRR. Ostatni, grudniowy zeszyt czasopisma z roku ubiegłego, w całości poświęcony został problematyce polskiej. W odredakcyjnym wstępie czytamy:

„Snując dziś refleksje o zagadnieniach kultury, roztrząsając liczne problemy rozwoju literackiego, nieuchronnie odnosi się je do zjawisk życia społecznego (...)

Stały się także tradycją specjalne numery czasopisma poświęcone w całości życiu literackiemu jednego z krajów socjalistycznych. W minionych latach rozpatrywane były problemy literatury NRD, Bułgarii, Mongolii, Węgier. Teraz proponujemy czytelnikowi opowieść o artystycznym życiu Polski. Została ona napisana wspólnie przez radzieckich i polskich literaturoznawców, pisarzy, działaczy sztuki, pracowników wydawnictw i redakcji.

Ukazanie się numeru zbiega się w czasie ze znaczącym wydarzeniem w życiu Polski Ludowej — VII Zjazdem PZPR (...)"

Chociaż impulsem do wydania polskiego numeru **„Problemów Literatury"** był zbliżający się VII Zjazd PZPR, kształt zeszytu i jego treści nie są pretekstowe, przynoszą bowiem szeroką panoramę naszego życia artystycznego ostatnich lat i pogłębioną ocenę jego rozwoju, ukazują także coraz żywsze związki pomiędzy literaturami ZSRR i Polski. Podkreśla je otwierająca grudniowy numer rozmowa przewodniczącego ZG Związku Pisarzy ZSRR **Georgija Markowa** z prezesem Zarządu Głównego ZLP — **Jarosławem Iwaszkiewiczem**, zatytułowana **„Jedność"**. Tym samym zagadnieniom poświęcony został blok tematyczny **„Przyjaźń narodów — przyjaźń literatur"**, w którym ze strony polskiej wypowiadają się: **Lesław M. Bartelski, Anna Bukowska, Bazyli Białokozowicz, Leon Wantuła, Eugeniusz Kabatc, Jan Koprowski, Leopold Lewin, René Śliwowski, Zygmunt Stoberski** oraz łodzianin **Tadeusz Chróścielewski**, ze strony radzieckiej zaś: **Mykoła Bażan, Włodzimierz Bielajew, Janka Bryl, Daniel Granin, Michał Kwiliwidze, Justinas Marcinkiewicius, Eduardas Miezelaitis, Borys Słucki, Maksym Tank.**

Dla czytelnika z Łodzi szczególnie interesujące będą wynurzenia białoruskiego pisarza, **Janki Bryla**, których fragment pozwolę sobie zacytować:

„...Nieprzypadkowo dwukrotnie wymieniam miasto Łódź — „czerwona Łódź", „łódzcy przyjaciele". W naszej twórczej przyjaźni z pisarzami polskimi, w naszych literackich związkach z Polską Łódź, a ściślej Wydawnictwo Łódzkie, zajmuje w ostatnim czasie szczególne miejsce.

Zaczęło się od tego, że w końcu 1971 roku w tym przemysłowym mieście wyszła antologia poezji białoruskiej w wyborze i pod redakcją Jana Huszczy. Teraz Wydawnictwo Łódzkie zamierza wznowić tę książkę w rozszerzonym wydaniu. To bardzo piękne i dlatego z wdzięcznością rozmyślamy o tym, że „Wiersze białoruskie" są pierwszą w ogóle antologią poezji białoruskiej w języku polskim, a przy tym w przeważnie dobrych przekładach. Tłumaczami są z reguły łódzcy poeci: wcześniej wymieniony Huszcza, Kononowicz, Chróścielewski, Koprowski, Sikirycki. Ostatnio w Łodzi z wielką pieczołowitością i znawstwem wydano osobne tomy poezji — klasyka Maksyma Bohdanowicza i jednego z najlepszych mistrzów współczesnych — Maksyma Tanka. A niedawno ukazała się antologia współczesnego białoruskiego opowiadania, powieść „Narodzona z płomienia" Aleksandra Adamowicza, opowiadanie Iwana Ptasznikowa „Łonwa". W najbliższym czasie ukaże się wybór opowiadań utalentowanego prozaika, Włodzimierza Korotkiewicza. W planach Wydawnictwa Łódzkiego znajduje się także Janka Kupała, Jakub Kołas i inni autorzy".

Tyle Janka Bryl. Warto wspomnieć, że jak gdyby uzupełnieniem jego wypowiedzi jest kolejny blok tematyczny zatytułowany **„Dialog literatur"**, w którym wypowiadają się autorzy polscy i radzieccy. I tak **Helena Cybienko** omawia recepcję literatury polskiej w Związku Radzieckim, zaś **Florian Nieuważny** recepcję poezji radzieckiej w Polsce. Z kolei **Wacław Sadkowski** zajmuje się polityką wydawniczą w dziedzinie przekładu, zaś **Wiktor Choriew** wypowiada się na temat rozwoju literatury socjalistycznej w Polsce.

W dziale **„Życie, sztuka, krytyka"** Problemy Literatury" przynoszą szeroki obraz polskiej sztuki współczesnej. **Janusz Termer** przedstawia najistotniejsze tendencje powojennej polskiej prozy, z kolei zaś **Andrzej Lam** prezentuje najciekawsze zjawiska naszej poezji. **Michał Misiorny** przedstawia stan współczesnej polskiej dramaturgii, zaś **Witold Nawrocki** zastanawia się nad społeczną rolą krytyki literackiej. **Wilhelm Szewczyk** poświęcił swój monograficzny artykuł tematowi pracy we współczesnej polskiej prozie, posługując się głównie przykładami śląskiego środowiska literackiego. **Wojciech Żukrowski** przedstawia problematykę prozy poświęconej wojnie i walce z faszyzmem.

Aczkolwiek „Problemy Literatury" zajmują się przede wszystkim, co wynika z tytułu czasopisma, zjawiskami literackimi, sporo uwagi poświęciły związkom pomiędzy różnymi dyscyplinami sztuki i wzajemnemu oddziaływaniu między nimi. W tym szeroko rozbudowanym bloku tematycznym wypowiadają się m.in.: **Halina Auderska, Roman Bratny, Tadeusz Hołuj, Jerzy Grotowski, Ludwik Flaszen, Zbigniew Załuski, Andrzej Kuśniewicz, Stanisław Lem, Tadeusz Łomnicki, Adam Hanuszkiewicz i Józef Szajna.**

Szczególnie interesujące są wypowiedzi szeregu pisarzy poświęcone problematyce autorefleksji w sztuce. Na temat swego warsztatu twórczego mówią: **Julian Kawalec, Tadeusz Nowak, Teodor Parnicki** i inni. Niezależnie od tego „Problemy Literatury" przynoszą interesujące wywiady z polskimi pisarzami: **Marianem Brandysem, Janem Parandowskim, Jerzym Putramentem i Tadeuszem Różewiczem.**

W dziale kronikarskim przypomniana została wypowiedź **Marii Dąbrowskiej i Juliana Tuwima: „Kocham cię" (Wiktor Gomulicki i jego poetycka odezwa do Rosji).**

W dziale recenzyjnym krytycy radzieccy omawiają cały szereg polskich książek, głównie naukowych, poświęconych problematyce rosyjskiej.

Ostatni wreszcie blok tematyczny dotyczy ruchu wydawniczego i czasopiśmienniczego w Polsce.

Numer zaopatrzony został w zwięzły słowniczek, który przynosi informacje o autorach prezentowanych w numerze.

TAJNY KLUB „Gabinetu cieni"

...Jest to stowarzyszenie, którego działalność otacza głęboka tajemnica. Jego członków obowiązuje zachowanie milczenia, nie istnieją żadne oficjalne dokumenty świadczące o istnieniu i działalności tej instytucji. Wiadomo, iż jego przewodniczącym jest holenderski książę Bernard. Stowarzyszenie to nosi nazwę „Bilderberg-Club".

Raz do roku kilkadziesiąt wybitnych osobistości zachodniej Europy i Ameryki spotyka się i wspólnie radzi „nad problemami bieżącej chwili". Nazwiska byłych i obecnych członków „Klubu" wskazują, iż zebrania te można by nazwać niejako posiedzeniami pozostającego w cieniu „gabinetu ministrów", który stoi ponad rządami narodowymi (i jest od nich o wiele bardziej potężny). W ciągu trzech dni — tyle bowiem trwają obrady „Klubu" — zbierają się i radzą wspólnie najbardziej wpływowi politycy, bankierzy, przemysłowcy, wojskowi i dyplomaci. Prowadzą dyskusje bez oficjalnego porządku, w przekonaniu, iż wypowiedziane opinie pozostaną w tajemnicy. Po zakończeniu dyskusji podejmują decyzje.

Celem działalności „Klubu" jest ponoć poszukiwanie „nowych dróg do osiągnięcia wzajemnego zrozumienia między Zachodem i światem komunistycznym", między Europą i Ameryką. W rzeczywistości jednak problematyka tych spotkań obejmuje pełny zbiór elementów, z których składa się tzw. „zachodni" sposób myślenia. Inaczej mówiąc „Klub" jest platformą zespalającą umiarkowanie konserwatywnych i proamerykańsko nastawionych działaczy zachodniej Europy z zachowawczymi elementami politycznego świata USA. Zebrania „Klubu" odbywają się zawsze w najbardziej złożonych i napiętych momentach sytuacji międzynarodowej. Na przykład spotkanie w jednym z francuskich kurortów w 1974 roku odbyło się w przeddzień odejścia Willy Brandta ze stanowiska kanclerza i rewolucji w Portugalii. W spotkaniu wzięli wówczas udział i przeciwnicy Brandta, i niektórzy z uczestników przewrotu z 25 kwietnia w Portugalii, który nastąpił niebawem po spotkaniu. Ze strony Portugalii w spotkaniu uczestniczył dyrektor pewnej kompanii przemysłowej, związany z gen. Spinolą, który kilka dni później doszedł do władzy w Portugalii. Jeśli chodzi o Włochy, to pierwszeństwo w obradach „Klubu" oddaje się wiodącym działaczom ekonomicznym, umiarkowanie konserwatywnym politykom partii rządzących i dyplomatom. Przedstawicielstwo innych krajów w „Klubie" jest o wiele szersze, a Amerykanów w szczególności. W skład tego „zakulisowego rządu" wchodzą także najbardziej wpływowi dowódcy wojskowi, ludzie z otoczenia prezydenta USA, znani liderzy polityczni i osobistości z kierownictwa CIA. Przypuszcza się, iż ów „gabinet cieni" udziela „rad" rządom narodowym.

Za oficjalną datę powstania „Klubu" uważa się rok 1952. Poprzedził je okres, kiedy po dopiero co zakończonej wojnie, zachodnia Europa stała się świadkiem fundamentalnych przemian na międzynarodowej arenie politycznej i ogromnego wzrostu roli komunistów. Stworzono NATO, „zjednoczona Europa" stawiała swoje pierwsze kroki, świat zachodni z niepokojem śledził wzrost napięcia między Starym Światem a Stanami Zjednoczonymi, „Komunistycznemu naporowi" trzeba było przeciwstawić „kontrśrodki", bardziej ścisłe przymierze. Autorem tego „romantycznego projektu" był niejaki Józef Retinger, emigrant z Polski, zamieszkały w Anglii (zresztą bardzo ciemne indywiduum). O Retingerze było dość głośno już w latach 1947—48, kiedy to wypłynął jako jeden z najbardziej gorliwych rzeczników „jedności europejskiej". Będąc wówczas generalnym sekretarzem tzw. „Ruchu Europejskiego", utrzymywał Retinger ścisłe kontakty z najbardziej wpływowymi politycznymi liderami zachodniej Europy owych czasów.

W 1952 roku Retinger odszedł ze stanowiska sekretarza w „Ruchu Europejskim", nawiązał kontakt z księciem Bernardem Holenderskim i wyłożył mu swoją ideę założenia centrum dyskusyjnego, swego rodzaju klubu, który by usuwał elementy „braku zrozumienia dla polityki USA". Bernard, dobrze znany w kołach ekonomicznych Zachodu (należy do rad administracyjnych kompanii lotniczych KLM i Fokker, wypełnia ważne misje w Ameryce Łacińskiej, utrzymuje nadal kontakty polityczne na najwyższym szczeblu itd.), wyraził zgodę i poparł inicjatywę. I tak powstał „Bilderberg-Club".

Teraz wynikła konieczność nawiązania kontaktów ze Stanami Zjednoczonymi. Książę Bernard i Retinger udają się do USA i po rozmowach z wpływowymi przedstawicielami politycznego i ekonomicznego świata Stanów Zjednoczonych powołują amerykańską sekcję „Klubu" z dwoma wielkimi finansistami na czele: J. Jacksonem i J. Coulmanem. Handlowe i polityczne koła Stanów Zjednoczonych, które przeżywają w owym czasie kulminacyjny punkt „zimnej wojny", okres działań wojennych w Korei i Indochinach, czasy maccartyzmu — z entuzjazmem witają „inicjatywę" okraszoną wyraźną antykomunistyczną tendencją i nawołującą do „obrony wartości zachodniego świata".

Regulamin „Klubu" przewiduje, iż zaproszenia na spotkania rozsyła się raz do roku. Oznacza to, że udział w jednym spotkaniu nie daje prawa do uczestniczenia we wszystkich następnych. Wykaz uczestników ustala specjalny komitet, którym kieruje książę Bernard. Są więc członkowie „Klubu", którzy uczestniczą w pracach grupy jeden jedyny raz, lecz są także i inni, którzy uczestniczą w nich mniej lub bardziej regularnie, jak na przykład David Rockefeller. Dyskusja nosi charakter poufny, nie zapisuje się wystąpień i nie prowadzi się protokołów. Po zakończeniu spotkania o wszystkim należy zapomnieć, z wyjątkiem wspólnie opracowanej orientacji, która, tak czy inaczej, znajduje wyraz w praktycznej działalności politycznej każdego uczestnika spotkania.

Zaproszenie jest ważne tylko na jedno posiedzenie i wysyła się je temu, kto, zdaniem księcia, lub zdaniem najbliższych jego współpracowników, zasługuje na miano „obrońcy duchowych wartości Zachodu".

Wydatki opłaca, zgodnie ze statutem, ten, kto w danej chwili gości „grupę Klubu". Zwrócono uwagę, iż w ostatnich latach posiedzenia nieomal z reguły odbywały się w apartamentach hoteli, należących do baronów Rothschildów w Europie i do Rockefellerów w Stanach Zjednoczonych. Jedynym dokumentem ze spotkania jest tajne sprawozdanie rozsyłane w odpisach wyłącznie do jego uczestników z kategorycznym zastrzeżeniem zachowania w tajemnicy treści dokumentów i nazwisk dyskutantów.

Redakcji mediolańskiego tygodnika „L'Europeo", z którego pochodzą te informacje, udało się ustalić daty i tematykę większości posiedzeń „Klubu". Pomijam je ze względu na brak miejsca.

Gdy kilka lat temu amerykański tygodnik „Ramparts" opublikował wykaz międzynarodowych instytucji i organizacji bezpośrednio lub pośrednio finansowanych przez Centralną Agencję Wywiadowczą, i kiedy CIA była zmuszona uznać prawdziwość tego wykazu, nie znaleziono w nim „Bilderberg-Clubu". Okoliczność ta wydała się tym bardziej dziwna, iż między „Klubem" i CIA, jak się nietrudno domyśleć, istnieje sporo punktów stycznych. Np. moment samego założenia „Klubu". Kiedy Retinger przybył do USA ze swoją „inicjatywą" całkowite poparcie okazał mu, o czym informuje jeden ze starych numerów amerykańskiego czasopisma „Life", nie kto inny jak sam Walter B. Smith, ówczesny dyrektor CIA. Aż do 1957 roku figurował on oficjalnie w charakterze jednego z kierowników amerykańskiej filii „Klubu".

Jeszcze jeden fakt. Józef Retinger był, jak wiadomo, „apostołem europeizmu" i generalnym sekretarzem „Ruchu Europejskiego". Ów „Ruch" otrzymywał imponującą pomoc CIA za pośrednictwem „Amerykańskiego Komitetu Zjednoczenia Europy" — organizacji, z którą od 1949 roku współpracował najgłośniejszy z szefów CIA — Allen Dulles i jego prawa ręka — Tom Braden, kierownik międzynarodowego wydziału CIA. W 1969 roku Braden ujawnił sporo znanych mu faktów. Powiedział na przykład, że CIA uruchomiła w Europie liczne organizacje otwierające drogę do bezpośredniego mieszania się w wewnętrzne sprawy wielu państw. Jedną z takich organizacji było „Stowarzyszenie Wolności Kultury", którego posiedzenia odbywały się głównie w 1957 roku w Mediolanie. Jak wynika z enuncjacji Bradena, od 1947 roku do 1953 Amerykański Komitet Zjednoczenia Europy" przekazał „Ruchowi Europejskiemu" bez mała 60 miliardów lirów. Lwią część tej sumy przekazano w 1951 roku, kiedy to w odpowiedzi na zorganizowanie Międzynarodowego Festiwalu Młodzieży w Berlinie „Ruch Europejski" z błogosławieństwem Retingera i Spaaka rozpętał wyjątkowo aktywną „kampanię kontrpropagandową". Przyznaje to sam Retinger w swoich pamiętnikach, napisanych niedługo przed śmiercią w 1960 roku. Istnieją również i inne dowody takiej pomocy ze strony CIA, Chociaż zaprzeczają temu wszyscy liderzy „Ruchu Europejskiego".

Finansowanie „Ruchu" przez Centralną Agencję Wywiadowczą trwało do 1967 roku, tj. do momentu rozwiązania „Amerykańskiego Komitetu Zjednoczenia Europy". Aż do tego czasu w jego kierownictwie było co najmniej czterech wiodących pracowników CIA: gen. Denovan, Allen Dulles, Tom Braden i Charles Spofford.

W spisie działaczy uczestniczących w spotkaniach „Klubu" figuruje sporo ludzi tak lub inaczej związanych z CIA. W ich liczbie: Shepard Stown — kierownik „Stowarzyszenia Wolności Kultury", Barry Beangham — przewodniczący „Międzynarodowego Instytutu Prasy", jednej z instytucji oskarżonych o przyjmowanie środków finansowych od CIA i in. Dodajmy do nich jeszcze Irvinga Browna i Waltera Reutera — dwóch bossów związków zawodowych, którym, jak przyznaje to Tom Braden, przekazywał pieniądze z CIA.

JERZY CZECH

Zasady POLITYKI ZAGRANICZNEJ W PROJEKCIE KONSTYTUCJI

Prasa codzienna przyniosła informację o pracach Komisji Nadzwyczajnej Sejmu, która przygotowuje projekt zmian w Konstytucji. Zmiany te — najogólniej mówiąc — uzasadnione są nowym etapem rozwoju kraju. W wielu przypadkach sformułowania z 1952 roku nie odpowiadają już aktualnej sytuacji i wymagają skorygowania. Nas — na tym miejscu — z racji omawiania problematyki międzynarodowej interesuje szczególnie ten fragment proponowanych zmian, które odnoszą się do polityki zagranicznej. Wnioskuje się **wprowadzenie do tekstu Konstytucji zasad polityki zagranicznej państwa**, podkreślając, że PRL:

— kieruje się interesami narodu polskiego, jego suwerenności, niepodległości, bezpieczeństwa, wolą pokoju i współpracy międzynarodowej,

— nawiązuje do szczytnych tradycji solidarności z siłami wolności i postępu, umacnia przyjaźń i współpracę ze Związkiem Radzieckim i innymi państwami socjalistycznymi,

— opiera stosunki z państwami o odmiennych ustrojach społecznych na zasadach pokojowego współistnienia i współpracy.

Propozycja ta stanowi cenne nowum i wynosi do rangi konstytucyjnej założenia polityki zagranicznej naszego państwa.

Jak wiadomo — polityka zagraniczna jest z reguły podporządkowana programowi wewnętrznemu państwa. **W warunkach socjalistycznych jej zasadniczym zadaniem jest stworzenie jak najlepszych warunków zewnętrznych do społeczno-gospodarczego rozwoju kraju.** W tym sformułowaniu mieści się kilka pryncypiów. Interesy państwa i społeczeństwa łączą się z pokojowym rozwojem, wymagają więc takiego aktywnego działania na arenie międzynarodowej, które oddalałoby na zawsze niebezpieczeństwo konfliktów i zbrojnej konfrontacji. Chodzi jednakże nie tylko o utrzymanie stanu bezwojennego, ale również o stworzenie systemu bezpieczeństwa i wzajemnie korzystnej współpracy na wielu polach. Osiągnięcie tego celu jest możliwe tylko w ścisłym współdziałaniu wszystkich krajów socjalistycznej wspólnoty. Korzystne przemiany w sytuacji międzynarodowej, jakie już się dokonały, są następstwem konsekwentnego działania naszych krajów, które w swej polityce kierują się zasadami praktycznego zastosowania idei pokojowego współistnienia. Konferencja Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie **jest wspólnym sukcesem krajów**, które złożyły swe podpisy pod Aktem Końcowym. Jest wszakże niezaprzeczalnym faktem, że propozycja jej zwołania, wykazanie zasadności jej przeprowadzenia, uruchomienie mechanizmów przygotowawczych oraz pomyślny jej finał — są zapisane na koncie krajów socjalistycznych.

Polska swą wysoką pozycję międzynarodową zawdzięcza rewolucyjnym przemianom, jakie dokonały się w naszym kraju po drugiej wojnie światowej. Zasadniczym elementem tych przemian było **trwałe związanie się z krajami socjalistycznymi**, zawarcie z nimi szerokich sojuszów, a tym samym jednoznaczne określenie się po stronie postępu i socjalizmu. Na tej drodze, a zwłaszcza w oparciu o sojusz z ZSRR — **uzyskaliśmy dwie najcenniejsze zdobycze: zapewnienie nienaruszalności naszych granic oraz zagwarantowanie niepodważalności bezpieczeństwa kraju.** Tylko z takich źródeł mogły brać swe początki wszystkie nasze narodowe sukcesy. Przeszłość i przyszłość są zatem jednoznacznie związane z miejscem Polski w socjalistycznej rodzinie krajów. Nic przeto dziwnego, że wnioskujemy, aby to stwierdzone zostało w Konstytucji.

Polska i inne kraje socjalistycznej wspólnoty włożyły wiele wysiłków w to, aby zawrócić świat z drogi pomnażania napięć i kryzysów i stosunki nieufności zastąpić zgodnym współdziałaniem. Z realistycznego odczytania mapy politycznej świata wyprowadziliśmy jedynie logiczne wnioski — **o potrzebie aktywnego współistnienia państw o odmiennych ustrojach.** Krok po kroku, rozwijając stosunki dwustronne i wielostronne, zakładaliśmy mosty zaufania, wnosząc tym samym wkład w zbliżenie krajów. Możemy przeto stwierdzić, że zainteresowani jesteśmy rozwojem stosunków z państwami o odmiennych ustrojach na zasadach pokojowego współistnienia i współpracy.

Współczesność obfituje w wiele problemów, które muszą być rozwiązane. Nie leży to w możliwościach jednego kraju, czy nawet kilku. Konieczne jest współdziałanie wszystkich. Aby tak się stało trzeba przede wszystkim proces odprężenia uczynić trwałym, założyć nienaruszalne fundamenty bezpieczeństwa i pokoju oraz połączyć wysiłki we wspólnym działaniu.

Mając przekonanie, że narody dążą do pokoju i postępu — chcemy pomóc w urzeczywistnieniu tego powszechnego dążenia. Kierujemy się przy tym interesami naszego państwa i społeczeństwa, które jednoznacznie łączą się z pokojem i międzynarodową współpracą.

Z tych to — najogólniej mówiąc względów — zamierzamy do zasadniczej ustawy, wyposażonej w najwyższą moc prawną, jaką jest Konstytucja — wprowadzić podstawowe zasady naszej polityki zagranicznej. Nikt przecież nie może wątpić, że jest to doniosła dziedzina działalności państwa.

W. SŁAWSKI

BOKS

MUHAMMAD ALI KONTRA GEORG FOREMAN

Dokończenie ze str. 7

ką siłą i precyzją. Mistrzowie nie atakują Mistrzów prawymi prostymi. W każdym razie nie w pierwszej rundzie. To najtrudniejsze i najbardziej niebezpieczne uderzenie. We wszystkich prawie pozycjach prawa ręka przebywa drogę przynajmniej o trzydzieści centymetrów dłuższą od tej, którą musi pokonać lewa. Bokserzy opierają swoje wyliczenia na centymetrach i ułamkach centymetrów. Kiedy prawa ręka pokonuje dodatkową odległość, w mózgu twojego przeciwnika odzywają się dzwonki alarmowe, a jego system nerwowy daje sygnał do kontrataku. Unikiem wejdzie pod twoją prawą i zdejmie ci głowę uderzeniem z lewej. Dlatego dobrzy bokserzy rzadko atakują innych dobrych bokserów prawym prostym. Nie w pierwszej rundzie. Dobrzy pięściarze czekają trzymając w odwodzie prawą rękę. To najwyższa władza zdolna ukarać zbyt wolną lewą przeciwnika. Prawa może pomóc w ataku, może sparować lewy hak i wystrzelić do przodu kontrą — to klasyczne prawidła boksu. Znają je zawodnicy i wszyscy dziennikarze sportowi. Ludzie Aliego to fachowcy najwyższej klasy, ale teraz Ali leci na księżyc. Atak prawymi prostymi! Mój Boże!

W następnej minucie Ali poczęstował Foremana kombinacją ciosów rzadką jak pluton: silna prawa prosta poprawiona długim lewym sierpem — cyk, cyk — jakże szybkie były te uderzenia! Jedno i drugie poszło w głowę. Po każdym z nich Foreman rzucał się do przodu we wściekłym ataku i każda taka akcja kończyła się klinczem. Jego wściekłość wzrastała z każdym celnym ciosem, przed którym nie zdołał się zasłonić. Te uderzenia nie osłabiały George'a, podsycały tylko jego furię. Inny zawodnik chwiałby się już na nogach. Foreman natomiast wyglądał coraz groźniej. Jego pięści były tak szybkie jak pięści Aliego (z wyjątkiem momentów, kiedy był trafiany), a twarz wykrzywił mu morderczy grymas.

Od lat nie przeżywał takiego upokorzenia. Zniknął gdzieś dobroduszny George z konferencji prasowych. Żarty skończyły się i teraz pragnął tylko jednego — rozerwać Aliego na strzępy. W miarę jak był bity i trzymany, bity i trzymany, rzędy prasy falowały coraz niespokojniej. Foreman stawał się straszliwy — Ali uderzył go piętnaście razy w głowę i nie złapał przy tym ani jednej kontry! Co się stanie kiedy w końcu Foremanowi wyjdzie uderzenie? Ali nie wytrzyma takiego tempa — żaden pięściarz wagi ciężkiej nie wytrzyma przy takiej szybkości czternastu rund.

A przecież nie skończyła się jeszcze pierwsza. W tej ostatniej minucie Foreman przycisnął Aliego do lin, wszedł w półdystans, strzelił prawym hakiem poprzez rękawice i poprawił jeszcze jednym uderzeniem. Ten drugi cios niczym ostrze z piekielną siłą wyrzuconej włóczni uderzył w czubek czaszki i w oczach Aliego pojawiła się konsternacja. Chwycił prawe ramię Foremana i przycisnął je do siebie, ale Foreman nie zrezygnował z użycia prawej pięści — cztery na wpół zablokowane prawe proste, jak cztery głuche uderzenia w gruszkę treningową spadły na głowę — dwa następne trafiły w tułów.

Ciało Aliego drgnęło i widać było, że te uderzenia wstrząsnęły nim od stóp do głów. Trzymając obie rękawice na karku Foremana odskoczył od lin w najbardziej ryzykownym uścisku swojego życia. Białka jego oczu były szkliste jak oczy żołnierza, który w powietrzu zobaczył nagle własne ramię oderwane podmuchem eksplozji. Gdzież są granice tej potwornej siły, której musiał stawić opór?

Foreman uderzył na oślep lewą. Potem znowu lewą, prawą, znowu lewą, lewą i prawą. Niektóre z tych ciosów szły w kierunku głowy, inne na tułów, kilka zostało zablokowanych, kilka chybiło, jeden ześliznął się po żebrach — były to brutalne, niecelne, z miażdżącą siłą zadawane uderzenia — każde z nich przypominało cios zadany zderzakiem wolno jadącej ciężarówki.

Wśród ryku sześćdziesięciu tysięcy gardeł Ali trafił wreszcie prawą. Foreman odpowiedział mu lewą i prawą. Potem wymieniali już ciosy prawie bez zasłony.

Zabrzmiał gong, wszyscy kręcili z niedowierzaniem głowami. Co za runda!

(cdn)

Opracował:
JERZY TWORKIEWICZ

HIPOTEZY

Do niedawna badania fenomenu latających talerzy były prowadzone głównie przez ludzi, którzy wierzyli, że dziwne obiekty pojawiające się w przestrzeni wokółziemskiej są statkami kosmicznymi istot z innych planet. Nie oznacza to oczywiście, że wśród badaczy problemu nie było ludzi wykształconych. Jednakże, mając z góry określony, subiektywny stosunek do obserwowanych zjawisk, starali się znaleźć ich wytłumaczenie za pośrednictwem teorii, które pokrywały się z powszechnie panującymi poglądami na temat niezwykłości fenomenu NOL i ich pozaziemskiego pochodzenia. Teorie te, aby mogły być uznane za prawdopodobne, musiały naturalnie zachowywać pozory argumentacji naukowej.

W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych naszego stulecia najbardziej znanymi i powszechnymi były na przykład „teorie" napędu elektromagnetycznego i pola grawitacyjnego, a także jedności tworzenia, lewitacji itp. Nie oznacza to z kolei, iż poglądy rozpowszechniane przez badaczy tajemniczych zjawisk kosmicznych kogokolwiek przekonały. Większość tych pseudonaukowych teorii powstawała po prostu na swoiste zamówienie społeczne, wywołane histerią latających talerzy i miała za zadanie podtrzymywać wiarę ludzi w niezwykłość obserwowanych zjawisk, jak też zaspokoić popyt na sensacyjne relacje o przybyszach z innych planet, tłumacząc zarazem zasady poruszania się ich pojazdów oraz pochodzenie talerzy.

W owym czasie bardzo nieliczne grono naukowców — specjalistów z dziedziny astronomii, astronautyki itd., poważnie zajmowało się wspomnianą wyżej problematyką wyjaśniania fenomenu NOL. Większość z nich uważała po prostu iż sprawy te są zbyt mało istotne i ciekawe, aby poświęcać czas i środki na ich badania.

Do nielicznych wyjątków pod tym względem należał wówczas amerykański uczony, **D.H. Menzel**, profesor astronautyki na uniwersytecie Harvard. W swych wypowiedziach na temat latających talerzy twierdził, że zadaniem naukowca powinno być poszukiwanie prawdy, świat bowiem pełen jest zagadek, o wielu zjawiskach, z którymi mamy do czynienia na co dzień, wiemy niewiele lub zgoła nic, a przecież nie oznacza to, aby dla ich wyjaśnienia trzeba było szukać pomocy u sił nadprzyrodzonych, bądź wymyślać rzeczy nieistniejące.

Jego zdaniem u podstaw wiary w istnienie i pozaziemskie pochodzenie latających talerzy legło kilka przyczyn, z których najważniejszymi były: fakt pojawiania się owych dziwnych zjawisk rzadko i nieregularnie, powszechna obawa przed skutkami wciąż wiszącej nad światem groźby wojny nuklearnej oraz aureola sensacji i emocji, jakie zawsze towarzyszyły opowieściom o tajemniczych obiektach latających. Jednakże nie sposób wszystkich dziwnych obserwacji wytłumaczyć złudzeniami lub przywidzeniami obserwatorów, zagadkowe zjawiska przypominające latające talerze istnieją bowiem w rzeczywistości, co bynajmniej nie oznacza, że są one pojazdami kosmicznymi pozaziemskich cywilizacji.

W ostatnim okresie czasu coraz większa grupa naukowców zaczyna poważnie badać fenomen niezidentyfikowanych obiektów latających, starając się przeprowadzić obiektywną analizę faktów i nie determinując przebiegu swych dociekań żadnymi „wstępnymi teoriami". Dotychczasowe próby „naukowej" interpretacji zjawisk talerzowych były bowiem oparte przede wszystkim na relacjach świadków, a te przecież są zazwyczaj bardzo rozbieżne. Tak na przykład dziesiątki ludzi, którzy obserwowali latające talerze, twierdziło stanowczo, że miały one postać metalowych krążków, zaś na pytanie członków komisji prowadzących badania tych dziwnych zjawisk, dlaczego tak sądzą, odpowiadali zazwyczaj, że błyszczały jak metal. A przecież znane już były tworzywa sztuczne całkowicie imitujące metal, mogło być to również szkło, które w pewnych warunkach odbija promienie świetlne tak jak powierzchnia metalu. Jednak koronnym argumentem świadków na to, że obserwowane przez nich zjawiska są pojazdami pozaziemskich przybyszów, miał być fakt, iż poruszały się one z ogromnymi prędkościami (w 1953 roku w jednaj z amerykańskich baz lotniczych przy pomocy radaru dalekiego zasięgu ustalono ich maksymalną prędkość — 28 tysięcy km/godz) oraz to, że były zdolne do wielkich przyspieszeń. Ponieważ było powszechnie wiadome, iż żaden ze znanych pojazdów ziemskich nigdy nie osiągnął w atmosferze takich prędkości i przyspieszeń, wysuwano stąd wniosek, iż tajemnicze pojazdy nie pochodzą z naszej planety. Kolejnym argumentem na rzecz tej tezy miał być sposób poruszania się latających talerzy, które jak wynika z relacji przytoczonych przez wielu świadków, zachowywały się tak, jakby obserwowały każdy ruch pilotów lecąc śladem ich samolotów, lecz zarazem unikając zetknięcia z nimi.

Czy jednak tajemnicze obiekty rzeczywiście musiały być pozaziemskimi pojazdami kosmicznymi? Czy tak samo nie zachowują się cień lub lustrzane odbicie? Analizując proste zjawisko odbicia lustrzanego, bądź zasadę powstawania tęczy, która nie jest przecież złudzeniem optycznym, a jednak odległość, w jakiej znajduje się od obserwatora wydaje mu się z reguły niewielka i określona — można także przeprowadzić dowód na to, że

BOHDAN FELT

LATAJĄCE TALERZE: FIKCJA CZY RZECZYWISTOŚĆ?

(część trzecia)

latające talerze są zjawiskiem optycznym podobnym do odbicia lub załamania się promieni świetlnych, odbicia promieni we mgle, kroplach deszczu, kryształkach lodu czy też załamania w na przemian ciepłych i zimnych warstwach powietrza. W licznych relacjach świadków pojawiały się mniej lub bardziej dokładne odległości, w jakich rzekomo znajdować się miały latające talerze, podawano również rozwijane przez nie szybkości. Lecz czy pomiary obserwatorów odpowiadały rzeczywistości?

Powróćmy na chwilę do wspomnianego wyżej przykładu tęczy. Patrząc na nią, widzimy ją zwykle na tle jakiegoś niedalekiego obiektu: lasu, góry, mostu, bądź domu i odległość,

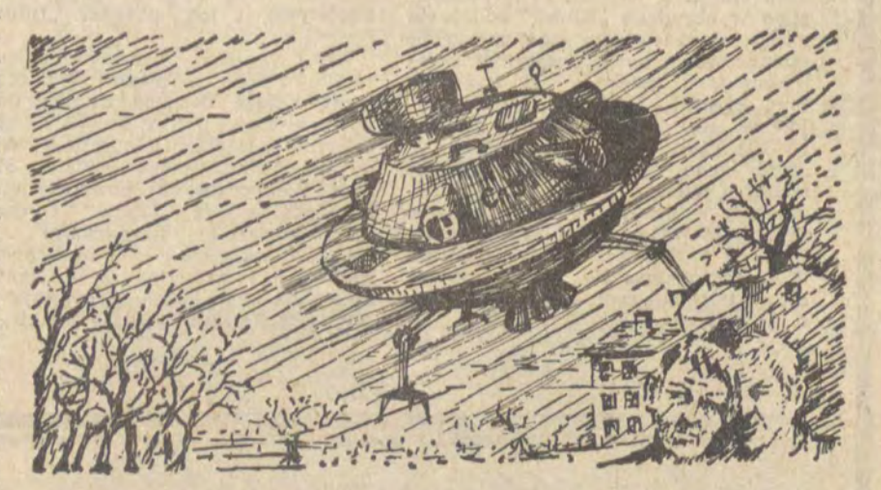

Rys. J. Szymański — Glanc

jaka ją dzieli od obserwatora wydaje się być określona. A jednak, gdy, podejdziemy do owego lasu, mostu lub domu, okazuje się, że tęcza znów jest od nas oddalona i wyraźnie widoczna na tle innego obiektu. Tak jak w tym, również przy wielu innych obserwacjach „poczucie" odległości jest tak wyraźne, że obserwator jest pewien, że dokładnie potrafi określić położenie oglądanego obiektu. Tymczasem okazuje się, że w miarę kolejnego zbliżania się do niego, ten stale się oddala. Tak właśnie dzieje się z tęczą, którą tworzą przecież drobne kropelki wody, znajdujące się w powietrzu między obserwatorem a chmurą deszczową. Kropelki są zarazem zwierciadłami, w których odbijają się promienie słoneczne i dzięki tej wielkiej ilości zwierciadeł powstaje zjawisko tęczy, której odległość jest równa odległości od źródła światła czyli od Słońca, a więc wynosi ona prawie... 150 milionów kilometrów! Czy zatem obserwowane tajemnicze zjawiska, nazywane latającymi talerzami, nie są na przykład refleksami świetlnymi? Owo dziwne, bijące od nich pomarańczowe światło pojawia się również w przypadku tęczy złożonej z bardzo drobnych kropel (np. podczas mgły), jest ona wówczas niemal biała i tworzy jasny półkolisty łuk o pomarańczowym brzegu.

Istnieją również pewne podstawy do twierdzeń, iż latające talerze mogą być pewnymi rzadkimi odmianami zorzy polarnej, bądź zjawiskiem pośrednim między zorzą a mieniącymi się obłokami, które pojawiają się na dużych szerokościach geograficznych. Otóż, jak wiadomo, tam właśnie występuje najczęściej zjawisko zorzy polarnej (w pobliżu biegunów — północnego i południowego), a ściślej w odległości 20° szerokości geograficznej od odpowiednich biegunów magnetycznych, które nie pokrywają się z geograficznymi. Zorze mają dość różnorodny kształt, jak i barwę. Najbardziej znaną postacią zorzy jest pas świetlny widziany zwykle na północnej bądź południowej stronie nieba. Niekiedy jednak pas ów przesuwa się i migocze jak płomienie ognisk. Zdarzają się również inne, niekiedy bardzo dziwne, postacie zorzy, które swym kształtem mogą przypominać opisy z relacji o obserwacjach latających talerzy. Jak wiadomo, zorza polarna powstaje wskutek uderzeń różnych cząstek materii pochodzących ze Słońca o górne warstwy atmosfery ziemskiej. Intensywne występowanie zorzy towarzyszy zazwyczaj silnym zakłóceniom magnetyzmu ziemskiego objawiającym się zazwyczaj w postaci tzw. burz magnetycznych. Tak więc meldunki pochodzące z końca ub. stulecia o pojawianiu się nad miastami północnych stanów USA wielkich statków w kształcie cygar i torped mogły być wynikiem zaobserwowanych i zarejestrowanych wówczas intensywnych plam słonecznych, zakłóceń magnetycznych i zorzy polarnej. Istnieje bowiem ścisła współzależność między krzywymi aktywności magnetycznej i aktywności plam słonecznych.

Wydaje się być wysoce prawdopodobne, że niektóre z tajemniczych obiektów latających mogły się okazać piorunami kulistymi, które powstają wówczas, gdy wyładowanie elektryczne zachodzi w atmosferze nasyconej parą wodną. Efektem tego oddziaływania o niezwykle dużej intensywności jest rozkład pary wodnej na atomy wodoru i tlenu, w rezultacie czego powstaje cylindryczny kanał rozgrzanego do bardzo wysokiej temperatury gazu, który następnie rozpada się na szereg lśniących kul. Na powierzchni każdej z nich gromadzi się woda powstała wskutek ochłodzenia, wywołując wrażenie metalicznego połysku. Warstwy wody mogą się stawać coraz grubsze kosztem zawartych w kulach gazów i czasami piorun kulisty może całkowicie zamienić się w wodę. Jeżeli w atmosferze istnieją wiry, wówczas piorun taki wskutek nierównomiernego ochładzania może się poruszać w różnych kierunkach, oczywiście przy zetknięciu z przeszkodą następuje wyładowanie. Pioruny kuliste mają zazwyczaj barwę jasnoczerwoną i otoczone są niebieską aureolą, zaś ich rozmiary mogą być bardzo różne, dochodząc nawet do kilkunastu metrów średnicy. Nie wykluczone więc, iż uważano je także za latające talerze.

Wśród wielu relacji bardzo charakterystyczne są opisy pewnych zjawisk optycznych, dających złudzenie unoszenia się rzeczywistego przedmiotu w powietrzu. Pojawiały się na przykład doniesienia o obserwacjach kilku słońc czy kilku księżyców, które następnie brano za niezidentyfikowane obiekty latające, bądź tajemnicze znaki niebios. Tymczasem interpretacja tego zjawiska jest dość prosta. Mamy tu bowiem do czynienia z załamywaniem się światła na kryształkach lodu, rozsianych bezładnie w przestrzeni. Podczas ich spadania przy zachowaniu odpowiedniego położenia powstają odbite obrazy Słońca, które niejednokrotnie są prawie tak samo jasne, jak prawdziwe (w nocy podobna sytuacja ma miejsce z Księżycem). Znacznie częściej niż całkowite odbicia Słońca mają miejsce refleksy niepełne pozbawione aureoli pomagającej je rozpoznać. Takie odbicie wygląda wówczas jak kula ognista, bądź bardziej lub mniej spłaszczony dysk albo spodek. Owe słońca pozorne, podobnie jak tęcza, podążają za obserwatorem. Dlatego też pilotom samolotów często wydawało się, że są ścigani przez tajemnicze świecące pojazdy. Zjawisko to wygląda dość osobliwie, zwłaszcza w półmroku, wówczas pilot może ulec złudzeniu, że w kierunku jego samolotu zbliża się oświetlony obiekt metalowy (gdy warstwa kryształków lodu jest gęsta). Gdy lotnik zwiększał szybkość, światło obiektu stawało się intensywniejsze, po czym robił on wrażenie, że się oddala z dużą szybkością bądź znika (gdy warstwa kryształków lodu była rzadka).

Niktóre z obserwacji talerzy latających można było wytłumaczyć po prostu jako złudzenia optyczne analogiczne do miraży pustynnych ze zbliżonym horyzontem (powietrze silnie nagrzane) bądź odsuniętym — gdy powietrze jest zimne (miraże górskie). Wówczas można było zaobserwować podłużne obiekty unoszące się na niebie, które często brano za NOL. Podobnie zresztą jak komety czy meteory, które zwłaszcza w ubiegłym stuleciu były jeszcze zjawiskiem stosunkowo mało zbadanym, a obserwowane przez przeciętnego człowieka wydawały się być zwiastunami nadchodzących katastrof i nieszczęść.

Wspomniane już poprzednio tajemnicze eskadry świecących obiektów, które pojawiały się w końcu ub. wieku nad Stanami Zjednoczonymi i Kanadą, wywołując panikę wśród ludności, mogły być właśnie skupiskami poruszających się wolno meteorów. Jak więc widać, zdecydowaną większość owych tajemniczych zjawisk można dość prosto i przekonywająco wyjaśnić, bez uciekania się do pomocy metafizycznych interpretacji. Nie oznacza to oczywiście, że można w ten sposób wytłumaczyć wszystkie dziwne obserwacje utrwalone w zebranych dotychczas relacjach świadków. Faktem jest, iż pewne sprawy stanowią dla współczesnej nauki zagadkę, lecz czy to koniecznie oznacza, że kryją się za tym siły nadprzyrodzone, mające swe źródła poza naszą cywilizacją? A przecież teorie o odwiedzaniu naszego globu przez inteligentne istoty z innych planet są dziś bardzo rozpowszechnione nawet wśród wielu poważnych ludzi, nie wyłączając naukowców.

ANDRZEJ JOCZ „SEGMENTOWIEC", (żywica rezolanowa)

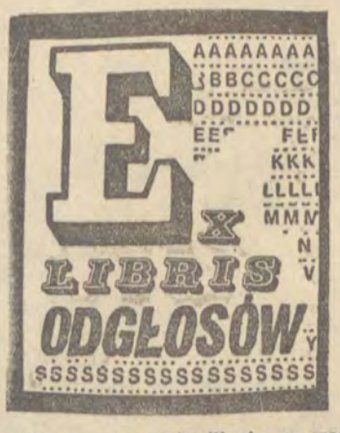

„W SIECI"

„W sieci" to tytuł kolejnej, czwartej już, przełożonej na język polski powieści Iris Murdoch. Wcześniej, w roku 1970 ukazał się „Czas aniołów", w roku 1972 „Dzwon" i w 1974 — „Skromna róża". Iris Murdoch, współczesna pisarka angielska, ma na swoim koncie już kilkanaście powieści, które cieszą się uznaniem angielskiej krytyki. W „Sunday Times" pisano o niej: „Ze wszystkich pisarzy, jacy pojawili się po wojnie, Iris Murdoch wydaje się być najbardziej warta wzmianki (...). W jej książkach czuje się wyjątkową siłę intelektu".

Urodziła się w roku 1919 w Dublinie. W Oxfordzie ukończyła studia klasyczne, w Cambridge — filozofię. W czasie wojny pracowała w UNRA w Londynie, Belgii, Austrii. Obecnie jest wykładowcą filozofii w Oxfordzie. Pisać zaczęła w latach, kiedy do głosu doszli młodzi-gniewni. Jej powieści ukazujące środowisko literackiej i artystycznej cyganerii są jednocześnie ciekawym studium charakterów. Tak się dzieje również w wypadku powieści „W sieci". Jej bohater, młody literat Jack Donaghue, którego styl życia na pewno nie można by nazwać banalnym i nieciekawym, szuka prawdziwej przyjaźni i miłości, tego, czego w gruncie rzeczy szuka każdy człowiek. Jego perypetie opisuje autorka z dużą dozą humoru, ale jednocześnie z sentymentem i zadumą, która zawsze towarzyszy tym najistotniejszym i najtrudniejszym ludzkim problemom.

Powieść ukazała się w serii „Nike".

Iris Murdoch — „W sieci", przełożyły: M. Abrahamowicz, M. Leśniewska, „Czytelnik", Warszawa 1975, str. 463, cena 40 zł.

DESANTOWCY

17 sierpnia 1941 roku, we wsi Zofiówka w powiecie piotrkowskim wylądowało pięciu skoczków spadochronowych. Była to pierwsza polska grupa desantowo-wywiadowcza, która spoza linii frontu radziecko-niemieckiego została przerzucona na teren okupowanego kraju. Dowódcą grupy był kapitan Mikołaj Arciszewski, znany przed wojną dziennikarz i rysownik — karykaturzysta, później jeden z inicjatorów „Memoriału do Naczelnego Dowództwa Armii Czerwonej" dotyczącego udziału internowanych oficerów i podchorążych Wojska Polskiego w walce ze wspólnym wrogiem. Od jego pseudonimu „Michał" przyjęła swój kryptonim grupa desantowców, która przez blisko rok prowadziła działalność wywiadowczą, przekazując radzieckiemu dowództwu, drogą radiową, cenne informacje o rozmieszczeniu wojsk hitlerowskich, ruchu niemieckich transportów wojskowych, stanu sieci kolejowej na liniach od Rzeszowa i Krakowa po Gdańsk.

Jednym z owej piątki był Jerzy Ziółkowski, autor wspomnień „Grupa „Michał" nadaje". Ziółkowski rozpoczyna swoją opowieść od 1935 roku. Najbardziej frapująca jest jednak ta część wspomnień, która dotyczy działalności grupy „Michał": jej powstania, potem organizacji coraz rozleglejszej sieci punktów wywiadowczych działających dzięki pomocy wielu Polaków, wreszcie tragicznego epilogu w lipcu 1942 roku.

Jerzy Ziółkowski opisał w swoich wspomnieniach stosunkowo mało znany fragment historii walki Polaków z hitlerowcami. A przecież ważny, zapisany krwią poległych żołnierzy. Książka Ziółkowskiego przywraca ich naszej pamięci.

Jerzy Ziółkowski — „Grupa „Michał" nadaje", Wydawnictwo MON, Warszawa 1975, str. 270, cena 20 zł.

„ŚMIERĆ GULLIWERA"

„Leonid Andrejew był utalentowany z natury, utalentowany organicznie, posiadał niezwykle wrażliwą intuicję. We wszystkim, co dotyczyło ciemnych stron życia, sprzeczności w duszy ludzkiej, niepokoju w sferze instynktów — był straszliwie domyślny". Tak scharakteryzował Andrejewa Maksym Gorki.

Leonid Andrejew, prozaik i dramaturg rosyjski, urodził się w 1871 roku. Przez kilka lat po studiach zajmował się dziennikarstwem, a jako pisarz zadebiutował w roku 1897, kiedy to ukazała się jego nowela „Bargamot i Garaśka". Był jednym z najwybitniejszych przedstawicieli rosyjskiego dekadentyzmu. W swoim czasie był jednym z najgłośniejszych pisarzy rosyjskich w Europie, jego opowiadania, nowele i dramaty tłumaczono niemal na wszystkie języki europejskie.

Ostatnio, w serii „Nike", ukazał się tom nowel Andrejewa, oparty na dwutomowym wydaniu radzieckim z roku 1971. Tom nosi tytuł „Śmierć Gulliwera". W przedmowie Jerzy Pański tak pisze o opowiadaniach Andrejewa: „...kiedy dziś po latach się do nich powraca, opada z nich cały zewnętrzny nalot mody literackiej, a pozostaje żywa prawda wiecznej ludzkiej niedoli, gorzkie oskarżenie wiecznej małości człowieka, jak w przepięknym „Judaszu Iszkariocie", niegodnej tej ofiary, jaka poniósł dla niej Chrystus na krzyżu. Toteż tym, którzy wezmą tę książkę do ręki, powiedzieć mogę tylko: czytajcie ją, nie pożałujecie spędzonych nad nią godzin". Po lekturze opowiadań Andrejewa trudno się z Jerzym Pańskim nie zgodzić.

Leonid Andrejew — „Śmierć Gulliwera", przełożył: J. Pański, „Czytelnik", Warszawa 1975, str. 495, cena 38 zł.

„OD REALU DO AJAXU"

Wydawnictwo „Sport i Turystyka" nigdy specjalnie nie rozpieszczało swoich czytelników — kibiców, ale ostatnia posucha na książki o tematyce sportowej wydaje się być trochę przydługa. Trudno się więc dziwić, że w tej sytuacji inne oficyny wydawnicze decydują się na edycje książek o sporcie, chyba bez szkody dla własnych interesów, a na pewno ku zadowoleniu wielu miłośników sportu.

W Wydawnictwie „Śląsk" ukazała się ostatnio książka „Od Realu do Ajaxu", której autorami są trzej dziennikarze katowickiego „Sport" — Andrzej Gowarzewski, Bernard Gryszczyk i Andrzej Konieczny. Publikacja ta odpowiada na ogromne zainteresowanie, jakim od lat cieszą się pucharowe pojedynki piłkarskie. Książka zawiera bowiem historie europejskich rozgrywek pucharowych, przedstawionych od momentu ich powstania aż po rok 1975. Czytelnik więc będzie miał okazję przypomnieć sobie co ważniejsze mecze poszczególnych edycji, a autorzy zadbali o to, aby nic nie uronić z historii pucharowych występów polskich klubów piłkarskich.

„Od Realu do Ajaxu" ucieszy kibiców — zbieraczy piłkarskich statystyk, bowiem autorzy zamieścili wyniki wszystkich meczów, jakie rozegrano łącznie z edycją 1974/1975 w trzech głównych pucharach: PEMK, PEZP i UEFA. A ci, których statystyka interesuje mniej, znajdą dla siebie wiele interesującej lektury wzbogaconej o anegdoty i ciekawostki z piłkarskiego światka.

A. Gowarzewski, B. Gryszczyk, A. Konieczny — „Od Realu do Ajaxu", Wydawnictwo „Śląsk", Katowice 1975, str. 262, cena 45 zł.

ZDARZENIA i ZWIERZENIA

KSIĘGA CYTATÓW

Cytaty stały się ostatnio modne. Tak można by zacząć uwagi na temat **„Księgi cytatów z polskiej literatury pięknej"**. Ale to nieprawda, bowiem cytaty były modne zawsze. Autorzy tego niecodziennego zbioru — **Paweł Hertz i Władysław Kopaliński** piszą, że już w I wieku naszej ery wydano zbiór sentencji Publiliusza Syriusza.

Tego rodzaju wydawnictwa zaczęły się coraz częściej ukazywać w czasach nowożytnych, a w Polsce pierwszą taką księgą było dwutomowe dzieło Arnulfa Kazimierza Żeglickiego z lat 1742—1743. Potem był zbiór Ambrożego Grabowskiego z roku 1808, dalej zbiór Hieronima Juszyńskiego z 1819 roku...

Zresztą zestawiona przez Pawła Hertza próba bibliografii polskich zbiorów przytoczeń czyli antologii cytatów zawiera ponad sto pozycji. W istocie było tych zbiorów zapewne więcej. Jaki stąd wniosek? Widać istniała i istnieje nadal potrzeba antologii cytatów. Nawiasem mówiąc ogromną popularnością cieszą się w ogóle wszelkie antologie literackie.

„Księga cytatów" Hertza i Kopalińskiego spotkała się od razu z zarzutami, że autorzy odbiegają od kryteriów wyboru zaprezentowanych w przedmowie, że nie ma w „Księdze" tego czy innego tekstu. Są to zarzuty normalne i całkiem powszednie w wypadku zbiorów i antologii. Przecież każdy średnio oczytany i inteligentny czytelnik ma swoją własną, prywatną antologię czy choćby tylko jej mglistą wizję. W tej sytuacji zawsze istnieć będzie rozdźwięk między j e d n y m konkretnym zbiorem a wizją i pragnieniem tysięcy czytelników, z których każdy ma swoją j e d n ą, prywatną antologię.

Autorzy zdają sobie z tego doskonale sprawę, pisząc w przedmowie:

„Podobnie jak wszystkie przedsięwzięcia tego rodzaju, zbiór nasz w pewnym tylko zakresie może opierać się na kryteriach obiektywnych. Piśmiennictwo polskie z czasem stanie się przedmiotem innych, miejmy nadzieję, licznych opracowań tego typu, dokonywanych z rozmaitych punktów widzenia, w różny sposób i w różnym zakresie. Każde z tych dzieł, rzecz oczywista, podobnie jak to, które obecnie przedkładamy Czytelnikom, okaże się w znacznej mierze odbiciem czyichś sądów i upodobań".

Jasna sprawa. Antologie i wybory opracowują ludzie, a nie bezduszne komputery. Dlatego ostatnim zarzutem, jaki można postawić antologistom jest pretensja, że coś pominięto lub czegoś jest za dużo... Oczywiście nie mam na myśli w tym wypadku tekstów tak ewidentnych, jak „Litwo, ojczyzno moja". Ale przecież takich przeoczeń w „Księdze" nie ma.

Przeciwnie — odnosi się wrażenie, że autorzy chcieli dać m a k s i m u m tekstów. Taki choćby Ludwik Szczepański w powszechnym odczuciu pozostawił ze swej spuścizny poetyckiej tylko ten jeden znany fragment: „Wśród oceanu czarnej kawy płynę do Wyspy Ukojenia..." Jest to klasyczny cytat, który się powtarza nie znając nawet nazwiska autora. Ale autorzy antologii poszli dalej, bo obok takich pojedyńczych fragmentów cytują całe strony Tetmajera, Trembeckiego czy choćby nawet Mickiewicza, które to teksty w przeważającej większości nie są klasycznymi, obiegowymi cytatami.

Czy to źle? Przeciwnie — to bardzo dobrze, bowiem owe teksty zasługują na to, aby wejść do powszechnego obiegu.

„Księga cytatów z polskiej literatury pięknej" jest pozycją tej miary i klasy, że małostkowe uwagi na temat drobiazgów nie znalezionych w niej przez tego czy innego recenzenta, tracą swoją wagę wobec ogromu trudu i erudycji autorów. Jest to poza tym publikacja — zważywszy jej zasięg — prekursorska. We współczesnym piśmiennictwie polskim takiej antologii nikt dotąd bowiem nie opracował. Jeśli — jak piszą autorzy — z czasem doczekamy się innych opracowań tego typu, to przecież przyszli autorzy nie narodzonych jeszcze antologii cytatów będą z pewnością zaczynali od tego progu, jakim jest księga Hertza i Kopalińskiego.

„Księga cytatów z polskiej literatury pięknej" jest pozycją pomnikową. Składając więc wyrazy uznania autorom i Państwowemu Instytutowi Wydawniczemu dziwić się należy, że zainteresowanie polskiego czytelnika wydawca oceniał tylko na 20 tysięcy egzemplarzy.

WIDOK

LEWYM OKIEM

UBIKACJA LENIWEGO NABOŻEŃSTWA

Przez całą prasę kulturalną znów przewala się fala alarmujących głosów o ratowanie języka polskiego, zagrożonego tysiącem galopujących infekcji. Są to alarmy słuszne, nabrzmiałe słusznością aż do pasji, do krzyku i klątwy. Są to alarmy bezsilne i bezradne.

Można narzekać na dziwaczne neologizmy, na zbędne zapożyczenia, na dęte i pretensjonalne hiperbole. Ale można też załamać się i ugiąć pod ciężką melancholią, czytając renomowanych, notowanych, chwalonych pisarzy — zawodowców i znajdując w ich tekstach, w ich stylu, kwiatuszki nie mieszczące się w najbardziej tolerancyjnym „dobrym smaku" literackim. Le style — c'est l'homme. Styl to człowiek. Ze stylu można wiele się dowiedzieć o rodzaju umysłowości, nawet o charakterze piszącego, o jego „duszy".

Zdaje się, że to Boy proponował kiedyś, żeby pisarz szukając błyskotliwej i — za wszelką cenę — dziewiczo nowej metafory sprawdzał jej próbę prostym zabiegiem: narysowaniem tego, co chce właśnie powiedzieć. Albo przynajmniej wyobrażeniem sobie rysunku, stanowiącego odpowiednik, wizerunek użytego stylistycznego tropu. Propozycja żartobliwa, kpiąca, skrajna, ale coś w niej przecież jest. Jest jak młotek, którym by ktoś badał twardość diamentów. No i dobrze: wartości diamentu młotkiem nie sprawdzisz, ale też prawdziwego diamentu młotkiem nie rozbijesz. A zabawy trochę przy tym być może.

Bez żadnej zatem ubocznej kalkulacji, gwoli czystej mózgowej zabawie, sięgam sobie po dwie książki sprzed kilkudziesięciu lat (bo sprawa jest ponadczasowa, „wieczna", bynajmniej nie stanowiąca signum dzisiejszej językowej nonszalancji). Jedna z tych książek to dzieło przedwojennego Akademika Literatury, klasyka, świetnego pisarza i stylisty, Wacława Berenta — „Ozimina". Druga — to wysoko przed wojną nagrodzona, wiele razy wznawiana „Grypa szaleje w Naprawie", również świetnego pisarza i poety, Jalu Kurka. Czy wolno bawić się kosztem klasyków? Im to na pewno nie zaszkodzi, a nam — trochę przewietrzy kompleksy.

Było nie było, sięgam do cytatów (są autentyczne, ale dla uniknięcia żmudnych przypisów i komentarzy nie podaję stron „wiersza od góry" itd.; podam je zainteresowanym na żądanie). Oto fragmenty opisu dziewczęcej twarzy u Berenta:

„Oczy zmrużone, a żywe jak u węża, rzucały aż na skroń wibrującą zmarszczkę uwagi. Zaciśnięte wargi rzucały od kątów w stronę uszu drgające rysy swawoli czy czegoś gorszego. Zastawiał się za ten wyraz głupkowaty podbródek o migdałowym owalu i miękkości dziecięcej".

Mniejsza o to, że oczy węża mogą być raczej symbolem nieruchomości, absolutnej obojętności, a nie „żywości". Ale spróbujcie wyobrazić sobie oczy, które rzucają na skroń wibrującą zmarszczkę uwagi. Co to jest zmarszczka uwagi? Jak można rzucać zmarszczkę, w dodatku wibrującą?

Zmrużone oczy rzucały wibrującą zmarszczkę, a zaciśnięte wargi też coś rzucają: drgające rysy swawoli czy czegoś gorszego. Podbródek zastawia się za wyraz, ale podbródek jest głupkowaty, chociaż ma migdałowy owal. Kto to narysuje? Może ogłosić konkurs?

„Doświadczam lakonicznego szczęścia młodego padyszacha — pomyślał splatając dłonie na dołku. — Odzyskawszy kontenans, pozostawałoby już chyba tylko siąść na tym miękkim jak puch dywanie, wesprzeć głowę o taboret z poduszek, jeść sorbet i całować się słodkimi wargi. Cóż za ubikacja przedziwnie leniwego nabożeństwa! — mówił do siebie, rozglądając się — cóż za wykwint kaukaski! Jakaż profuzja tapicerskiego geniuszu i perskiego natchnienia!"

Myślicie, że ubikacja leniwego nabożeństwa to parodia Mniszkówny? Nie. I nawet nie Mniszkówna jako taka. To Berent, „Ozimina".

„Odpowiadała na wezwanie wdziękiem starodawnym, ustawiona w cichość warkoczową, w dzierlatki płochliwej wtulenie się dziewczęce". A tymczasem „w sali bilardowej zbierali się panowie, prostując swe członki oraz instynkty po nazbyt długiej wobec dam grantilezzie..."

A oto „rozłożysty towarzysz, większy wzrostem, ale mniej wymowny, wyciąga papierosa i z zadowoleniem zapala dymiącą pochodnię męskości".

Ta dymiąca pochodnia męskości jako peryfraza papierosa — to już Jalu Kurek. To jego bohater „zamieszał się i zginął w orgii głosów, mętnej paplaniny, przeglądań się w zakrwawionych białkach, mrugań, uśmiechów i cmokań".

Zginął w orgii przeglądań się w białkach, a „już zdawało się, że zawodowy pedagog-polonista zaczyna głębiej pojmować życie, że już wprzęga się w taczki pracy społecznej, wchłonięty w orbitę dyscypliny ustrojowej". Cóż to jednak znaczy wobec bohaterki „Grypy", której „stają w ustach jak kawał drzewa liczne, nie nazwane choroby, drżenie, żal, milczenie, bezsenność"?...

Jeżeli komuś bezsenność staje w ustach jak kawał drzewa, to nie pozostaje nic innego jak wyprzęgnąć się z taczek pracy społecznej, rozprostować członki oraz instynkty i zapalić z zadowoleniem pochodnię męskości.

Ale żeby to raz zobaczyć na obrazku!

ĆWIEK

PROPOZYCJE

KTO NIE LUBI SIĘ GAPIĆ?

Kto nie lubi się gapić? Czasem wstyd się do tego przyznać, ale jeśli rzeczywiście mało ludzi lubi gapić się na to, co dzieje się na ulicy, na podwórku, pod oknami bloku, to skąd biorą się ludzie, przyglądający się skutkom wypadku, kraksy samochodowej? Dlaczego, kiedy rozwala się dom — a nie rozbiera się, cegła po cegle — w pobliżu stoją tłumy ludzi? Skąd biorą się gapie przed mało spotykanym modelem samochodu?

W każdym z nas jest bowiem coś z kibica i nie ma w tym nic złego, jeśli jest to zainteresowanie uboczne, a nie postawa życiowa. Kibicowanie bowiem, jako postawa życiowa jest zjawiskiem społecznie szkodliwym. Życiowy kibic spokojnie przygląda się, jak inni pracują, jak tworzą coś nowego, a potem chce wraz z tymi, którzy pracowali, korzystać z ich wyników pracy. Tego rodzaju postawy trzeba zwalczać. Co innego kibicowanie uboczne, hobby, przejaw zainteresowania tym, co dzieje się wokół nas. Proponuję, aby tego kibicowania nie wstydzić się, aby wykorzystać go w społecznym interesie.

Zdaję sobie doskonale sprawę, że oba terminy są trochę „podejrzane". Zarówno „kibicowanie", jak i „gapiostwo" mają zabarwienie negatywne. Dlatego też zastrzegłem się, aby uniknąć nieporozumień, że traktuję tego rodzaju naturalną, ludzką cechę raczej jako objaw zainteresowania, niż, jako życiową postawę. Taki dość prymitywny przejaw zainteresowań jestem gotowy nawet pochwalić, z taką postawą — walczyć.

Dlaczego jestem gotów chwalić „gapiostwo"? Z bardzo prostych powodów. Uważam bowiem, że tę naturalną cechę można wykorzystać dla społecznie pożytecznych celów.

Kiedy w Warszawie budowano Trasę Łazienkowską, jej model wystawiono w oszklonej gablocie i stała się ona przedmiotem powszechnego zainteresowania warszawiaków, jak zresztą i sama budowa tej trasy. Kiedy budowano na skrzyżowaniu Al. Jerozolimskich i ul. Marszałkowskiej Hotel Forum, trzeba było wznieść podium dla chętnych oglądania tej budowy. W Łodzi wprawdzie jest oszklony kiosk — przy ul. Piotrkowskiej, między ul. Główną a ul. Roosevelta — w którym też wystawia się makiety różnych dzielnic, ale nie budzi to większego zainteresowania. Czy dlatego, że ludzie nie lubią popatrzeć na to, co się dzieje i jak się dzieje? Nie, bo, kiedy rozbierano dom na ul. Andrzeja Struga i al. Kościuszki, tłum gapiów tarasował przejście. A więc dlaczego?

Podejrzewam, że ludzi po prostu mniej interesują abstrakcyjne makiety, a bardziej konkrety. Gdyby naprawdę coś działo się przy budowie skrzyżowania ul. Żeromskiego z ul. A. Mickiewicza, to myślę, że i tam ludzie chętnie pooglądaliby sobie, jak i co robią. I gdyby jeszcze można im było pokazać, jak to skrzyżowanie będzie wyglądało w przyszłości, za tych kilka lat, jak wszystko dobrze pójdzie, to myślę, że wzbudziłoby to szersze zainteresowanie.

Budujemy w Łodzi wiele. To prawda i nikt tej prawdy nie ma zamiaru kwestionować. Ale budujemy w rozproszeniu. Nie ma u nas koncentracji wysiłku budowlanego w jednym miejscu. Nie ma u nas dążenia do konkretnego efektu, który pozwalałby nie tylko uporządkować jeden konkretny kwartał miasta, ale też wywierałby określone wpływy propagandowe, unaoczniałby łodzianom i przyjezdnym wielkość naszych przeobrażeń. Pokazywałby rozmach i kształtowałby w ich wyobraźni przyszłą wizję nowoczesnej Łodzi. Oddziaływałby na wyobraźnię, rozbudzał ją, kształtowałby poczucie sukcesu. A do tego nie wystarczą tylko słowa i opowieść o tym, ile wybudowaliśmy izb, ile nowych fabryk, do których przenieśli się ludzie ze starych, ile starych zmodernizowano. To też potrzebne, ale to tylko połowa, część pracy, jaką trzeba podjąć dla dokonania przeobrażeń w społecznej świadomości łodzian.

Sięgamy wyobraźnią w nie tak znów daleką przyszłość, bo do końca XX wieku, rysując wizję Polski końca lat dziewięćdziesiątych naszego stulecia. Ale tę przyszłość budujemy już dziś, zarysy jej kształtujemy naszą codzienną pracą. Byłoby zatem dobrze, gdybyśmy się uczyli widzieć teraźniejszość przez pryzmat przyszłości, widzieć skutki naszej dzisiejszej pracy, jako zarysy przyszłości. W tym działaniu nie bez znaczenia jest wyobraźnia. Ale wyobraźnię trzeba rozbudzać, kształtować ją, zmuszać do wysiłku, poddawać nieustannemu treningowi. Bez ciągłego odwoływania się do wyobraźni, daleko nie ujedziemy.

O potrzebie oddziaływania na naszą wyobraźnię jakoś najłatwiej zapominamy. Najważniejsze wydają się nam konkretne efekty gospodarcze. To prawda, że są one ważne, ale przecież te efekty nie są same dla siebie, są one podporządkowane celom ogólniejszym, bardziej rozległym. Czy zawsze potrafimy je widzieć i pokazywać je innym?

Jest przy al. Kościuszki w Łodzi niedokończony hotel. Właściwe sformułowanie powinno brzmieć: buduje się przy al. Kościuszki w Łodzi hotel. Ale nie mogę tak napisać, bo hotel jest niedokończony, a nie buduje się dalej. Ten fakt też działa na ludzką wyobraźnię, tylko odwrotnie. I o tym trzeba również pamiętać. Ludzie lubią popatrzeć jak coś się dzieje. Nie lubią martwoty. To naturalne. Nie wstydźmy się więc tego, że lubimy się pogapić. Postarajmy się zrobić z tego narzędzie kształtowania naszej wyobraźni.

MARCIN RODAK

SPORT

POŻYTEK Z HOMOLOGACJI

Olimpiada w Innsbrucku tuż tuż, a my odetchnęliśmy z ulgą, bo Stanisław Bobak już trenuje i po cichu możemy liczyć, że a nuż fortuna znów się do nas uśmiechnie. Ale możemy liczyć tylko po cichu, bo z której strony na te nasze zimowe sporty nie popatrzeć to same deficyty. Za mało skoczni narciarskich krytych igelitem, za mało torów do jazdy szybkiej na lodzie, za mało lodowisk dla łyżwiarzy i hokeistów, za mało starania o niektóre dyscypliny narciarskie, co tu dużo gadać, nawet śniegu mamy za mało. Mogę się przyznać, że osobiście, po cichu liczę na naszych biathlonistów, którzy trenowali gdzieś koło Murmańska, więc na nieodpowiednie warunki do uczciwych treningów nie mogą narzekać. Chyba, że — odpukajmy na wszelki wypadek — akurat na nich będzie się chciało sprawdzić przysłowie o Panu Bogu co kule nosi.

W tej niejasnej sytuacji proponuję mały relaks przed czekającymi nas emocjami, a ponieważ o tym, jak przebiegały przygotowania gospodarzy do XII Zimowych Igrzysk Olimpijskich wiemy z doniesień prasy sportowej prawie wszystko, popatrzmy więc trochę wstecz.

Sporty zimowe doczekały się uznania na IV Olimpiadzie, która się odbyła w Londynie w 1908 roku. Wówczas to po raz pierwszy podzielono program igrzysk na dwie części: właściwe igrzyska i sporty zimowe, które obejmowały ni mniej ni więcej tylko: piłkę nożną, hokej na trawie, boks, rugby i wreszcie jazdę figurową na łyżwach. W tej ostatniej konkurencji startowało 7 kobiet i 15 mężczyzn z Niemiec, Rosji, Stanów Zjednoczonych A.P., Szwecji i Wielkiej Brytanii. Olimpiada trwała od maja prawie do końca października, ale łyżwiarze mieli gdzie jeździć, bowiem w Londynie, jeszcze przed 1900 rokiem, oddano do użytku 3 sztuczne lodowiska. Aż się wierzyć nie chce, a to prawda.

Przyzwoitej już weryfikacji doczekały się dyscypliny zimowe na V kongresie olimpijskim zwołanym w Paryżu, w 1914 roku. W projekcie standardowego programu sportowego igrzysk olimpijskich znalazły się wówczas następujące dyscypliny zimowe: łyżwiarstwo figurowe, łyżwiarstwo szybkie, hokej na lodzie oraz narciarstwo. Jednakże na VII Olimpiadzie w Antwerpii, w roku 1920, w programie znalazł się tylko hokej na lodzie i łyżwiarstwo figurowe.

Następna olimpiada miała się odbyć we Francji, w 1924 roku. Wcześniej, bo w 1921 roku na 19 sesji MKOl w Lozannie zapadła ważka dla późniejszych Zimowych Igrzysk Olimpijskich uchwała. Przyznawała ona francuskim gospodarzom prawo zorganizowania pod patronatem MKOl „Tygodnia Sportów Zimowych". Organizatorzy VIII Olimpiady podjęli się tego zadania i w dniach od 25 stycznia do 4 lutego 1924 roku odbył się w Chamonix ów „Tydzień Sportów Zimowych", później uznany już jako I Zimowe Igrzyska Olimpijskie. Program obejmował wszystkie zimowe dyscypliny z wyjątkiem saneczkarstwa i jego odmianie tzw. skeletonie, a w igrzyskach wzięło udział 293 zawodników (w tym 13 kobiet) reprezentujących 16 krajów. Najwięcej sukcesów zanotowali zawodnicy z Norwegii i Finlandii. Notabene przedstawiciele tych dwu państw oraz Szwedzi byli największymi przeciwnikami organizowania „Tygodnia Sportów Zimowych". Widzieli w tej imprezie konkurencję dla swoich „Igrzysk Północnych".

Francuzi udowodnili, że jest sens organizowania igrzysk zimowych. Toteż na VIII kongresie olimpijskim w Pradze, w 1925 roku, markiz de Polignac przedstawił tekst „Karty Zimowych Igrzysk Olimpijskich", który tak się zaczynał: „Międzynarodowy Komitet Olimpijski ustanawia specjalny cykl Zimowych Igrzysk Olimpijskich, które muszą się odbywać w tym samym roku co igrzyska letnie. Otrzymują one określenie jako pierwsze, drugie, trzecie itd. Zimowe Igrzyska Olimpijskie zostaną podporządkowane wszystkim zasadom protokołu olimpijskiego. Nagrody, medale i dyplomy muszą się odróżniać od tych, które są przewidziane dla igrzysk bieżącej olimpiady..." Kongres zaakceptował Kartę Zimowych Igrzysk Olimpijskich i jednocześnie uznał „Tydzień Sportów Zimowych" w Chamonix jako I Zimowe Igrzyska Olimpijskie. I taki właśnie był początek.

W Chamonix zadebiutowali zawodnicy polscy. Niestety bez powodzenia. Nie zdobyli również medalu w następnych kolejnych igrzyskach. Dopiero w 1956 roku, na VII Zimowych Igrzyskach Olimpijskich w Cortina d'Ampezzo Franciszek Groń-Gąsienica wywalczył dla Polski pierwszy brązowy medal w kombinacji klasycznej. Później były medale Elwiry Seroczyńskiej i Heleny Pilejczyk, długo długo potem — Wojciecha Fortuny. Zostawmy jednak te wspomnienia na czas stosowniejszy...

Czytelnikom, którzy chcieliby mi zarzucić, że zajmuję się historią, jak gdyby w sporcie nie działo się nic interesującego, uprzejmie donoszę, że dla mnie najbardziej frapująca impreza ostatnich dni był 44 Rajd Monte Carlo. Ale ponieważ na temat tej całej imprezy mam swoje zdanie, które wolę zachować dla siebie mogę powiedzieć tylko tyle, że jedyna pożyteczna rzecza, jaką przyniósł start Polaków w tym rajdzie było to, że wreszcie dowiedzieliśmy się co znaczy tajemnicze słowo „homologacja". Dobre i tyle.

BOGDA MADEJ

FOTOREPORTAŻ

JANUSZ MENDYCHOWSKI

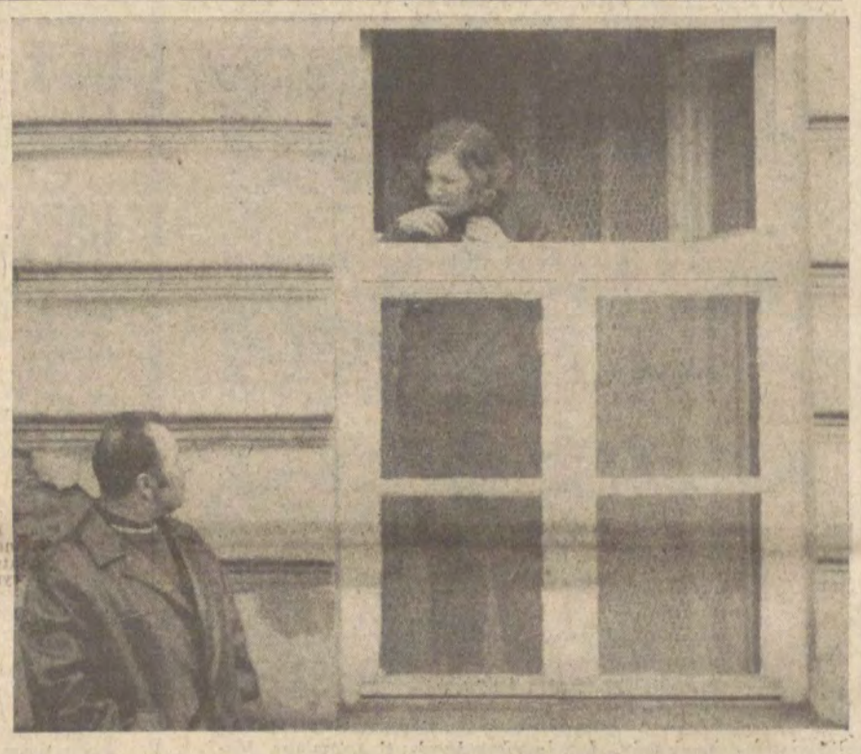

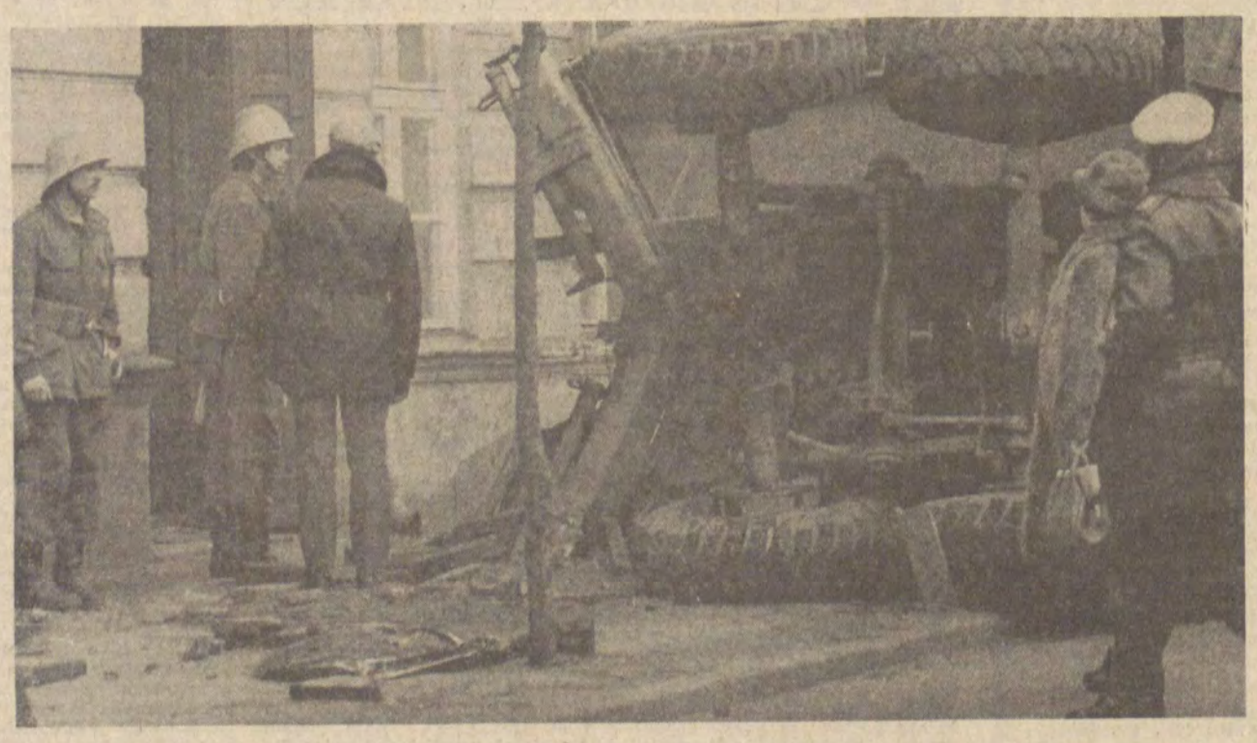

MAGAZYN
ODGŁOSY

BOHDAN PIĄTKOWSKI

WYWIAD

Zrezygnowałem już z napisania artykułu o prowincjonalnych domach kultury, kiedy zadźwięczał dzwonek. Otworzyłem drzwi. Do mieszkania weszła kobieta niosąca kosz z nabiałem i... całą gamę zapachów wiejskiej zagrody. Od progu rzeczowo zapytała:

— Nie potrzebuje pan masła, albo sera?

— Proszę, proszę — krzątałem się gorączkowo. — Siadajcie, pani gospodyni.

Od pierwszej chwili wahałem się czym poczęstować przybysza. Maślanki nie miałem, herbata nie wydawała mi się odpowiednia. Kiedy zaproponowałem zsiadłe mleko, ku memu osłupieniu — gość zażądał „szatana". Popijając kawę, gwarzyliśmy o wegetacji roślin, spodziewanych urodzajach i przewidywanej pogodzie. Na koniec przeszedłem do interesującego mnie problemu:

— Czy nie sądzi pani, że przy zagospodarowywaniu domów kultury w większym stopniu należy uwzględniać otaczającą rzeczywistość, która jest przecież bogata w jeszcze żywe relikty kulturowe?

— A czemu by nie? — zgodziła się chętnie. — Jajka pan weźmie?

Zadowolony, że znalazłem potwierdzenie swoich poglądów u kompetentnej osoby, odpowiedziałem:

— Wezmę. Proszę położyć na stole. Więc pani jest zdania — indagowałem dalej, wyciągając notes — że domy kultury nie mogą się przyjąć w nowym klimacie, jeżeli nie będzie stworzona „równowaga biologiczna" dzięki symbiozie z formami zrodzonymi z lokalnej subkultury?

Tym razem niewiasta patrzyła na zastygły w oczekiwaniu długopis, medytowała chwilę, po czym odparła:

— Jasne, równowaga biologiczna — rzecz najważniejsza. Masło i ser potrzebne?

Rozentuzjazmowany, chwyciłem jej dłoń i gorąco zapewniłem:

— Nie uwierzy pani, jak bardzo cieszą mnie dowody zrozumienia z jej strony. Zdaję sobie sprawę, że nie może pani formułować jednoznacznej opinii. Śmiały wyraz solidarności z moim stanowiskiem mógłby panią narazić całej okolicy. Ale, proszę się nie obawiać — nazwisko pani nie zostanie ujawnione w druku. (Nie, nie! Te pięć osełek już się nie zmieści na stole. Może w lodówce?) Stanowicie, pani gospodyni, wspaniały przykład zdrowego, ludowego rozumu. A przechodząc do konkretu — czy można sądzić, że podobały się na wsi wzory, oparte na ludowych wycinankach? Oczywiście po przetransponowaniu ich na freski, a jeszcze lepiej — w postaci sgraffita?

— Jak ładne, to podobały się — potwierdziła stanowczo. — Ciekawie pan mówi, nikiej doktor Zin, tyle, że bez węgla i piórka. No, a śmietanę, to chyba odstawię z bańką. Tanio za nią policzę, bo rączka już odpada.

Skinąłem głową i niefrasobliwie wsuwając naczynie pod stół, ciągnąłem:

— Jest godne pożałowania, że i w zakresie wyboru „patrona" przejawiana jest podobna beztroska. Najczęściej domy kultury nazywa się imieniem jednego z wieszczów lub jakiegoś postępowego działacza, który przeważnie nie ma żadnych osobistych powiązań z regionem, natomiast musi być znakomitością co najmniej — w skali krajowej. A przecież, przyzna pani, nie ma chyba w Polsce osady, w której na przestrzeni tysiąca lat naszej historii nie pojawiłby się człowiek tej miary, że warto by uczcić jego pamięć. Trzeba śmielej czerpać z przeobfitego zdroju ojczystej kultury, ze zdroju, którego źródła biorą początek i u was, w waszej wsi. A i patron z pewnością też by się znalazł.

Kobieta dumnie oświadczyła:

— Pewnie, że mamy takiego. Przewodniczący GRN — Puś Zygmunt. Działacz społeczny i człek bywały, wypaczeń nie ma, świadopogląd, że proszę siadać. Po śmierci, jak raz będzie się nadawał na świeckiego patrona. A miód stawiam na kredensie.

Chciałem przejść do zagadnienia inicjatywy społecznej, nieodzownej przy kierowaniu dużą placówką oświatową, kiedy wywiad został niespodziewanie przerwany żądaniem zapłaty za dobra, które stały się moją własnością.

Uregulowałem sumą mającą mi służyć na opłacenie wycieczki do Paryża. Nie żałowałem jednak. Uczciwe gromadzenie materiałów cenię wyżej!

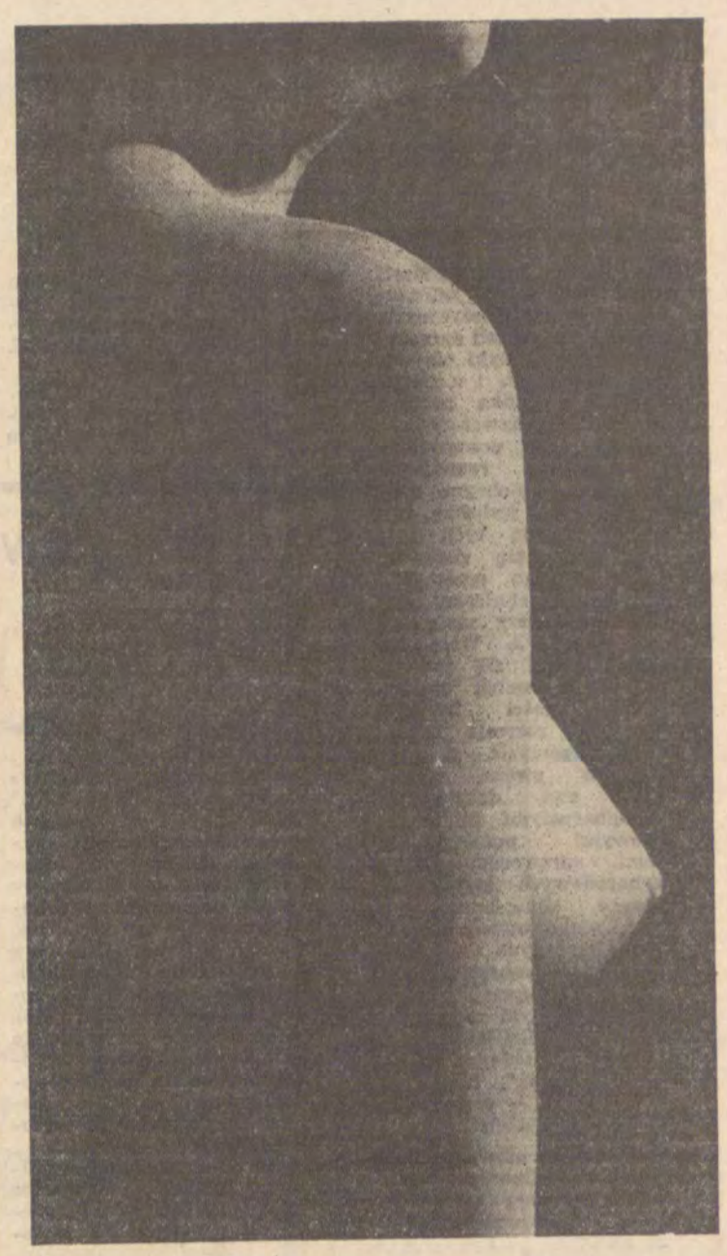

Foto: Janusz Prajs

Foto: W. Parys

Z PRAC POLSKICH ARCHEOLOGÓW

○ STAROEGIPSKI WARSZTAT PERUKARSKI Z DEIR EL-BAHARI

Wiosną 1974 r. nad świątynią Mentuhotepa położoną w pobliżu świątyni królowej Hatszepsut w Deir el-Bahari, miejscu działalności Polskiej Stacji Archeologicznej Śródziemnomorskiej w Kairze kierowanej przez prof. dr K. Michałowskiego oraz Pracowni Konserwacji Zabytków, natrafiono na pozostałości warsztatu perukarskiego. Publikacja o tym znalezisku została przygotowana do druku w Zakładzie Archeologii Śródziemnomorskiej PAN.

Unikatnym zabytkiem z tego zespołu i pierwszym tego rodzaju znalezionym w Egipcie, jednoznacznie świadczącym że chodzi tu o warsztat perukarski, jest drewniany model głowy z zaznaczonymi osiami, zarysem włosów oraz kratką złożoną z prostokątów, rombów i trójkątów umieszczoną na czubku głowy, służący do wyrobu peruk. Ponadto w skład znaleziska wchodziły cztery alabastrowe wazy zawierające wykonane z ludzkich włosów różnorodne elementy peruk i tres, przygotowane do użycia, niedokończone lub stanowiące odpady z produkcji. Wśród nich na szczególną uwagę zasługuje niedokończona peruka, w której pasma włosów przymocowane są do siatki mającej formę czapeczki splatanej z nitek. Inny, również ciekawy rodzaj osnowy peruki wykonany był ze skóry z powycinanymi prostokątnymi otworami.

Znaleziono również substancje należące do grupy kosmetyków, których próbki zostały przebadane pod względem fizykochemicznym i biologicznym w Instytucie Kryminalistyki i Kryminologii Akademii Spraw Wewnętrznych w Warszawie. Analiza ta potwierdziła identyfikację brązowego proszku jako farby do włosów oraz ustaliła, że substancja pokrywająca włosy i pełniąca funkcję lakieru posiada skład chemiczny podobny do mydła.

W wazach znaleziono ponadto kościane szpile do włosów ozdobione karneolem i hebanem umieszczone w etui z miąższu papirusowego, stosowane zapewne zwyczajem egipskim, jako pomoc przy układaniu włosów, a nie jako ich ozdoba, brązowe szydła, krzemienne noże, kościane paciorki posiadające magiczną moc ochraniającą tkaniny, nici, rzemienie, tasiemki, sznurki, podwójny ureusz należący do ozdoby głowy oraz fragmenty odcisków pieczęci. Pieczęcią zabezpieczony był również węzeł płótna okrywającego całość znaleziska, co świadczy o wartości zawartych tam materiałów.

Elementy datujące wiążą ten zespół z szerokim okresem od XII do pocz. XVIII dyn. (pierwsza połowa drugiego tysiąclecia przed naszą erą). Warsztat ten o dość rozległym i różnorodnym wachlarzu świadczonych „usług", co potwierdza rozmaitość form włosów, wchodził zapewne w skład warsztatów i magazynów należących do okręgu świątynnego w Deir el-Bahari. Zważywszy, że działał na terenie nekropolii tebańskiej, jego produkcja mogła być przeznaczona dla uposażania zwłok i tworzyć jeden zespół z pracownią balsamierską, jak również mogła być wykorzystywana do wyrobu peruk kultowych personelu kapłańskiego świątyń i sanktuariów.

Miejsce, w którym warsztat znaleziono, nie było z pewnością jego pierwotnym usytuowaniem, a ukrycie go nad świątynią, pod zasypiskiem z cegieł i kamieni mogło być spowodowane zniszczeniem jego pierwotnego pomieszczenia wskutek klęsk żywiołowych lub prac budowlanych związanych z konstrukcją świątyni Hatszepsut lub Totmesa III.

GRAŻYNA BANASZKIEWICZ

MINIATURY

* * *

Ja
skrawek twojej skóry
na czubku wskazującego palca
owinięty w prześcieradło
czernieję ci za paznokciem

* * *

Jest zima — mówi karzeł
(mój sufler na tę porę roku)
a zimą
chowasz w dłoni płomień
jakbyś wciąż jeszcze nie wiedziała
że on
wymyka się między palcami
zamarzając do bieli
na mojej długiej brodzie

Z ŻYCIORYSU PEWNEGO POETY

— był małym chłopcem
jeździł na rowerku
wokół podwórka
aż któregoś dnia
w narożnej kamienicy
ktoś się powiesił

przegapił okazję
— kawałek takiego sznura
przynosi szczęście —

JACEK BROMSKI

DE MORTUIS...

Muszę przyznać, że umarłem dość głupio. Był maj, świat budził się do życia po długiej i ciężkiej zimie, ja zaś umarłem w środku tygodnia, pozostawiając po sobie masę nie załatwionych spraw, zupełnie bezplanowo i nieoczekiwanie. W dodatku pogrzeb mój, który zgromadził luminarzy sztuki, przedstawicieli dyplomacji i kilkadziesiąt osób z towarzystwa odbył się w radosnej atmosferze majówki, w promieniach wiosennego słońca i przy akompaniamencie rozśpiewanego ptactwa, co na mnie, jedyną w końcu osobę mającą powody do narzekań spośród biorących udział w ceremonii, nie mogło wpłynąć budująco. Zawsze wyobrażałem sobie własny pogrzeb jako wydarzenie smutne i podniosłe. Leżałem więc w trumnie z mieszanymi uczuciami, trudno mi było bowiem nie cieszyć się zupełnie, kiedy cała natura wokół mnie wyrażała spontaniczną radość.

Zajechaliśmy na miejsce karawanem, zaprzężonym w cztery białe konie, przybrane na czarno. Poczułem, że zatrzymujemy się, a czwórka moich przyjaciół unosi trumnę na ramionach. Zakołysałem się, zażenowany nieco, bo przecież taka sytuacja u człowieka zdrowego i w kwiecie wieku musi budzić zażenowanie. Zaraz potem zjechałem kilka metrów w dół, ktoś coś powiedział, zagrała orkiestra — z mojej pozycji nie słyszałem dobrze tego, co działo się na górze. Rytmiczny stukot grudek ziemi, spadających na trumnę, podziałał na mnie usypiająco, tak, że nie dotrwałem nawet do końca ceremonii.

Obudziłem się i odruchowo chciałem spojrzeć na zegarek. Nie znalazłem go na swoim miejscu i wtedy przypomniałem sobie, gdzie jestem. Spróbowałem rozejrzeć się, powoli wzrok mój przyzwyczajał się do ciemności. Pomieszczenie było ciasne i leżało mi się raczej niewygodnie, poza tym przejmująca cisza dzwoniła mi w uszach. Zwykle w podobnej ciszy ludzie słyszą bicie własnego serca, ale przecież moje serce nie biło.

Po jakimś czasie jednak usłyszałem chrobot, tak jakby ktoś drapał w wieko trumny. Chrobot wzmagał się, stawał się coraz bliższy, aż wreszcie na wysokości moich oczu ukazała się mała, energiczna główka. Główka rozejrzała się, po czym zawróciła do wydrążonej dziury. Po chwili otwór poszerzył się, posypały się trociny, słychać było pracę małych szczęk.

Przez poszerzony otwór do wnętrza trumny zaczęły wciskać się małe cytrynowożółte istotki na krótkich nóżkach, z kształtu podobne do dżdżownicy, lecz o wiele inteligentniejszym wyrazie twarzy. Ich milczący pochód przesuwał się przede mną. Czoło kolumny zatrzymało się na mojej piersi, reszta dołączyła powoli. Kiedy wszyscy weszli, ostatni zastawił wylot tunelu większym wiórkiem, a tymczasem jeden, o majestatycznej tuszy, wypełzł na wystający guzik od marynarki i wyprostował się. Obserwowałem go spod przymkniętych powiek.

— Kameraden! — zaczął po niemiecku. — Zebraliśmy się, aby omówić naszą ciężką sytuację i rozważyć plan gospodarczy na najbliższe miesiące. Ogólnie wiadomo, że aprowizacja nasza ostatnio kuleje. Tam, na górze, koleżanki bakterie mają przed sobą coraz trudniejsze zadanie. Ich potencjał rozwojowy kurczy się, a nieustanna walka z klasowo wrogimi antybiotykami dziesiątkuje ich szeregi, zabierając jednostki najbardziej ofiarne. W trudnych warunkach nie mogą wykonywać swojego zadania tak, jak dyktują to nasze potrzeby tu, na dole. Tłuste lata wojny minęły. Nastały czasy ciężkie. Często zastanawiamy się, jak wykarmić nasze rodziny. Dzieci nasze rozwijają się nieprawidłowo, wzrosła ilość dokniętych krzywicą, wiele wykluwa się anemicznych. Dlatego też konieczna jest planowa gospodarka naszymi zapasami żywności, tym bardziej, że przeciętna zmalała już do trzech i pół nieboszczyka na miesiąc i nadal progresywnie maleje...

— Panie burmistrzu! — przerwał mu zdyszany głos. — Skrętak napoczyna!

Rzeczywiście, poczułem drobne, łachotliwe wiercenie w okolicy lewej pięty.

— Czwarty pluton do akcji! — zakomenderował burmistrz. — Aresztować mi tego Skrętaka! To już trzeci wypadek niesubordynacji w tym roku! Już ja urządzę pokazowy proces!

Tymczasem, korzystając z zamieszania, mównicę zajął już ktoś inny.

— Koledzy! — powiedział — nie muszę wykazywać nieudolności partii syndykalistów! Argumentów dostarczył mi mój przedmówca aż nadto! Przyznał się, jak ciężko partii rządzącej opanować sytuację! Uwolnijcie ją od tego obowiązku! Zapewniam was, że oddając w najbliższym wyborach głos na naszych kandydatów uczynicie jedną z niewielu rozsądnych rzeczy, jakie pozostały do zrobienia! Obiecujemy wam wzmóc produkcję marynat i zmonopolizować przemysł przetwórczy...

Przerwał, bowiem dwóch dryblasów z paskami pod brodą ściągnęło go z guzika. Chwilę jeszcze obserwowałem go: miotał się pomiędzy dwoma funkcjonariuszami, drobny, wyróżniający się w tłumie bardziej pomarańczowym kolorem ciała. Aż wreszcie zniknął mi z oczu w ciżbie, bowiem ten drobny incydent wystarczył, by w zorganizowane dotąd szeregi wkradł się duch anarchii. Istotki rozpełzły się na wszystkie strony i zaczęły dobierać się do mnie łapczywie, szarpiąc na zapas. Koło mojego ucha usadowiło się dwóch osobników, nadgryzając konchę.

— Najbardziej to lubię — rzekł jeden, mlaskając rozgłośnie.

— Ach, ta kapitanowa w zeszłym tygodniu — westchnął drugi. — Ciało miała skruszałe od rozpusty, mięsko dobrze wymoczone w winie. Ten tutaj był chyba zbyt cnotliwy, taki łykowaty!

Rzuciło go.

— Oni sobie sprawy nie zdają, co dla nas dobre. Egoistycznie trwają w cnocie!

Tego było już za wiele! Cóż za bezczelność! Przestałem dbać o to, że czynem swoim obniżę im przeciętną. Niech sobie zdychają z głodu. Wstałem pospiesznie, odwalając wieko trumny. Otrzepałem się i z satysfakcją słuchałem, jak spadając ze mnie z suchym, krótkim trzaskiem łamią sobie karki.

MAGAZYN

ODGŁOSY

ANDRZEJ JÓŹWIAK

ROZRYWKA rytm i MELODIA

Kilka lat temu Jerzy Waldorff napisał, że Polska jest jedną ze światowych potęg artystycznych, ale niestety nie potrafi sprzedać polskiej sztuki, muzyki nie tylko na zewnątrz, ale i u siebie. Pisał więc z nutką goryczy „... nie możemy nawet światu imponować ani przemysłem, który dopiero rozwijamy, ani handlem, bo dobrymi handlowcami nie jesteśmy, tylko Czesi". Przez tych kilka lat wiele się zmieniło; ekspansja naszego przemysłu, polskiej myśli technicznej, dynamizm eksportowy stały się faktem. Słowa J. Waldorffa przypomniały mi się jednak, kiedy jeden z moich czechosłowackich gości barwnie opowiadał o rozwoju i organizacji przemysłu rozrywkowego w swoim kraju. Opowieść swą dokumentował wielobarwnymi folderami, reklamowymi publikacjami, zdjęciami, sprawozdaniami z międzynarodowych konferencji światowego show-businessu z udziałem Czechosłowacji, wycinkami obcojęzycznych artykułów prasowych jednoznacznie określających siłę ekspansji czechosłowackiej rozrywki na zagraniczne estrady. Mieliśmy kiedyś taką szansę. „Międzynarodowa Wiosna Estradowa", ktorej — jak wieść niesie — organizację ma przejąć Czechosłowacja.

Dowcip z brodą mówi o dwóch handlowcach — Chechu i Polaku, którzy szukają w Afryce zbytu dla firm obuwniczych. Polak wysyła telegram: „Rynku nie zdobędziemy. Wszyscy chodzą boso", natomiast Czech depeszuje: „Olbrzymie możliwości. Wszyscy chodzą boso".

Hej, łza się w oku kręci, kiedy pomyślę, jak „zgrabnie" zaprzepaszczono w naszym kraju arcyciekawy pomysł „Międzynarodowej wiosny estradowej" — imprezy z udziałem czołowych wykonawców estradowych krajów demokracji ludowej. Instytucje odpowiedzialne za budowę krajowego przemysłu rozrywkowego przypominają mi trochę impotenta, co to bardziej chce niż może. Międzynarodowa Wiosna Estradowa odbyła się bodajże dwa razy (w 1972 i 1973), a później sternicy polskiego show-businessu doszli do wniosku, że nie jest to impreza potrzebna z uwagi na i tak... szeroki zakres polskich eksportowych działań impresaryjnych. Autentyczne. I mimo, że zgodnie z zasadą „nie podcina się gałęzi na której się siedzi" przekażę dwa przykłady eksportowego dynamizmu „Made in Poland". Przedstawiciele włoskiej telewizji przybyli półtora roku temu do Sopotu. Włochom bardzo spodobał się program prezentowany w amfiteatrze przez grupę „Dwa plus Jeden" i zaproponowali przesłuchiwanie całego programu pod kątem udziału „2 + 1" w międzynarodowej audycji TV z udziałem reprezentantów Hiszpanii, Grecji i Czechosłowacji. I otóż dla zespołu, który otrzymuje najkorzystniejszą ofertę festiwalowych [illegible]ów organizuje się przesłuchanie w małej kawiarni — pod sceną amfiteatru — zapełnioną ludźmi przygotowującymi się do próby generalnej. Szczęk widelców, talerzy, okrzyki „szefowa; coca-cola i pięć wódek", George mów mi Rysio", „Can I ask you a spe[illegible] avour', „Das schmeckt sehr gut. Ich habe Durst", „gdzie wy siewodnia zawtrakajete?", włączony telewizor kontrolny z Santor na wizji, rozmowy, wzajemne przekrzykiwanie — oto akompaniament dla zmaltretowanych wykonawców z „Dwa plus Jeden". Mimo tych „czynników obiektywnych" przesłuchanie zakończyło się pomyślnie — kontrakt podpisano i p. Morgantini ze swoją ekipą pojechali do Czechosłowacji, gdzie na specjalnie przygotowanym pokazie mogli obejrzeć propozycje naszych sąsiadów zza miedzy.

Tego samego dnia w sali koncertowej Hotelu Grand obserwowałem nową próbę polskich transakcji „kupno — sprzedaż". Zaserwowano zagranicznym impresariom trochę wyborowej i sławnej na całym świecie polskiej wódki i dużo, dużo słów na temat gwiazd polskiego przemysłu rozrywkowego, który też chciałby sławą dorównać polskiej wódce.

Impresariowie opróżnili ochoczo kieliczy stwierdzili, że piosenka „Do zakochania jeden krok" ma wszelkie cechy przeboju i z głupia frant poprosili o płytę Andrzeja Dąbrowskiego z tym nagraniem.

Płyty nie było!

„Ale przecież jest to wasz szlagier ostatnich miesięcy? Tak — potwierdzono z dumą. „I nie ma nawet singla?" — dopytywali się ci najbardziej naiwni. Odpowiedzią był zniewalający uśmiech organizatorów i ponowne rozlanie wódki. Kiedy opróżniono już ostatnią butelkę, pogadano chwilę o pogodzie, modzie i miodzie i w naprawdę serdecznym, przyjacielskim nastroju zagraniczni uczestnicy spotkania udali się na wieczorny koncert do amfiteatru, a Polacy natomiast zadowoleni z konferencji i jej klimatu pełnego wzajemnego zrozumienia i zaufania rozeszli się do dalszych równie owocnych prac nad budową podwalin naszego własnego, przytulnego i jakżeż swojskiego show-businessu, który złośliwi śledziennicy nazywają nie przemysłem, lecz ręczną manufakturą. Żyjemy w epoce instrialnej cywilizacji, głębokiej myśli technicznej, technokratyzacji i... seksu i dlatego też rozrywka i jej system organizacyjny jest dla nas odzwierciedleniem romantyzmu i jedynym kontaktem epoki przemysłowej cywilizacji z tym pięknym światem w zupełnie starym stylu.

I za to powinniśmy być wdzięczni.

W. Garboliński — „SAMOTNOŚĆ" (olej.)

HORACY SAFRIN

MAŁPIA ARYSTOKRACJA

Kiedy w leśnej traktierni pojawił się z rana,
nikt z obecnych nie poznał młodego pawiana:
Wachlował się ogonem, gęste bokobrody
przystrzyżone miał krótko (ostatni krzyk mody!),
drapał się, ruch okrągły wykonując ręką,
„r" wymawiał z francuska, chrapliwie i miękko.

Dziwią się antylopy, słonie i pantery:
„Skąd, u licha, do ciebie wersalskie maniery?"

„Byłem w zamku — rzekł pawian z uśmiechem na twarzy. —
Tam mój papa to jeden z dworskich dygnitarzy!"
„A jakie obowiązki z jego stanowiska
wynikają? Co robi?"
„Psy książęce iska..."

OPOWIEŚCI NIEPRAWDZIWE

Rysował: JACEK BROMSKI

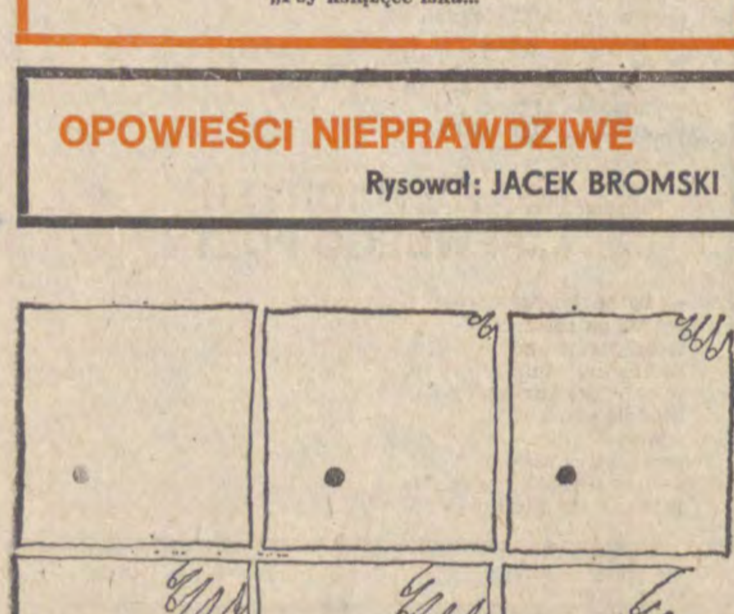

PŁYTY

DUETY FORTEPIANOWE

Muzyka fortepianowa na cztery ręce oraz na dwa fortepiany wraca ostatnio do łask wykonawców i słuchaczy. Dowodem są płyty nagrywane przez duety pianistów, pojawiające się coraz częściej w wielu krajach, również u nas i u naszych sąsiadów. Przypominają one utwory dawne, jakże często niesłusznie zapomniane, niejednokrotnie bardzo interesujące. Płyt z muzyką dwufortepianową lub na fortepian na cztery ręce sporo wydają nasi sąsiedzi. Na płytach NRD-owskiej ETERNY często można się spotkać z duetem fortepianowym Juliane Lerche i Ingeburg Herkomer, czechosłowacki SUPRAPHON ma też sporo podobnych nagrań, węgierski HUNGAROTON opublikował ostatnio bardzo interesującą płytę utworów dwufrotepianowych i na cztery ręce W. A Mozarta, J. Brahmsa i M. Ravela. Przed jakimś rokiem można było dostać w naszych sklepach radziecką płytę z utworami F. Schuberta w wykonaniu nie byle jakiej pary artystów: Belli Dawidowicz i Jakuba Żaka. Ale i nasze POLSKIE NAGRANIA mogą się tu czymś pochwalić: przed bodaj dwoma laty wydały wcale ciekawą płytę Warszawskiego Duetu Fortepianowego, czyli pań Maji Nosowskiej i Barbary Halskiej z prześliczną Fantazja f—moll op. 103 F. Schuberta i Sonata nr 5 C—dur W.A. Mozarta (MUZA SXL 0967). Do płyty tej nieraz wracam, mimo że wytłoczono ją w sposób gwarantujący dobrą słyszalność szmerów i trzasków. Ostatnie tygodnie przyniosły świeży nabytek: utwory dwufortepianowe w nagraniu braci Jacka i Macieja Łukaszczyków (MUZA SXL 1064). Płytę tę rozpoczynają błyskotliwe, zagrane z wirtuozowskim rozmachem Wariacje na temat Paganiniego W. Lutosławskiego, utwór należący dziś do żelaznego repertuaru wszystkich duetów fortepianowych w świecie, mający sporą dyskografię. Wykonanie Łukaszczyków jest ciekawe, znacznie bardziej interesujące od wykonania znanego z płyty ETERNY, zrealizowanego przez wspomniane pianistki z NRD. Długa sonata I. Strawińskiego z pewnością nie należy do szczytowych osiągnięć tego wielkiego kompozytora. Później następuje uroczy utwór francuski, L'embarquement pour Cythère Francis Poulenc'a, prześliczny króciutki walc. Druga strona płyty przynosi efektowny, rozbudowany utwór C. Debussy'ego pt. En blanc et noir, wybitne dzieło muzyki dwufortepianowej. Recital kończy trzeci z Tańców andaluzyjskich hiszpańskiego kompozytora M. Infante, utwór bardzo znany i często wykonywany, tym razem zagrany w sposób bardzo mało przywodzący na myśl muzykę hiszpańską. Z dostępnych u nas nagrań stanowczo wolę wykonanie tego Tańca dokonane przez parę austriackich pianistów J. i G. Dichler dla czechosłowackiego SUPRAPHONU; w dodatku mamy tam nie jeden, ale wszystkie trzy Tańce M. Infante.

PŁYTA FESTIWALOWA

Corocznie we wrześniu odbywa się Festiwal Pianistyki Polskiej w Słupsku. Jest tak od 1967 r., od 1974 r. zaś imprezie tej nadano nowy, bardziej doskonały kształt. Nie przydziela się tu nagród, nie stopniuje się kolejności miejsc – przyznaje się wyróżnienia w postaci pomocy naukowych, wyróżnionym artystom zapewnia się stypendia, nawet zagraniczne, występy filharmoniczne i radiowe, wreszcie – co nas tu najbardziej interesuje – nagrania płytowe. Jest to szczególnie istotne, bowiem festiwal zgodnie ze swymi założeniami ma stwarzać szansę przede wszystkim dla młodych artystów, którzy dopiero muszą się dobijać swojej pozycji w świecie artystycznym. Zanim zakończył się tegoroczny festiwal w Słupsku Polskie Nagrania zdążyły opublikować płytę zeszłoroczną, bo opatrzoną tytułem: VIII Festiwal Pianistyki Polskiej – Słupsk 74 (MUZA SX 1223). Pośpiech jak widać nieszczególny, ale i festiwal inny, niż te z Opola czy Sopotu, więc po co było się śpieszyć? Płyta zapoznaje nas z grą trójki młodych artystów, wyróżnionych w 1974 r.: klawesynistki Bogumiły Gizbert – Studnickiej i pianistów Andrzeja Głosza i Adama Wodnickiego. Program płyty został zestawiony w sposób dość osobliwy, podobnie jak wiele z płyt z ogłoszonej przed rokiem serii Pokolenie Muzyków XXX-lecia PRL, to znaczy.... bez większego sensu. Składają się nań bowiem utwory jedynie dwóch kompozytorów: Jana Sebastiana Bacha i Karola Szymanowskiego. Na pierwszej stronie B. Gizbert – Studnicka nagrała dwa koncerty na klawesyn solo A. Vivaldiego — J.S. Bacha C—dur i D—dur, na drugiej po bachowskiej Toccacie c—moll w wykonaniu A. Głosza znalazło się 12 Etiud op. 33 K. Szymanowskiego. Tego rodzaju zestawienia mnie raczej odstraszają, jeśli miałbym traktować płytę nie tylko jako wydawnictwo o charakterze dokumentu, ale coś takiego, do czego się sięgnie i wtedy, kiedy dawno zapomni się o festiwalu w Słupsku w 1974 r. Urzekła mnie interpretacja klawesynowych Koncertów A. Vivaldiego — J.S. Bacha; o utworach fortepianowych, nagranych na tej płycie, o ich interpretacji nie mogę się wypowiedzieć, skoro mój egzemplarz jest tak fatalnie wytłoczony, że nadmiar trzasków uniemożliwia niekiedy słuchanie muzyki. Poważna firma wydająca płyty gramofonowe powinna wiedzieć, że również i Koncerty klawesynowe będące bachowskimi przeróbkami Koncertów skrzypcowych A. Vivaldiego mają swoją numerację katalogową, którą winno się podać na naklejce i okładce płyty. Wreszcie jeżeli płyta ma na celu zaprezentowanie artystów młodego pokolenia, stosunkowo mało znanych, a zasługujących na uwagę, warto byłoby pokusić się o krótkie notki o wykonawcach na odwrocie okładki. Tak się przecież robi w całym świecie, Polskie Nagrania dotąd o tym nie zapominały. Notek tych nie zastąpił skądinąd ciekawy komentarz, wydrukowany na odwrocie okładki, pióra Jerzego Waldorffa. Miejmy nadzieję, że kolejne płyty artystów wyróżnionych w Słupsku wypadną lepiej, czego należałoby sobie życzyć.

xyz

POWIĘKSZENIA

NOWE REWELACJE (ROG)-A

Nasz ulubieniec (rog) z „Przekroju" ostatnio znów opublikował sporo rewelacji. Na przykład niejaki pan Krzyżanowski z Chicago umiał całą „Zemstę" Fredry na pamięć w wieku lat kilkunastu, a „Stefanem Batorym" płynęło trzech dyplomatów...

Zdumiewająca zaiste skala tematyczna, ciężar gatunkowy i głębia poznawcza informacji współpracownika „Przekroju".

ZWYCIĘZCY

Niedawno TV emitowała finały Turnieju Wiedzy Politycznej studentów. Oko kamery jest bezlitosne i spostrzegawcze, widzi to, czego nie widzieli ani jurorzy ani prowadzący.

Otóż zwycięska drużyna zyskała parę punktów drogą niezbyt legalną. Mianowicie uczestnicy... podpowiadali sobie nawzajem i to w wypadku pytań indywidualnych, a więc w sytuacji nie dopuszczającej takiej kolektywnej „współpracy".

ĆWIERCZAKIEWICZOWA

Red. **Małgorzata Karbowiak** pisze w „GR", że lubi czytać książkę kucharską Ćwierciakiewiczowej i dalej wymienia kilkanaście razy to nazwisko — za każdym razem błędnie.

Otóż słynna autorka „336 obiadów za 5 złotych, jedynych praktycznych przepisów..." i tak dalej — nazywała się Lucyna Ćwierczakiewiczowa. Jako ciekawostkę podajemy, że do końca XIX wieku ukazało się aż 18 wydań tej książki o łącznym nakładzie 90 tysięcy egzemplarzy bijąc tym nakładem nawet „Trylogię" Henryka Sienkiewicza.

FLANCA

Przemiły Jan Suzin (najsympatyczniejszy chyba prezenter TV) prowadząc teleturniej „Bitwa morska" powiedział, że marynarze chcą nieraz „zaflancować" w kraju zagraniczne tańce.

Niech sobie flancują, ale nie podoba nam się, kiedy prezenterzy TV chcą nam „zaflancować" taką polszczyznę.

EKSPERT

Naczelny lekarz ekipy polskich narciarzy oświadczył, w telewizji, że upadek Bobaka był niegroźny, że zawodnik tylko nadwerężył nadgarstek i nic się właściwie nie stało.

Następnego dnia ten sam lekarz oświadczył tej samej telewizji, że upadek był groźny, nadgarstek zawodnika jest pęknięty i w ogóle — udział Bobaka w Olimpiadzie stoi pod znakiem zapytania.

Dr K. jest typowym ekspertem. Szybko zmienia zdanie.

MAŁE KINO

„Najlepsze te małe kina..."
K. I. G.

PŁAKAĆ SIĘ CHCE!

Naukowcy filmowi z Zachodu wykonali następny „eksperyment". Posadzili nagą gwiazdę filmową i stosując różne bodźce, usiłowali wywołać u niej autentyczny płacz. Mysz — nic. Obrywanie skrzydełek motylowi — nic. Płonący banknot — też nic! Nic, nic, ciągle nic! Wreszcie szef naukowców uszczypnął gwiazdę w ciało i wtedy ona się rozpłakała. U nas gwiazd nie ma, rzadko się je rozbiera, a płacz robi się technicznie.

SONDA W GŁĄB

Ciekawą sondę socjologiczną przeprowadzi nasza TV w nowym programie. Przy zastosowaniu ukrytej kamery, szereg rozmówców zostanie zagadniętych na temat, co jest lepsze: pasta do zębów czy proszek? Wśród pytanych przeważać oczywiście będą osobnicy ze sztuczną szczęką.

NAJBLIŻSZE PLANY

Dla najbliższej dziatwy kolorowa bajeczka o spotkaniu czołga z jeżem. Dla nastolatków — majsterkowiczów wesoły instruktarz: „Co robić gdy na prywatce zgaśnie światło?". Dla absolutnie wszystkich wielki obraz historyczny ukazujący dzieje nasze od początku do końca. W TV natomiast zobaczymy nowe, piękne plansze, ukazujące nam piękno gór w zimowej szacie.

PRAKTYCZNE KRZYŻÓWKI

Znany genetyk japoński o trudnym nazwisku, krzyżując umiejętnie chudych i wysokich mężczyzn z damami patriotkami, otrzymał wreszcie w rezultacie swoich trudów człowieka — flagę. Wartość człowieka-flagi można ocenić sprawiedliwie jedynie wtedy, gdy ujrzy go się w filmie, biegnącego przed oddziałem samurajów w ataku.

NIEPOWETOWANA STRATA

W południowej Langwedocji zmarł nagle w czasie burzy Jean Bourbourou zwany przez przyjaciół „Cichym Jankiem". Zmarły był najlepszym w świecie specjalistą od grzmotów w filmie dźwiękowym. Jego brat Ludwik, bezkonkurencyjny w wyrobie błyskawic, burzę wprawdzie przeżył ale cóż z samej błyskawicy bez grzmotu... W czasie najbliższej burzy, wspomnijcie, jak grzmocił Jean Bourbourou.

ANDRZEJ CZEKALSKI

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90 102 Telefony 652 44 217 98 oraz 293 00, wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Od głosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch", Zam. 152, R-2. Nr indeksu 26762.